PIEŚŃ ABORYGENKI

ROS MORIARTY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Ros Moriarty

Pieśń aborygenki

Podróż w głąb duszy Australii

Przełożył
Andrzej Wajs

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Pieśń aborygenki

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa
W SERII
Dedykacja

PROLOG

1 CEL

2 PRZYNALEŻNOŚĆ

3 DAWANIE

4 SENS

5 MIŁOŚĆ

6 WSPÓŁODCZUWANIE

7 PRAWDA

8 ŻAŁOBA

9 RODZINA

10 PRZEBACZANIE

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Wkładka

Karta redakcyjna

W SERII REPORTAŻU

Ros Moriarty *Pieśń Aborygenki*

W PRZYGOTOWANIU

Julia Blackburn *Życie zaczyna się w Ligurii*

Pamięci czterech twardych kobiet:
mojej matki Nancy Ridley Langham, moich teściowych
z Borrolooli – Kathleen O'Keefe Murrmayibinya i Annie Isaac
Karrakayn, a także mojej siostry Thelmy Douglas Walwalmara.

PROLOG

Ten obraz nadal jest żywy w mojej pamięci. Noc, o której myślę, powraca w jasnym, wyraźnym wspomnieniu. Pięcioro lub sześcioro z nas siedzi na ziemi wokół dogasającego ogniska pod rozgwieżdżonym czarnym niebem nad wodami zatoki Karpentaria, w odległym zakątku północnej Australii. Jest rok 1982 – dwadzieścia siedem lat temu. Nasze dziecko śpi w szałasie obok. Jest bezwietrznie, ani ciepło, ani chłodno, ciszy nie przerywa żaden odgłos. Za naszymi plecami zapada nieprzenikniona ciemność. Wuj mojego męża, Musso, szef ceremonii ludu Yanyuwa, snuje opowieści o totemicznych przodkach, o ludziach opuszczających swoje ciała, aby przemierzać ogromne odległości, o ostrzeżeniach, jakie zwierzęta przesyłają człowiekowi, który znalazł się w niebezpieczeństwie. Potem w całkowitej ciszy powoli zanurzamy się w sen.

Ten sam mężczyzna holuje nazajutrz przez błotnisty szlam przybrzeżnych płycizn ogromny wór pełen krabów, które później są pieczone na rozżarzonych węglach. Razem z całą rodziną jem słodkawe białe mięso. Śmiechy, rozmowy, radość płynąca z bliskości. I znów ten sam mężczyzna dowodzi łodzią myśliwych polujących na diugonia[1], śpiewa pieśń duszy, która ulatuje ze zwierzęcia, gdy trafia weń harpun. Po udanych łowach dzieli

zdobycz według odwiecznego zwyczaju. Zaledwie domyślam się istniejącej tutaj więzi pomiędzy dziedzictwem dawnej kultury a równowagą codzienności przeżywanej w zgodzie z naturą. Wyczuwam harmonię w słowach wuja Mussa, a także w jego milczeniu. Pod powściągliwością tego mężczyzny kryją się bystry umysł i dar współodczuwania.

Odwiedzaliśmy wówczas krewnych mojego męża Johna, Aborygenów z Borrolooli na Terytorium Północnym. Był to dla mnie dopiero początek pewnej niezwykłej podróży. Niezwykłej nie z powodu krain, które przemierzaliśmy, czy pięknych krajobrazów – tak różnych od wszystkiego, co dotąd znałam – lecz ze względu na inny krajobraz – kulturowy – w którym ciepło wspólnoty, rodzinnej i społecznej, zdawało się bić wprost z rozgrzanej słońcem ziemi. Byłam wtedy młodą, nieco ponaddwudziestoletnią kobietą z małym dzieckiem przy piersi, nic więc dziwnego, że łatwo poddawałam się nowym doznaniom, które zostawiały niezatarty ślad w białej dziewczynie z południa. Z każdym rokiem te wrażenia zapadały mi coraz bardziej w serce, a moje życie zrosło się trwale z życiem Aborygenów.

Obyczaj nakazywał, aby mężczyźni i kobiety Yanyuwa spędzali oddzielnie większość czasu. I to właśnie kobiety ukazały mi świat z całkowicie odmiennej perspektywy, skrajnie różnej od tej, do której byłam przyzwyczajona. Na przekór przerażającej nędzy materialnej i niszczącej społeczność przemocy nie opuszczał ich niezachwiany optymizm. Mężczyznom również nie brakowało hartu ducha, wiedziałam jednak od początku, że nie o nich będę mówić. Nie pozwala na to aborygeńska obyczajowość. Jeśli już miałam opowiedzieć czyjąś historię, to właśnie kobiet. Wiedziałam

też, że nie powinnam się spieszyć. I istotnie, musiało minąć aż ćwierć wieku, abym zaczęła na poważnie rozważać, co napisać. I dlaczego.

Chciałam się skupić na sile Aborygenek, na ich solidarności, zdolności do poszukiwania i odczuwania szczęścia. A także na tożsamości samej Australii i jej przyszłości zagrożonej przez długi cień kolonializmu. Co zamierzałam osiągnąć? Pragnęłam odsłonić choćby fragment świata kobiet ludu Yanyuwa, kobiet przestrzegających Prawa. Spróbować przybliżyć w tej książce filozofię rdzennej ludności kontynentu, która ma za sobą ponad czterdzieści tysięcy lat. Kulturę stworzoną przez najstarszą cywilizację żyjącą dzisiaj na naszej planecie. Czułam, że opisane tu doświadczenia mogą okazać się inspirujące dla czytelników, mogą pomóc im w ich własnej duchowej podróży. Tak jak pomogły mnie.

Powierzyliśmy plemieniu opiekę nad naszymi maleńkimi jeszcze dziećmi. Stary Tim Rakuwurlma, po którym nazwaliśmy pierwszego synka i który pamiętał jeszcze życie w buszu, zanim zjawili się w nim biali, oznajmił, że chłopiec otrzyma imię Baniyan, co oznacza „zuchwałego brązowego węża". Odśpiewał pieśni sławiące Baniyana, do którego miało odtąd należeć dziecko, a kobiety kołysały w objęciach małego Tima i nosiły go na zmianę. Jego babka, całkiem już ślepa, cierpiąca na jaskrę, wskazywała palcem zapamiętane z młodości konstelacje na czarnym niebie i nuciła pieśni swojego Snu. Zasypialiśmy jak zabici na gołej ziemi, pośród klanu zebranego przy ognisku, a w dzień zajadaliśmy się mięsem ryb pieczonych w tlącym się popiele.

Nasz drugi syn, James, otrzymał imię oznaczające diugonia – Jawarrawarral. Podczas gdy Tim z czasem stawał się coraz bardziej zuchwały i popędliwy – podobny do swojego zwierzęcego „patrona", atakującego z ukrycia brązowego rozbójnika – James, podobnie jak jego łagodny opiekun z głębi oceanu, przejawiał skłonność do głębokiej zadumy i trzymania języka za zębami. Obaj byli bardzo mali, kiedy starzy ludzie zajęli się nimi troskliwie, nadali im imiona, kształtując w ten sposób przyszłość chłopców.

Ledwie podrośli, wszędzie było ich pełno. Wrzeszcząc jak opętani, gramolili się na skały i kłody, wspinali na drzewa i z miejscowymi dzieciakami wskakiwali w spieniony nurt rzecznych rozlewisk. Ogromnie interesowały ich dzikie indyki[2] upolowane na obiad. Zmuszali stryja Sama, by podpływał blaszaną łódką do śmiertelnie niebezpiecznych krokodyli grzejących się w promieniach słońca na brzegu, i piszczeli z uciechy, gdy niespodziewanie zawracał czółno, ze śmiechem obryzgiwał falą pokryty łuskami grzbiet ogromnego gada, a zwierzę ześlizgiwało się do wody.

Nasza córka Julia, która przyszła na świat pięć lat po narodzinach Jamesa, otrzymała imię Marrayalu, co tłumaczy się jako „syrena". Jej Pieśni rozpoczynają się nieopodal Alice Springs, czyli tysiąc kilometrów dalej na południe. W Wigley's Waterhole wylewa na powierzchnię szklisty kwarc, przybierający kształt okrągłych wylotów, z których się wydostaje. Tamtejsi ludzie powiadają, że to mleko z piersi syren. Wiara w duchy syren, które porzuciły morze, by zamieszkać w jamach po wyschniętych korytach rzecznych, wiąże się właśnie z tą osobliwą strukturą

pośrodku czerwonej pustyni Australii. Julia jako dziecko z rozkoszą słuchała takich opowieści, które snuły rozpieszczające ją rozliczne ciotki i babki. Niczym cień podążała za kobietami zbierającymi miód pszczół australijskiego buszu z porastających skały drzew. Łapczywie ssała lepkie słodkie plastry, którymi ją częstowały.

Świat dzieci z Borrolooli był bezkresną przestrzenią, niepodobną do zwykłego miejskiego życia. Nocą rozświetlały go ślepia krokodyli, które wylegiwały się na brzegu rzeki. Dni upływały im na jedzeniu mięsa diugonia gotowanego w kotle nad ogniskiem oraz na przemierzaniu zatoki łodzią w pościgu za żółwiami. Dzieciaki pływały na plecach, zdziwione, że nie idą na dno, wypychane na powierzchnię przez parujące wody termalne jeziora, albo wiosłowały pod baldachimem liści, z gdzieniegdzie wijącymi się pośród zarośli i drzew wężami.

Ale różnice duchowe sięgały znacznie głębiej niż fizyczne granice. Były coraz wyraźniej widoczne, ilekroć tam powracaliśmy. Z każdą podróżą dostrzegałam więcej. Zauważałam szczegóły, po prostu siedząc w milczeniu z rodziną nad rzeką, szykując wieczorem jedzenie, wypływając na połów. Johnowi wszystko wydawało się naturalne, ale dla mnie każde małe olśnienie było bezcenne. Pod lawiną pozornie błahych zdarzeń kryło się nieprzebrane bogactwo. Podróżowanie z małymi dziećmi w uciążliwym klimacie i moje zniecierpliwienie w świecie tak różnym od mojego, tak niespiesznym, z początku utrudniały mi chłonięcie tej rzeczywistości wszystkimi zmysłami. Potrzebowałam czasu, żeby nauczyć się patrzeć.

Gdy wracaliśmy na południe, John nadal odkrywał przed naszymi dziećmi plemienne tradycje. Nawet w środku miasta potrafił dostrzec najprzebieglej maskującego się owada, słyszał ptasie nawoływania pośród ulicznego zgiełku, odnajdywał ślady zwierząt pozostawione na rozgrzanym piasku plaży. Uczył Tima, Jamesa i Julię, jak milczeć i nasłuchiwać, pokazywał im leśne owoce, których próbowali, włócząc się po lesie. Cała trójka domagała się, aby opowiadał im przed snem różne historie. Dzięki nim dzieciaki pamiętały o pozostawionej na północy drugiej rodzinie – Yanyuwa.

Aborygeńscy krewni odwiedzali nas w Adelajdzie. Wielu z nich nigdy wcześniej nie leciało samolotem. Ojczym Johna, Willie, zdumiał się na widok pralki. Opisując ją Kathleen, matce Johna, szukał słów, aby oddać szalony wir wodny obracający kłębiące się w środku bębna ubrania. Kathleen natomiast podczas wycieczki do zoo rzuciła się z przerażeniem w ramiona Johna, gdy nagle nieopodal zaryczał lew. Wujowie i kuzyni, którzy pojechali z nami do Francji i Japonii, dotykali w nabożnym skupieniu murów katedry Notre Dame – „nielicho stara rzecz, co?" – pytając Johna, czy w Sekwanie pływają krokodyle. Nieśmiałymi uśmiechami odpowiadali na spojrzenia długonogich dziewcząt, grając na *didgeridoo*[3] w paryskich barach. W Tokio uznali, że sushi smakuje dokładnie tak samo jak przynęta na ryby, którą w kraju zwykli zjadać, gdy wędkowanie kończyło się niepowodzeniem. Nieznane konstelacje gwiazd półkuli północnej wprawiały ich w ogromne zakłopotanie, a zagadkowa różnica czasu była głównym tematem rozmów telefonicznych, które prowadzili z najbliższymi pozostałymi w Australii.

Jeździliśmy do Borrolooli, gdy tylko udawało nam się urwać z pracy: wskakiwaliśmy do samochodu i pokonywaliśmy trzy tysiące kilometrów na północ. Jednak z czasem pokolenie matki Johna zaczęło się starzeć, więzi plemienne rozpadały się albo rozluźniały. Zwierzęta mieszkające w buszu padały ofiarą białych turystów, a diugonie i żółwie – koncernów rybackich. Jedzenie w puszkach, pełne soli i cukru, wywoływało u Aborygenów choroby serca i cukrzycę. Radość ze spotkania z rodziną zbyt często przyćmiewał smutek pogrzebów.

Kiedy dotarła do nas wieść o śmierci matki Johna, z Tathry na wybrzeżu Nowej Południowej Walii, gdzie byliśmy na wakacjach, pojechaliśmy nad zatokę. Dzieciaki siedziały spokojnie w wypchanym samochodzie, który mknął drogą z Mount Isa. Między siedzeniami w pojemniku z lodem kołysały się białe goździki z długimi łodygami. Było bardzo gorąco i parno. W lepkiej, nasyconej żarem porze deszczowej, która panowała wtedy w buszu, dzieci szły w koszmarnym skwarze w orszaku żałobników, by potem rozrzucić garść czerwonego piasku nad maleńką trumną ich *abuji*[4]. Matka Johna zabrała z sobą do grobu umiejętność mówienia w ośmiu australijskich językach i tajemną wiedzę o Prawie. Razem z nią odeszły sekrety, których nie mogła nikomu przekazać. Rozumiałam jej frustrację i pełne rezygnacji posłuszeństwo wobec nakazów Prawa, które zmuszało ją do milczenia.

Choć rdzenna ludność na wszystkich kontynentach wymiera i cierpi z powodu nierówności, żarliwa wiara nie opuściła starych kobiet z rodziny mojego męża. Dbają one o to, aby więzi przetrwały. A więzi te są czymś więcej niż tak zwane relacje

międzyludzkie w naszym nowoczesnym świecie, nastawionym na współzawodnictwo, na ambicje i ich realizowanie. Przez te wszystkie lata podziwiałam kobiety z Barrolooli za ich niezwykłą zdolność dawania i przyjmowania szczęścia, mimo niepowodzeń, klęsk, tragedii. Zastanawiałam się, czy to pogłębiona duchowość, towarzysząca im na każdym kroku, chroni je przed zwątpieniem, czy może optymizmu uczy te kobiety wierność tradycji i językowi tłumaczącemu cały świat – emocji i doświadczeń. Czy my, żyjący w zadowolonym z siebie, „cywilizowanym" społeczeństwie, my, którzy odrzuciliśmy duchowość, ezoterykę, tradycję, zdołaliśmy osiągnąć choć namiastkę podobnej harmonii?

Sądzę, że mądrość Aborygenów bije wprost ze źródła ich hermetycznej wiedzy – prawdziwego poznania, które pozwala widzieć jasne strony nawet w pozornie beznadziejnym położeniu. Choć przeznaczeniem człowieka jest również cierpienie, ludzie z plemienia mojego męża zawsze znajdują sposób, aby podnieść się na duchu. Yanyuwa nazywają ten rodzaj kontemplacji *anyngkarrinjarra ki-awarawu*, „słuchaniem kraju". To zarazem czas, miejsce i stan ducha, w którym należy usiąść, chłonąć ciszę i rozmyślać o tym, czym naprawdę jest twój świat – świat twojego umysłu, świat twojej rodziny.

W maju 2006 roku kobiety z rodziny mojego męża zaprosiły mnie do wspólnego „słuchania kraju". Mężczyźni także oddają się temu rytuałowi, nie dopuszczają do nich jednak płci przeciwnej, a więc to otaczane powszechnym szacunkiem kobiety Prawa zabrały mnie w porywającą, a jednocześnie uczącą pokory podróż do duchowego wymiaru egzystencji. Poznałam ukryty przed oczami niewtajemniczonych naturalny porządek rzeczy.

Nauczyłam się, jak milczeć, jak „słuchać, aby zobaczyć”. Po tym doświadczeniu przyszedł czas, aby zacząć opowiadać historię, którą od dawna chciałam się podzielić z czytelnikami. Historię o ginącej wspólnocie, wokół której wznieśliśmy mur uprzedzeń i przesądów. O kulturze, w której rodzina jest wszystkim, duchowość płynie wprost ze świata przyrody, a związki między ludźmi podlegają jasnym, przejrzystym zasadom Prawa. Postanowiłam wreszcie napisać o kobietach współczesnych, lecz prastarych duchem, które przetrwały – mimo przemocy, jakiej doznały ze strony Europejczyków.

Oddaję im głos tam, gdzie opisuję „słuchanie kraju”, gdyż chcę pozwolić przemówić ich mądrości. Nie piszę tej książki, aby pokazać, jak sobie radzą z przeciwnościami losu. To nie jest żadne usprawiedliwienie opłakanych warunków, w jakich muszą żyć, warunków, które są następstwem kolonialnej grabieży i zagmatwanej polityki rządu odsuwającego od siebie niewygodne prawdy. Nie zamierzam też osądzać mechanizmów społecznych, które zniszczyły ich dzieci, zmuszając te starzejące się kobiety do wychowywania wnuków. Przede wszystkim zaś nie będę tu zdradzać ich tajemnic. Chcę po prostu utrwalić ich Pieśni, ich filozofię, która pozwala im żyć z poczuciem sensu i siły. W tej opowieści chciałam również ukazać, jak spokojnie, w milczeniu, odchodzi ostatnie pokolenie kobiet Prawa. Już wkrótce Australia, ta piękna i delikatna kraina, przestanie słyszeć głosy swoich pierwszych mieszkańców, nie będzie pamiętać dotyku ich silnych, opiekuńczych dłoni.

[1] Diugoń – ssak morski zaliczany do rzędu syren. Nazwa pochodzi od malajskiego słowa oznaczającego „panią morza” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza lub redaktora).

[2] Dzikim lub leśnym indykiem Aborygeni nazywają zazwyczaj nogala brunatnego – ptaka żyjącego na zadrzewionych terenach Australii.

[3] *Didgeridoo* – tradycyjny drewniany instrument dęty Aborygenów wykonywany z lokalnych odmian eukaliptusów. Wydaje głos przodka totemicznego i ma kształt tuby.

[4] *Abuji* – tutaj babcia. W innym kontekście, jak czytelnik zauważy później, również wnuczek. Określenia krewnych są w językach Aborygenów wieloznaczne, o czym pisze chociażby Sven Lindqvist w swojej *Terra nullius. Podróży przez ziemię niczyją* (przeł. Irena Kawadło-Przedmojska, W.A.B., Warszawa 2010). Powołuje się on na wyniki badań nad językiem plemienia Kareira, w którym na przykład jedno słowo *maeli* oznaczało dziadka ze strony ojca, braci babki ze strony matki, dziadka ze strony matki żony lub męża oraz (jeśli rozmówca był mężczyzną) wnuka i wnuczkę.

1
CEL

anyngkarrinjarra ki-awarawu
Słuchanie w cichym miejscu pozwala mi zobaczyć.

Kiedy milczę, kiedy cisza ogarnia moją duszę, zaczynam słyszeć. Gdy znajduję spokojne miejsce w swoich myślach, wiem, dokąd iść.

Dzień pierwszy, piątek, 26 maja 2006 roku

Pora deszczowa zakończyła się późno tego roku, w końcu jednak nadeszły pogodne dni. Jest popołudnie, lecimy małym i smukłym turbośmigłowcem, czymś na kształt pierzastego ołówka. Górnikom z kopalni srebra, ołowiu i cynku stewardesy podają burbona i colę, bo tylko takie płyny przyswajają ci mężczyźni. Lądowisko znajduje się nieopodal McArthur River Mine, kopalni koncernu Xstrata, niecałe dwie godziny drogi na południowy wschód od Darwin, w odległym północnym krańcu Australii, w zatoce Karpentaria.

Stamtąd już tylko godzina jazdy dzieli nas od Borrolooli – prawie zupełnie zapomnianego zakątka na północy kontynentu. W 1983 roku raport australijskiego rządu opisywał tę społeczność

jako drugą najbardziej odizolowaną na terenie kraju (pierwszą okazało się kilka gospodarstw rodzinnych na spalonej słońcem równinie Nullarbor na zachodzie). Borroloola to miejsce narodzin mojego męża, który po irlandzkim ojcu odziedziczył jaśniejszy odcień skóry, kontrastujący z ciemną karnacją matki Aborygenki. Czteroletni John został porwany – wywieziony z innymi dziećmi z mieszanych związków na przyczepie wojskowej ciężarówki. Opieka społeczna i Kościół postanowiły zrobić z niego białego chłopca w oddalonych o trzy tysiące kilometrów na południe Górach Błękitnych, niedaleko Sydney[5]. Z tamtego dnia mój mąż pamięta, że podczas jazdy po wyboistej drodze jakaś drewniana skrzynia zmiażdżyła mu palec u nogi. Pamięta też płacz dobiegający nieprzerwanie znad kłębowiska oblegających go kwiecistych spódnic.

Kiedy w 1978 roku poznałam matkę Johna, Kathleen Murrmayibinya była już zupełnie ślepa z powodu jaskry, lecz mimo to bez wahania pokazała mi miejsce na brzegu rzeki, w którym urodziła syna. Nie okazując nadmiernych emocji, opowiedziała, jak pewnego dnia zaprowadziła dziecko do szkoły, a gdy poszła je odebrać, chłopca już nie było. Ojczym Johna, Willie Mawurrinji, wtrącił wówczas, że Kathleen nigdy nie przestała płakać. Miała osiemnaście lat, gdy John przyszedł na świat. Nie urodziła więcej dzieci.

John uważa, że los sprzyjał mu bardziej niż większości dzieciaków ze skradzionych pokoleń[6]. Spędził dziesięć trudnych lat w Sydney i Adelajdzie, doświadczając nędzy i upokorzeń, ale jako piętnastolatek został odnaleziony przez matkę, a później odkrył swoją rodzinę z ludu Yanyuwa.

Od początku lat osiemdziesiątych jeździliśmy na północ, do krainy jego przodków, razem z trójką naszych dzieci. Tim, James i Julia otrzymali plemienne imiona Baniyan, Jawarrawarral i Marrayalu, starszyzna pomagała w ich wychowaniu. To doświadczenie miało wielki wpływ na całą rodzinę – na Johna, który tak naprawdę nigdy nie doszedł do siebie po uprowadzeniu, na mnie, białą dziewczynę, odczuwającą wstyd z powodu rasistowskiej polityki mojego kraju, na dzieci – odkrywające swoje miejsce na ziemi, coraz głębiej związane z Borroloolą i rodziną Johna.

Gdy przelatujemy nad sawanną i zapinamy pasy przed raptownym, hałaśliwym podchodzeniem do lądowania, przeszłość gwałtownie powraca. Przypominam sobie wtedy jedną z nielicznych fotografii Johna z dzieciństwa: śliczny mały chłopczyk siedzi w łodzi obok swego dziadka. Zdjęcie zrobiła na początku lat czterdziestych ubiegłego wieku Merle Griffin, pierwsza biała kobieta, która z ambulansem pocztowym przyjechała do zatoki. Fotografia trafiła w ręce Johna za sprawą dziwnego zbiegu okoliczności: na greckim statku, którym płynął do Anglii w 1962 roku, mój przyszły mąż poznał przyjaciela Merle. Ten rozpoznał w Johnie dziecko, które znał z opisów panny Griffin. Z właściwym sobie optymizmem John przywołuje często tamto wydarzenie, twierdząc, że było to jedno z wielu szczęśliwych zrządzeń losu w jego życiu.

W tę podróż w 2006 roku zabieramy Tima, który niebawem skończy dwadzieścia pięć lat. Leci z nami, żeby porozmawiać z ludźmi z plemienia o swoim dzieciństwie – to temat filmu animowanego, nad którym teraz pracuje. Co do mnie, zamierzam

w końcu zabrać się do pisania książki. James, który ma już dwadzieścia dwa lata, zostaje w Sydney, żeby przygotować się do egzaminów na uczelni, a siedemnastoletnia Julia kończy właśnie dwuletni kurs w akademii tenisowej w Barcelonie.

Po późnojesiennych[7] chłodach w Sydney już na lotniskowej płycie dopada nas nieznośny skwar północy. Nie tyle palący żar, co raczej dokuczliwe, wszechogarniające słońce, bez odrobiny cienia. Ziemia jest czerwona, a roślinność bardziej przypomina wielobarwny pstrokaty pasiak niż szmaragdowy dywan. Srebrzyste eukaliptusy, jasna i ciemna zieleń łąk, żółtawe cytrusy, wyblakłe trawy z cętkami w odcieniu sjeny palonej. Drzewa rozsiane na poliniowanych uskokami skalnymi równinach, rzucające cień nakrapiany pręgami słońca. Niebo jest czyste i niebieskie – o nasyconej barwie nad naszymi głowami, na linii horyzontu bardziej błękitne.

Mijamy pasące się na polu stado bydła – szarych zebu. John jak zawsze wskazuje nam Sen Żaby, skałę przypominającą to zwierzę, stojącą samotnie pośród drzew na równinie. Żaba wydaje się wpatrywać w autostradę. Ogromny orzeł australijski przelatuje obok nas, unosząc w szponach strzęp nieszczęsnej ofiary, która padła jego łupem. Chmara kakadu Banksa, czarnych z czerwonymi ogonami, zrywa się do lotu z pobocza drogi. Parka żurawi australijskich stąpa dostojnie na brzegu sadzawki wciąż pełnej wody po porze deszczowej. Ptaki dorównują wzrostem ludziom. Zatoka Karpentaria to kraina surowego, nieuładzonego piękna.

Obóz Yanyuwa wita nas znajomymi widokami. Szutrowy trakt, niewielka asfaltowa droga – nierówna i pozdzierana. Jest tu

trochę nowych domów, ale to w tych prowizorycznych, z blachy falistej, tłoczą się całe rodziny. Ludzie mieszkają w strasznych warunkach. Ich codziennością są choroby, przemoc, alkohol i coraz częściej narkotyki. Zatrzymując auto, widzimy, jak miejscowe dzieciaki grzebią patykami w kupie jakiegoś porzuconego żelastwa. Nastolatki słuchają rapu płynącego ze sprzętu grającego. Ich rodzice drzemią albo grają w karty nieopodal rozklekotanych wraków samochodów i stosów pustych puszek po piwie.

Najpierw odnajdujemy plemienną siostrę Johna, Thelmę Douglas Walwalmara. Thelma wróciła właśnie ze szpitala w Darwin, gdzie leczyła się na nerki. Niewydolność nerek to przypadłość często spotykana w tych stronach. Thelma postarzała się, wygląda na bardzo wyniszczoną. Długo ściska mnie i Johna. Mocno przytula Tima – ponad metr osiemdziesiąt jeszcze niedawno chłopięcego ciała znika w jej objęciach. Nie do wiary, jak wyrósł.

– *Abuji, abuji,* wnuczek, wnuczek – powtarza, nie chcąc go puścić.

Z domu nieopodal wychodzi Annie Isaac Karrakayn, jedna z plemiennych matek Johna. Znowu wybuch radości. Annie nuci przeznaczoną tylko dla nas rzewną pieśń. John pyta, jak się wszyscy mają.

– Za dużo alkoholu – żali się Annie. – Niedobrze.

Czuję falę ciepła, kiedy obejmują Johna, mnie i Tima. Za każdym razem, gdy wracamy, radość z ponownego spotkania zawsze mnie zaskakuje. Ta wielka, rozłożysta jak konary starego dębu rodzina bierze nas w ramiona, wypowiadając zdania:

„Kocham was”, „Tęskniliśmy”, „Ile to już czasu minęło, mój synu, moja synowo, wnusiu?”. Wszystko, co mówią ci ludzie, jest proste, niekłamane. Żadnych pytań. Nie potrzeba wielu słów. Za pierwszym razem, od razu po przyjeździe, zrozumiałam, że jestem dla nich przezroczysta. Wiedzieli wszystko – co czuję, co myślę, czy jestem taka, jak mówię. Od początku traktowali mnie bardzo wyrozumiale, wybaczali wiele rzeczy. Niedelikatność. Niecierpliwość.

Ja i John siadamy na plastikowych krzesłach przed domem Thelmy. Kobieta odgania okoliczne bezwłose psy. Inne śpią z podkurczonymi łapami na czerwonej ziemi. Jakiś mały chłopiec ustępuje miejsca Timowi. Rozmowy przerywane śmiechem. Potem zaczynają się żale i utyskiwania, skargi na mężczyzn, którzy nie dbają o tradycję. John mówi, że przyjechałam także z powodu książki, o której już im kiedyś wspominałam. Książki o tym, jak kobiety z Borrolooli postrzegają świat. O tym, że ich kultura jest najstarsza na Ziemi, ale powoli znika, bo większość młodych kobiet z tych stron nie chce już o niczym słyszeć. Annie i Thelma potakują w milczeniu. Przyznają, że czują smutek na myśl o tym, że ich świat umiera.

Rozmawiamy o rzeczach, które są najważniejsze, bo dotyczą wszystkich ludzi.

– Na przykład miłość – mówię. – Chciałabym wiedzieć, czym jest dla was miłość. Co oznacza.

– Miłość jest wtedy, kiedy coś komuś dajesz – odpowiada Thelma. Jej ubogi, przepełniony domek jest dziwną oprawą dla tych prostych, poruszających słów.

Mam sprzeczne uczucia, jak zawsze w Borrolooli. Panująca tu bieda jest przerażająca. Chciałabym zmienić warunki, w jakich ci ludzie żyją. Obawiam się jednak, że współczując im, tak naprawdę ich krytykuję. Że porównuję ich życie z przyjemnościami i wygodami mojego życia w wielkim mieście. Czy mój los naprawdę jest lepszy? Czy raczej z przywyczajenia zgadzam się na coś, czego nigdy bym sama dla siebie nie wybrała?

Trochę jedzenia. Kilka puszek tytoniu Log Cabin, jakaś gotówka, której zawsze im brakuje, wspólny posiłek w barze. Chwile, by się razem pośmiać i pogadać. To nieliczne rzeczy, które możemy dać rodzinie i które nie urażają jej godności. Są one niczym w porównaniu z uczuciowym i duchowym bogactwem, jakim dzielą się z nami krewni Johna.

Dowiaduję się jednak, że w tym tygodniu nie pogadamy dłużej. Kobiety muszą jechać na pewną uroczystość do Kalkaringi, jak tłumaczy nam Annie. To „kobieca Sprawa".

Mój mąż pyta, czy nie można tego przełożyć o parę dni.

Nie. Przykro im, ale nie mają wyboru. Takie Prawo.

– A czy Ros też mogłaby pojechać? – pyta nagle John.

– Tak, *yuwani* – mówi Thelma – możesz wybrać się tam z nami.

Tłumaczę, że w środę muszę być z powrotem w Borrolooli, żeby złapać samolot, który zabierze mnie do Sydney, i pytam, czy tak będzie dobrze.

Annie, szefowa ceremonii, odpowiada, że nie. Jeśli wrócę do męża przed zakończeniem obrzędu, on z całą pewnością zachoruje. Kobiety muszą przeprowadzić wszystko do samego końca, oczyścić całe miejsce, zanim bezpiecznie będą mogły wrócić do domu. Piątek – tak. Środa wykluczona.

Tydzień poza domem. I poza studiem. Co na to moi pracownicy, a klienci? Moja codzienność to szalony, nieustannie zmieniający się kalejdoskop minut i godzin. Plan był taki, żeby przez parę dni posiedzieć nad rzeką i niezobowiązująco pogadać. A tu nagle coś podobnego. Jestem zakłopotana. Czy inne uczestniczki ceremonii nie potraktują mnie jak intruza? Takie zaproszenie to poważna sprawa. Annie i Thelma wspominały o tym wcześniej, mówiąc, że nauczą mnie tańczyć. Ale nigdy się jakoś nie składało. Zaczynam gorączkowo myśleć. Decyduję, że postaram się o jakiś wóz i pojedziemy wszystkie razem, chociaż nie mam jeszcze pojęcia, gdzie znajduje się to Kalkaringi. Gdy rozkładam mapę, stwierdzam ze zgrozą, że będziemy jechać co najmniej dziesięć godzin, może nawet dłużej, w zależności od stanu dróg po porze deszczowej. Ale nie będzie lepszej okazji, żeby wreszcie zacząć pisać. Annie i Thelma zasmucająco szybko się starzeją. Annie mówi mi, czyje słowa mogę przytoczyć w książce: Thelmy, Dinah, Jemimy, Violet, Rosie, Maureen oraz Thelmy Dixon. Starych kobiet Prawa.

Znajduję samochód. Kopalnia musi wspierać lokalną kulturę i dbać o swój wizerunek, bowiem koncern, do którego należy trzy procent światowej produkcji cynku, zamierza niebawem zmienić naturalny bieg rzeki. A to, rzecz jasna, budzi kontrowersje. A zatem firma pożyczy mi toyotę diesla. Ekolodzy i aborygeńska Northern Land Council[8] od początku sprzeciwiali się powstaniu kopalni w Borrolooli. Bez kopalni jednak miasto by umarło, Aborygeni zaś byliby jeszcze bardziej uzależnieni od zapomogi rządowej. Powinni mieć udział w zyskach z prac górniczych, bezsprzecznie. Ale dla ludzi z Borrolooli negocjacje są czymś

niezmiernie trudnym, może nawet niemożliwym. Pozwalali się wykorzystywać już w czasach ekspansji przemysłu hodowlanego w zatoce Karpentaria, a zwłaszcza w połowie lat siedemdziesiątych zeszłego wieku, gdy rząd federalny zmienił ustawodawstwo dotyczące zagranicznych inwestycji, pozwalając koncernom i górnikom na kupowanie po zaniżonych cenach terenów pastwiskowych nad rzeką McArthur i w Bing Bong. Był to korzystny zakup, bo port i rzeka umożliwiały transport wydobywanych materiałów. Sprzedawszy swoją ziemię, Aborygeni stracili jedyną kartę przetargową. Pozostała im jedynie możliwość politycznej perswazji i moralnej presji.

Proste życie w buszu nieodwracalnie się skończyło. Bez kopalni transport rzeczny i lotniczy nie miałyby racji bytu. Droga do normalizacji stosunków z lokalną społecznością jest jeszcze długa, ale to koncern stworzył projekt budowy basenu i sali gimnastycznej dla dzieciaków. Dotąd jedyną „inwestycją" na rzecz młodzieży był dom poprawczy. Zarząd kopalni ma motywować młodych Aborygenów do uprawiania sportu. To na razie tylko słowa. Ale kobiety Yanyuwa za wszelką cenę chcą ochronić swoich wnuków przed stylem życia powszechnym w miasteczku – i niektórzy chłopcy rzeczywiście zaczynają korzystać z pomocy koncernu i uczyć się zawodu.

Thelma i Annie cieszą się z samochodu. To porządny terenowy wóz z metalowymi ochraniaczami na zderzakach, z napędem na cztery koła, z dwiema szerokimi oponami zapasowymi, zbiornikiem na dwadzieścia litrów wody, z podwójnymi bakami paliwa i mapą obejmującą tereny na południowym zachodzie, aż do pustyni Tanami, dokąd się wybieramy. Nigdy przedtem nie

zapuszczałam się bez Johna na takie odludzie. Nie mam pojęcia, jak otwiera się maskę samochodu, żeby sprawdzić olej i chłodnicę. Biorę szybką lekcję posługiwania się wozem z takim napędem. Błyskawiczny przegląd zestawu narzędzi. Instrukcja zakładania zapasowego koła umocowanego na łańcuchu w bagażniku. Sporo teorii.

Pakuję do torby trochę ubrań na zmianę, biorę latarkę, aluminiowy garnek, widelec, nóż i jakąś łyżkę. Wrzucam do środka swój nieoceniony śpiwór. To właściwie brezentowy wór z materacem, kołdrą, poduszką i moskitierą. Łatwo się go zwija i spina rzemieniami na czas transportu. Sam jego widok w szopie czy w garażu przywodzi na myśl sen pod rozgwieżdżonym niebem. Zabrałam go do zatoki na wypadek konieczności spędzenia nocy gdzieś w buszu. Teraz przyda mi się jeszcze bardziej.

Tim łapie zasięg satelitarnego internetu. W tym mieście, w Australii XXI wieku, nasze komórki są kompletnie bezużyteczne. Piszę kilka maili do moich pracowników i klientów, a także do Julii – żeby życzyć jej powodzenia w zbliżającym się turnieju na madryckich kortach. Niedobrze mi na samą myśl, że przez tydzień nie będę mogła zatelefonować. Mailuję więc jeszcze do Jamesa, który został w Sydney, i proszę, aby do niej dzwonił i przez internet satelitarny Tima był w kontakcie z ojcem. Kładę się wcześnie spać przed długą drogą na zachód.

Johna poznałam, gdy miałam dwadzieścia jeden lat. Pracowałam wtedy w rządowym Departamencie do spraw Aborygenów w Canberze. On miał lat trzydzieści dziewięć. Już pierwszego dnia pracy jedna z sekretarek powiedziała mi, że John Moriarty czuje się jak ryba w wodzie i w gabinecie premiera, i w buszu. Wtedy w ogóle się nad tym nie zastanawiałam – byłam zbyt pochłonięta zakochiwaniem się w Johnie. Wydawał mi się bardzo przystojny, zabawny i wrażliwy. Dla niego, wyższego urzędnika państwowego, ten romans mógł oznaczać kłopoty – byłam dla niego zbyt młoda i zbyt biała. Złośliwe plotki szybko jednak ucichły, gdy się okazało, że sprawa między nami jest poważna.

Nasz związek trudno byłoby nazwać klasycznym „chodzeniem z sobą". Podczas pierwszej wizyty u matki Johna musiałam zjeść słodkowodnego żółwia – prosto z ognia, na którym Kathleen go upiekła. Byłam zadowolona, że na tym się skończyło i że nie podano na stół węża lub warana, dań, które John pamiętał z dzieciństwa. Zresztą żółwie łapy smakowały trochę jak kurczak i mogłam zrozumieć, dlaczego uważano je za przysmak. Domem, który Kathleen dzieliła z ojczymem Johna, była przerdzewiała przyczepa kempingowa ukryta w zaroślach. Dno przyczepy znajdowało się dość wysoko, aby chronić ich przed bawołami i wężami. Brezentowa plandeka, którą uszczelniano dach, stanowiła osłonę przed chłodnymi nocami pory suchej, ale niewiele było z niej pożytku, gdy nadchodził sezon ulewnych deszczy i cyklonów wilgotnego lata. Podczas jednej z gwałtownych burz Willie i Kathleen tylko cudem ocaleli, ukrywając się pod wrakiem samochodu.

Kathleen miała najpiękniejsze dłonie, jakie kiedykolwiek widziałam. John je po niej odziedziczył. Opowiedziała mi, że pewnego dnia, gdy chciała odebrać synka ze szkoły, biali już go nie oddali. Przez dziesięć lat nie wiedziała, gdzie jest chłopiec i co się z nim dzieje. Ta bezradność, całkowita bezsilność kobiety, której odebrano dziecko, była dla mnie czymś przerażającym.

Matka Johna pokazała mi brzeg rzeki, na którym urodził się mój przyszły mąż.

– Rodziłam jak wszystkie kobiety tutaj, w buszu – powiedziała ze śmiechem, wskazując to miejsce skinieniem głowy i wykonując charakterystyczny ruch ustami. Taki sam znak daje mi niekiedy John, kiedy chce wyjść z jakiegoś przyjęcia. Kathleen płakała i śmiała się na przemian, opowiadając o narodzinach swojego jedynego dziecka.

John mówi ze wzruszeniem o dniu, w którym matka go odnalazła. Było to podczas pewnego święta kościelnego w Alice Springs. Szczupła, pełna godności Aborygenka przeszła na drugą stronę ulicy, żeby zapytać, jak się nazywa. „John Moriarty" – odpowiedział. Wtedy ona rzekła: „Jestem twoją matką". Usiedli na gołej ziemi i zwyczajnie wzięli się za ręce. „Tak mi przykro, mój synu. Twojej babki nie ma już wśród żywych" – od tego zaczęła rozmowę. „Dlaczego pozwoliłaś mnie zabrać?" – tak zaczął on. John jednak nie od razu wrócił do rodziny. Z początku protektor Aborygenów[9] odesłał Kathleen z powrotem na północ, a Johna do szkoły na południu. Chłopak wiedział już jednak, że istnieje miejsce, które nigdy nie przestanie być jego domem.

Potem nie rozmawiali wiele o czasie rozłąki. Przeżywanie wciąż od nowa bólu syna, oderwanego siłą od rodziny, uprowadzonego do

„lepszego świata”, gdzie żył, pozbawiony dzieciństwa – to było dla Kathleen zbyt wiele. A John nie chciał przysparzać matce nowych cierpień.

Jego uprowadzenie wynikało z dziwnej polityki rządu, który postanowił „poprawić poduszkę u wezgłowia umierającego”. Tym umierającym byli Aborygeni. Małe dzieci o jaśniejszym kolorze skóry wyrywano z rodzinnego domu, uczono je, jak trzymać filiżankę i szorować podłogę, głodzono i bito. Nauka polegała też na chodzeniu boso po mrozie, na szukaniu skórek pomarańczy i żywicy, którymi mali Aborygeni próbowali oszukać głód. I na kazaniach, w których dzieciom mówiono, że obmyją się w krwi Baranka i staną się białe jak śnieg. Oczywiście mimo jasnego odcienia skóry nie były traktowane jak ich biali rówieśnicy. W rzeczywistości nie było takiej krwi, która z ich czerni potrafiłaby uczynić biel. John z tego powodu nie rozpaczał. Przeciwnie, był bezgranicznie wdzięczny za to, kim jest.

Zwierzał się niekiedy w spokojniejszych chwilach, gdy mogliśmy porozmawiać. Kiedy wrzucaliśmy na patelnię plastry mięsa przy ognisku nad jeziorami wokół Canberry i zasypialiśmy pod gołym niebem. Kiedy strugał z drzewa włócznię i zaostrzał grot nad płomieniem. Kiedy przywoził z pustyni do biura mrówki miodowe. Albo gdy grał na gitarze, nucąc linijkę albo dwie z jakiejś ludowej piosenki. I wtedy coś zrozumiałam: cudem nie było to, że przeżył, lecz siła, z którą zniósł wszystko, przez co przeszedł. Musiał dorosnąć wcześniej niż inne dzieci: zdecydował wtedy, że wytrwa, że nic nie będzie w stanie go złamać. Ani bicie gumowym wężem, kiedy był zupełnie nagi i ociekał wodą spod prysznica, ani konieczność wykopania grobu dla innego chłopca, ani opłakiwanie

zmarłej mamy dziewięcioletniego kolegi, choć on sam nie wiedział nawet, gdzie jest jego własna.

Spieczona ziemia Terytorium Północnego była czymś, za czym John nieustannie tęsknił. Jej moc sięgała dalej niż sama pamięć. Potrzebowałam czasu, by to zrozumieć. Aby zasmakować w jej ochrze czerwonej i szarobrunatnym odcieniu węgla. Nawet zamglone zielenie i blade błękity w porze deszczowej nie podsycały z początku mojej wyobraźni, do której przemawiały raczej soczyste kolory Tasmanii, wyspy mojego dzieciństwa. Busz na zachodnim wybrzeżu, u ujścia rzeki Pieman[10], gdzie deszcz nieustająco bił w sędziwe endemiczne sosny Huona w Tarkine. Cudowne wspinaczki na Cradle Mountain, Mount Roland i Mount Olympus, gdzie powietrze było kruche jak łamliwy lód. Jeziora powlekała tafla półprzezroczystego turkusu. I ta cisza, tak głośna, że można się nią było odurzyć.

Przed studiami w Canberze myślałam, że dorastałam w prawdziwym mieście. Ale nadmorskie Devonport było jeszcze wówczas małą mieściną, gdzie życie przyspieszało tylko wtedy, gdy fale Cieśniny Bassa niosły w stronę brzegu prom Princess of Tasmania płynący z Melbourne dwa razy w tygodniu. Artyści, muzycy, ludzie, którzy kochali busz, lubili Tasmanię. Moja babka od strony mamy, Ruby, była świetną malarką. Siostra mamy, Lucy, kontralcistka, była śpiewaczką znaną na całym wybrzeżu. Ma, matka ojca, i jej siostra, ciotka Rose, tworzyły szydełkiem prawdziwe dzieła sztuki, w których skomplikowanym wzorze można się było pogubić.

Dzieciństwo kojarzy mi się ze strukturą fug i preludiów, a zwłaszcza poniedziałkowych lekcji fortepianu z panią Herbert.

W sobotę i niedzielę często brałam udział w koncertach wuja Vernona, w górzystym zakątku Devonport, gdzie opychałam się ociekającym lukrem wiejskim ciastem popijanym herbatą z termosu, co było dla mnie godziwą odpłatą za wieczorne występy w kościelnych salkach. Do mojego repertuaru należało *Maleńkie dzieciąteczko mamusi*, piosenka, którą śpiewałam z poczernioną węglem twarzą, zawodząc ze smutkiem nad moją lalką, Czarną Sal. I ja, i Sal miałyśmy na włosach czerwone chustki w białe grochy. W finale często pojawiało się kalipso – wirujący świst liściastych spódniczek i samoopalacz roztapiający się w światłach rampy.

Po rodzinnym, hałaśliwym Bożym Narodzeniu, spędzanym przy stole na kozłach pod oplecioną różami ozdobną kratą, przychodził czas łódek i namiotów. Ojciec nauczył nas kochać urwiste morskie brzegi, przeskakiwał z nami fale, łowił lotele. Razem zachwycaliśmy się strumieniami górskimi, w których nurcie ginęły brunatne cienie drzew, i kuszącą, ale bardzo niebezpieczną Cieśniną Bassa.

Prowadziliśmy proste życie metodystów, skromne, ale dostatnie. Na stołach było dość jedzenia, chociaż niczego się nie wyrzucało. W mieście panowała atmosfera rodzinnej swojskości, nawet nieliczni imigranci nie wydawali się obcy. Holendrzy z ich chlewami o kilka minut jazdy autobusem od szkoły, ich sklepy z upominkami w centrum miasta, ich dobrze uczące się dzieci. Szkoci, którzy do kościoła wkładali berety. Anglicy, właściciele najpiękniejszych ogrodów.

Było to dzieciństwo spokojne, bez burz, i wielu młodych bez trudu się z nim rozstawało, gdy po ukończeniu nauki wyjeżdżało,

jak ja, w poszukiwaniu rozleglejszych przestrzeni, dalszych horyzontów. Moje przywiązanie do Tasmanii rosło przez lata spędzone poza wyspą. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak wielki wpływ na moje życie wywarła jej uwodzicielska siła. I że jej pejzaż ukształtował moje zmysły.

Gdy po długim rozstaniu wróciłam na wyspę w wieku lat dwudziestu trzech, z przyszłym mężem, stwierdziłam, że Tasmania w ogóle się nie zmieniła. Moi kuzyni zdążyli już poślubić swoje pierwsze miłości, szkolne pary też się już pobrały. Nawet jeśli niektórzy byli niemile zaskoczeni, że wychodzę za czarnoskórego mężczyznę, mieli dość dobrych manier, aby tego nie okazać. Niektóre ze starszych ciotek przyglądały nam się z błyskiem w oku.

To nie była pierwsza wizyta Johna w tych stronach. Przemierzył moje okolice – znów dziwnym zrządzeniem losu! – w 1960 roku, a pewnego dnia nawet sfotografował willę w historycznym miasteczku Deloraine, która okazała się domem mojej babki. Wędrował po górach z Franzem Ezelbochem, przyrodnikiem i pustelnikiem, który tego samego roku trzymał mnie na rękach, pozując do zdjęcia w Cradle National Park.

Borroloola była dla mnie inną planetą. W dzieciństwie i we wczesnej młodości nie natknęłam się na żadnego Aborygena, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nauczyciele fałszowali historię, wmawiając nam, że w 1850 roku kolonia karna zwana Tasmanią dla dobra ostatnich „Tasmanoidów” przesiedliła ich na chłostane wichrami, niegościnne wyspy Cieśniny Bassa. W rzeczywistości było to zwyczajne ludobójstwo, pułapka, w którą rdzenni mieszkańcy dali się wciągnąć, skuszeni obietnicą

otrzymania jedzenia i ubrań. Nieliczni, którym udało się uniknąć tego losu, pozostali na Tasmanii – byli wśród nich, jak później odkryłam, smagli kuzyni ze strony mojego ojca. Siostra taty opowiadała mi również o „czarnej krwi" w rodzinie matki z terenów za Mole Creek, ale więcej się u nas mówiło o innych przodkach – o romantycznych skazańcach, walijskich kaznodziejach i oberżystach.

Miałam dalej uczyć się śpiewu i fortepianu w konserwatorium w Melbourne, ale kariera muzyczna najwyraźniej nie była mi pisana. Na skutek jakiegoś zamieszania przy zapisach zamiast do konserwatorium trafiłam na Australijski Uniwersytet Narodowy w Canberze, na japonistykę, której miałam potem uczyć w tasmańskich szkołach. Ale ten projekt też zarzuciłam, gdy bardziej zainteresowałam się romanistyką i lingwistyką. Aż wreszcie trafiłam do Departamentu do spraw Aborygenów i tak zaczęła się praca mojego życia. Zaczęło się wypełniać moje przeznaczenie.

Australia, którą poznawałam jako młoda badaczka pracująca dla rządu, była dla mnie z początku czymś odległym i obcym. Miałam dwadzieścia jeden lat, kiedy dwie kobiety z plemienia Arandów, Cathy Abbott i Marilyn Armstrong, pokazały mi pustynny krajobraz Australii Środkowej ciągnący się od Alice Springs do ich rodzinnego Hermannsburga. Na polecenie urzędników z Canberry spotykałam się wtedy z przywódcami osad rozsianych wzdłuż łańcuchów górskich i łożysk wyschniętych potoków tej nieprzyjaznej ziemi. Miałam sprawdzić, jak działają w praktyce rządowe programy pomocowe. Pamiętam z tamtej podróży, jak jacyś mężczyźni przyjechali z upolowanym kangurem

leżącym na pace furgonetki. Było zupełnie ciemno, gdy ciało zwierzęcia rzucono na rozżarzone węgle. Niewiele widziałyśmy w blasku płomieni, ale smak mięsa, niemal surowego, tylko przypieczonego, był całkiem znośny.

Podczas tej wyprawy nocowałam w Wallace Rock Hole, w klitce z blachy falistej. Jedynym meblem było tu druciane łóżko z materacem. Podczas pustynnych nocy trzęsłam się z zimna, za to w dzień nie mogłam znieść upału. Po angielsku mówił poza mną tylko tłumacz. Nic z tego świata nie przypominało Tasmanii. Bezradna i zakłopotana, niezręcznie szukałam jakichś punktów zaczepienia. Doskwierała mi też samotność. Ludzie nie byli jednak nieżyczliwi. Zajmowali się po prostu własnym życiem, o którym ja nie miałam pojęcia. Zrozumiałam wtedy, jak bolesnym doświadczeniem jest dla człowieka wyrwanie z kultury, w której się wychował. Dla mnie to było tylko kilka tygodni. Dla wielu przymusowo przesiedlonych Aborygenów – prawie całe życie.

Przeniesieni z ziem ich przodków, stłoczeni, gdzie popadnie, w osadzie luterańskiej misji w Hermannsburgu, ludzie ci musieli przejść ciężką próbę. Osady stworzone przez państwo na południowym krańcu Terytorium Północnego stanowiły w polityce rządu zasadniczy zwrot, zmierzający do naprawy skutków wywłaszczenia, analfabetyzmu i ubóstwa. W rzeczywistości jednak osadnicy pragnęli tylko jednego – wyrwać się z powrotem na ziemie, z których ich przywleczono. Tylko niektóre z osad były w stanie utrzymać nauczycieli i lekarzy, ochronić młodzież przed demoralizacją i więzieniem. W większości panowały warunki jak z Trzeciego Świata.

Kilka miesięcy później pływałam łodzią po Cieśninie Torresa[11] – rozciągającej się przed najbardziej wysuniętym na północ krańcem Australii. Don Mosby, serdeczny, ujmujący starszy wyspiarz w najgrubszych okularach, jakie kiedykolwiek widziałam, i z równie wielkim zezem, wiózł mnie maleńką motorówką, wypatrując podwodnych skał. Prując przez błękitnozielone wody cieśniny, nie miałam wątpliwości, że uderzymy w coś, zanim Don zdoła to dostrzec. Był to dość beztroski, jeśli nie wręcz ryzykowny sposób podróżowania, choć słyszałam opowieści o rodzinach pływających po tych wodach w łodziach z zepsutym silnikiem zaburtowym lub wyczerpanym zapasem paliwa. Zwykle wszyscy ci ludzie jakoś uchodzili z życiem, choć przybijali do brzegu zupełnie gdzie indziej, niż zamierzali.

Obierając kurs na wyspę Thursday, przemknęliśmy obok Horn, gdzie mój ojciec stacjonował jako elektryk sił powietrznych podczas drugiej wojny światowej. Kiedy gorący wiatr rozwiewał mi włosy, wyobraziłam sobie nagle, jak dziwnie i obco musiał się tutaj czuć. On też był wyspiarzem – urodził się na King, nieopodal północno-zachodniego wybrzeża Tasmanii. Ale te wyspy bardzo się od siebie różniły. Smagana przez zamarzające fale i podmuchy gwałtownego wiatru Cieśniny Bassa, King walczyła z żywiołami, Horn natomiast – z Japończykami.

Podobnie jak większość mężczyzn i kobiet, mój ojciec niewiele mówił o tym, co widział podczas wojny. Jako dziecko brałam udział w paradach Anzac Day[12], podskakując wesoło w pochodach idących bulwarami. W słoneczne dni medale lśniły na piersi taty. W pochmurne, kiedy lodowaty wiatr kłuł w uszy

i palce, robiło mi się naprawdę żal Sheryl i jej siostry, moich koleżanek, które musiały prowadzić za ręce niewidomego tatę.

Nieopodal Horn przypomniałam sobie wyraz twarzy ojca, kiedy zapytałam go o „chwałę, jaką okryła się na wojnie nasza armia". „Nie ma czegoś takiego jak chwała na wojnie" – odparł. I stanowczość, z jaką wymówił te słowa, zakończyła rozmowę. W innym miejscu, w innym czasie jeszcze raz dotarło do mnie to, czego ojciec nie chciał powiedzieć. Jeszcze raz zobaczyłam smutek i dumę w oczach mojej matki.

Ale w sennej atmosferze wód Cieśniny nie czuło się teraz już nic z bitewnego zapału tamtego czasu. Pokolenie wojny powoli odchodziło do historii. Zamiast tego – nastrojowe kolacje przy lampach naftowych na zakotwiczonych przy plaży krewetkowcach, spacery łagodnymi zboczami pośród zieleni, półmiski żółwiego mięsa, bulw kolokazji jadalnej i tropikalnych owoców. Wokół domków z natryskami biegły białe żwirowane ścieżki, ogrody strzelały pod niebo liśćmi hibiskusa i bugenwilli. Piękne kościoły i werandy wiejskich domków przystrojone były jaskrawymi sztucznymi kwiatami. Palmy kokosowe wyrastały z jasnego piasku. Wydawało się, że odpryski Melanezji po prostu zdryfowały do tego miejsca powyżej kontynentu, gdzie muł uformował się podczas wielkiego odpływu w wybrzeże Papui-Nowej Gwinei. Kilka pokoleń wcześniej przybysze z północy i ze wschodu osiedlili się w tym ziemskim raju.

Borroloola leży daleko na południowy zachód od Cieśniny Torresa, choć John dowiedział się, że korzenie jego rodziny sięgają jeszcze dalej, bo aż stanu Queensland. Dziadek mojego męża urodził się w Normanton. Nigdy nie pił alkoholu, ale z jakichś

powodów przylgnęło do niego przezwisko Charlie Oberżysta. Jak większość Australijczyków, byłam wychowywana w szacunku dla własnego drzewa genealogicznego. John nie. Mówił mi, że jest szczęśliwy, że w ogóle może nosić nazwisko i imię ojca – John Moriarty. Tak się nazywali również jego dziadek i pradziadek. Mój mąż czuł zawsze, że nazwisko jest czymś w rodzaju punktu oparcia. Żal mu było innych dzieci, których wyparli się biali ojcowie. Otrzymywały one nazwiska od miejsc, w jakich przyszły na świat – jak Millie Glenn, której ojciec był białym ranczerem i nazywał się Raggett, czy Wally McArthur, syn pana Langdona, policjanta z Borrolooli. Ludziom nadawano też nazwiska szydzące z tych, które je nosili – jak Drzazga, Gwóźdź John Carter (ten mężczyzna miał przekłuty obrzędowo nos, a jego prawdziwe nazwisko brzmiało Junkata), Johnny Dwadzieścia Siedem, właściciel wielkiego stada psów, Billy Drzewo Gumowe czy wreszcie Mussolini, nasz Musso, szef ceremonii ludu Yanyuwa.

John chciał się dowiedzieć, kiedy przyszedł na świat. Biali mu powiedzieli, że w prima aprilis. Wielu wywiezionym z Borrolooli dzieciom zapisywano w dokumentach 1 kwietnia albo uważany w Australii za dzień urodzin konia 1 sierpnia. Kathleen powiedziała mi, że John urodził się w porze chłodów. Z otrzymanego po latach listu od administracji stanowej wynikało, że był to 10 lipca. Zasugerowałam Johnowi, że powinien zmienić datę w dokumentach. Ale on uważa, że nikt już naprawdę nie zna prawdy. A poza tym za późno na zmiany. Pierwszy kwietnia to data urodzin, którą zawsze miał w papierach, niech więc tak już zostanie. Dodał też, że chce ją zatrzymać, aby pamiętać, co mu uczyniono.

[5] Góry Błękitne to pasmo znajdujące się w Nowej Południowej Walii, około stu kilometrów w kierunku zachodnim od Sydney. Nazwę zawdzięczają eukaliptusom porastającym ich zbocza – liście drzew wydzielają olejki eteryczne, tworząc charakterystyczną, widoczną z daleka mgiełkę.

[6] Jako skradzione pokolenia określa się dzieci (mogło ich być nawet dwieście tysięcy) odebrane przez władze rdzennym mieszkańcom Australii w latach 1900–1970.

[7] Na półkuli południowej układ pór roku jest odmienny niż na półkuli północnej. Styczeń w Australii to miesiąc najcieplejszy, na lipiec zaś przypadają najniższe średnie temperatury.

[8] Northern Land Council – jedno z wielu stowarzyszeń broniących praw do ziemi rdzennych mieszkańców Australii. Northern Land Council reprezentuje Aborygenów z tak zwanego Top End – Górnego Krańca.

[9] Chodzi tu o instytucję urzędnika (Protector of Aborigines) wprowadzoną przez kolonizatorów. Od 1909 roku mógł on odbierać Aborygenom dzieci, zwłaszcza te pochodzące z mieszanych związków. Na początku XX wieku protektor Terytorium Północnego, Baldwin Spencer, twierdził, że dzieci półkrwi należy asymilować, gdyż intelektualnie przewyższają one swoje czarnoskóre matki. Uznał on również, że Aborygenki nie są zdolne do głębszych uczuć i szybko zapominają o swoim potomstwie.

[10] Nazwa tej rzeki pochodzi od zawodu Thomasa Kenta, ukrywającego się na jej brzegu na początku XIX wieku cukiernika

i skazańca, oskarżanego między innymi o kanibalizm.

[11] Cieśnina Torresa, między Australią a Nową Gwineą, łączy Morze Koralowe z Morzem Arafura.

[12] Australian and New Zealand Army Corps (ANZAC) – armia australisko-nowozelandzka, która walczyła podczas pierwszej wojny światowej. Obchodzony na jej cześć Anzac Day świętowany jest 25 kwietnia – w rocznicę bitwy o Gallipoli.

2
PRZYNALEŻNOŚĆ

narnu-yuwa
Należę do miejsca w umysłach moich przodków.

Moje życie wyśniły pokolenia,
które przyszły przede mną i których duszę poniosę dalej.
Ich nadzieja, marzenia i miłość
przygotowały dla mnie to szczególne miejsce.

Dzień drugi, sobota, 27 maja 2006 roku

Jest jedenasta, kiedy John, Tim i ja opuszczamy teren kopalni. Odnajdujemy Annie i Thelmę przy stacji benzynowej, na skraju miasta. Niecierpliwią się, są już gotowe do drogi. Jedziemy razem do miejsca, w którym ponad dwadzieścia kobiet siedzi na werandzie z torbami i materacami. Wszystkie one są krewnymi Johna. Znowu powitania, znowu uściski. Z ulgą zauważam, że nikt nie traktuje mnie jak obcego. Jestem synową i dla wszystkich to oczywiste, że jadę z nimi. Trzy inne auta zabierają resztę kobiet i bagaże. Dobiega południe, gdy nasze ostatnie rzeczy zostają zamocowane na dachach samochodów. Przychodzi czas pożegnania. Mam wrażenie, że John cieszy się z tej mojej

wyprawy. Jest szczęśliwy, bo jego krewne mnie lubią. Nie przeszkadza im moja biała skóra, zapominają też, że one same są czarne.

Na przedmieściach zatrzymujemy się przy sklepie, kupujemy więcej latarek i zapas wody i soków. Pięćdziesięciodolarowy banknot – to wszystko, co rada miasta przeznaczyła na tydzień podróży każdej z kobiet. Ale pieniądze się rozeszły, zanim jeszcze ruszyliśmy w drogę – z okien samochodów trafiły do rąk dzieciaków idących na rodeo. „Nie pójdą przecież z pustymi kieszeniami!".

Jedziemy w stronę autostrady. Mam trzy pasażerki – Annie, Thelmę i Dinah Norman Marrngawi. Ale teraz musimy zapomnieć o imionach używanych na co dzień. Tak każe Prawo. Moje imię może należeć do kogoś, kto już umarł, nie wolno mi zatem posługiwać się nim podczas ceremonii.

– Mów mi *yuwani*, teściowo, i tak samo zwracaj się do niej – poucza mnie Annie, wskazując Dinah. Potem ciągnie: – Do Thelmy będziesz mówić *baba*, siostro. Ona jest Nangala, czyli ta sama skóra co ty.

Yuwani Annie zaczyna cicho śpiewać, kiedy zostawiamy za plecami miasto. Wtórują jej *baba* Thelma i *yuwani* Dinah. Wybijają rytm, klaszcząc. Mówią, że to „wielka frajda" jechać do buszu autem. Dawniej kobiety chodziły tam na piechotę i zajmowało im to całe tygodnie. Zastawiały sidła na drobną zwierzynę, zbierały nasiona i jagody o świcie, przed porą upałów. Odpoczywały, gdy żar dnia powoli łagodniał o zmierzchu, przy dogasających ogniskach, nad którymi opiekano mięso. Snuły opowieści i śpiewały, robiąc kolację. Dzieliły się swoją wiedzą

i strawą, z pokolenia na pokolenie, wędrując do świętych miejsc na *corroboree*[13]. Teraz kultura porusza się na kółkach, a ceremonia tylko na krótko pozwala się oderwać od miejskiego życia.

Jedziemy już pięć godzin. Zatrzymujemy się po drodze na dwóch stacjach benzynowych: przy Heartbreak i przy motelu obok Daly Waters, na skrzyżowaniu naszej autostrady z Szosą Stuarta[14], na północ od Tennant Creek i Alice Springs. Te same przystanki robiłam kiedyś podczas pięciodniowych wypadów z Johnem z Adelajdy oraz podczas wycieczek samolotem i samochodem z przesiadką w Darwin. Teraz jedziemy szybko, bo szosa jest w dobrym stanie. Na wąskim pasie mieści się tylko jedno auto. Na poboczu – czerwony żwir. Lepiej jednak trzymać się brzegu drogi i przepuszczać rozpędzone ciężarówki i szybkie samochody. Nie warto ryzykować, że jakiś odbity oponą kamień stłucze nam przednią szybę. Pastwiska nie są ogrodzone i o zmroku kangury wybiegają czasem przed maskę. Ogromne orły z rozpostartymi skrzydłami szarpią ciała zwierząt, które zginęły pod kołami.

Wydaje się, że wjeżdżamy prosto w zachód słońca. Korony drzew przydrożnych są złote, pnie płoną czerwienią. Niebo jest różowe, a dalej, na horyzoncie, błękitne. Ciemnieje, gdy dogasa światło dnia. Jedziemy dalej. Zza okien podpływa ku nam nocna cisza.

Przecinamy Szosę Stuarta i skręcamy w boczną drogę wysypaną szutrem. Nie mam pojęcia, jak daleko jeszcze, nie wiem nawet dokładnie, jak jechać. Ani gdzie przenocujemy. Cieszę się, że nic nie jest na mojej głowie. Ufna jak dziecko, otwieram się na wszystko, co ma przynieść ten tydzień. Teraz robię tylko za

kierowcę, siostrę i synową. To niezwykła odmiana po wielkomiejskim zamęcie i pośpiechu, w którym spędzam każdy dzień.

Nieutwardzona droga w wielu miejscach jest nierówna. Samochód trzęsie i nic nie daje ani zwalnianie, ani przyspieszanie. Dołącza do nas jeszcze kilka aut – też w drodze na ceremonię. Potem czekamy godzinę, może trochę dłużej, na ostatni samochód i rozbijamy obóz na poboczu torów kolejowych. Uprzątamy z czerwonego żwiru miejsce, które upatrzyłyśmy sobie na nocleg. Znajdujemy się przy przejeździe kolejowym głównego szlaku północnego – linii prowadzącej z Darwin na południe, w kierunku Adelajdy. Ściągamy brezentowe płachty z dachów samochodów, rzucamy sobie nawzajem śpiwory i materace. Jesteśmy zbyt zmęczone, żeby jeść kolację. Tym lepiej, zostanie więcej na śniadanie.

Samochody stoją w półokręgu, tworząc osłonę obozowiska trzydziestu pięciu kobiet i dwóch małych dziewczynek. Czarne niebo nad naszymi głowami jest krystalicznie czyste. Żadnej elektryczności rozpraszającej ciemność. Zakopuję się po brodę w śpiworze. Na głowę zarzucam moskitierę. Jest mi dobrze. Ogarnia mnie miłe uczucie zapamiętane z wielu biwaków z Johnem. To wspomnienie noclegów w łożyskach wyschniętych potoków i w buszu.

Kobiety śpiewają, układając się do snu na materacach i w śpiworach przy ognisku. Ciszę tłumią tylko szepty i nucenie, nie mąci jej zgiełk miasta. „Nikt tu nie strzępi bez potrzeby języka” – jak mówi Annie. To niczym początek rodzinnej wyprawy z lat młodości, gdy każdy nowy dzień oznaczał bycie razem. Pory

roku prowadziły kobiety do nieodkrytych jeszcze łowisk, do obozowisk, gdzie rodziły, do świętych miejsc, gdzie mogły wyrażać swoją radość życia. Kiedy zasypiają, te roztańczone minione dni są jak mocna nić wiążąca siostry z siostrzenicami, matki z babkami, ciotki z teściowymi.

Droga Mleczna nad naszymi głowami przypomina fragment srebrnej pajęczyny wysadzanej diamentami. Gwiazdozbiory są jasne i wyraźne, rozproszone. Dwa pociągi rozświetlają mrok, mijając się w pobliżu stacji, rozbłyskują reflektory, wyją syreny. Budzi się kilka kobiet. Wyrwane ze snu, rozmawiają półgłosem, podśpiewują. Niedługo później ciemność przecinają reflektory wielkiego tira. Potwór przejeżdża przez tory, rycząc, trzęsąc się na nierównościach drogi. Potem już tylko cisza, która utrzymuje się aż do brzasku.

W 1980 roku John przeprowadził się do Melbourne, by stanąć na czele Departamentu do spraw Aborygenów Wiktorii i Tasmanii. Nadchodził dla nas czas ważnych decyzji, postanowień na całe nasze życie, i ta świadomość niekiedy bardzo nam ciążyła. Na zimowe wakacje, przypadające na półkuli północnej w porze australijskiego lata, pojechałam do Europy z moją współlokatorką Susan, która, podobnie jak ja, była dopiero po studiach.

Myślałam o swojej przyszłości w gajach oliwnych Krety, w ogrzewanych kaflowymi piecami kawiarniach szwajcarskich

Alp, przy spowitych mgłą kanałach Wenecji. Osły obładowane koszami pomarańczy mozolnie sunęły po wzgórzach, na które wspinałam się z przyjaciółką. Grecy częstowali nas oliwkami i winem, serwowanym przy plastikowych stołach. Zatrzymywałyśmy się w pobielanych wapnem domach pod szafirowym niebem, na szczytach urwistych skał. Poniżej łodzie ocierały się o drewniane przystanie wód przejrzystego Morza Śródziemnego. Rybacy wyrzucali na brzeg swoje sieci, a maleńkie restauracyjki na wzgórzach smażyły dla nas ryby na rozgrzanych do czerwoności rusztach. Pomidory i sery feta były dojrzałe i ostre w smaku, miód dzikich pszczół ściekał kleistymi kroplami z masy ubitego, cierpkiego, niedoprawionego cukrem jogurtu. Smaki Krety rozpływały nam się w ustach w tym prostym, zgrzebnym otoczeniu.

Przyciemnione bary zasypanych śniegiem alpejskich miast pulsowały rytmami Queen i Abby zestrojonymi z uderzeniami wiatru za oknami i z przesyconym dymem upałem panującym w środku. Zasypiałyśmy na austriackich poddaszach, pod sztywnymi od krochmalu pierzynami. Ale także na naszych torbach i plecakach w wagonach drugiej klasy niedogrzanych włoskich pociągów. Przemierzałyśmy wzburzone fale Adriatyku w zatęchłych kiszkowatych kajutkach promu kursującego z Brindisi do Pireusu. Wysadzane kostką zaułki Wenecji prowadziły nas do kościołów na *grandi piazze* i w stronę czerwonopomarańczowych zachodów słońca, oświetlających szlaki wodne, którymi przed wiekami statki kierowały się na wschód. Ta zima była dla mnie zupełnie innym światem, innym wymiarem, z którego zobaczyłam, jak bardzo historia Europy związana jest

z duchem jej miejsc. Poczułam, że mojemu własnemu krajowi brakuje takich związków. Zanurzeni w obcym krajobrazie, zalęknieni i niepewni, byliśmy głusi na bijące z jego historii źródła.

John również znalazł się tamtej zimy w Europie, choć nie miałam o tym pojęcia. Dowiedział się, że pod koniec wycieczki chcemy pojechać do Amsterdamu, i próbował przekazać mi wiadomość z prośbą o spotkanie. Ale nasze drogi się rozminęły i w końcu pojechał do Irlandii, aby odszukać krewnych ojca. Niedługo potem usłyszałam niezwykłą opowieść o jego irlandzkiej rodzinie.

Kiedy na początku 1981 roku wróciłam do Australii, przeniosłam się z całym departamentem do Sydney. Na krótko wysłano mnie do Griffith w Nowej Południowej Walii. Zamieszkałam w hotelu przy głównej ulicy, a do pracy miałam kilkaset metrów. Poznałam wtedy miejsca, w których Aborygeni pozostali całkowicie uzależnieni od rządowej zapomogi. Pieniądze płynęły na zawołanie i nie trzeba było dawać wiele w zamian. Oczywiście ten „zasiłek" zabijał w ludziach szacunek dla samych siebie i odbierał im wolę decydowania o własnym losie.

Nadchodził kryzys, który miał objąć całą Australię – był to poważny problem dla nas wszystkich. Dla filantropów, którzy mieli dobre chęci, ale za bardzo się z nimi obnosili. Dla ludzi takich jak John, pragnących nauczyć Aborygenów zaradności, odpowiedzialności i szacunku dla tradycji. Dla rządu, który nie miał żadnego planu. Polityka publicznego rozdawnictwa szkodziła społeczności aborygeńskiej przez następne dwie dekady. Oskarżano Aborygenów o lekkomyślność, jakby nie była ona

nieuchronnym skutkiem rządowego permisywizmu. Winiono ich także za to, że żyją w nędzy, wynikającej przecież z tego, że nasze „zdrowe" społeczeństwo nie potrafiło ich do siebie przekonać i przyciągnąć.

Ludzie żyli bez nadziei, w rozpaczliwych warunkach. Wygnani ze swoich ziem, upychani po misjach, rezerwatach i miejskich gettach, stali się marginesem. Skazą na jasnym australijskim obliczu, które lubiliśmy pokazywać światu. Dzieci nie uczono czytać ani pisać, rodziny rujnowała przemoc. Przyzwoitość i wzajemny szacunek odpływały z ostatnim wieczornym piwem.

Statystyki dotyczące zdrowia, edukacji, zatrudnienia, przestępczości i umieralności były zatrważające. Objawiały przepaść dzielącą Aborygenów od reszty Australii. Modne zdania – oddać władzę w ręce ludzi – były tylko frazesami. Aborygeni z buszu cierpieli najwięcej i najmniej mówili. Aborygeni z miast mówili dużo, ale nieskutecznie. Kolejne programy humanitarne pojawiały się i znikały na fali zmiennych trendów politycznych.

John i ja wiele razy tego roku przemierzyliśmy sześciogodzinną drogę między Griffith i Melbourne. Obozowaliśmy nad rzeką Murray z plemieniem Yorta Yorta i łowiliśmy drapieżne ryby z gatunku *Maccullochella peelii*. Jedliśmy *suwlaki*[15] u Jimmy'ego, Greka z Carltona, na przedmieściach Melbourne. Tańczyliśmy na wiejskich balach obok chichoczących, wchodzących w życie debiutantek, z błyszczącymi ciemnymi oczami i w koronkowych białych sukniach, a także ich dumnych ojców i matek.

Gdzieś w połowie roku postanowiliśmy, że przeniosę się do Melbourne. Kupiliśmy na kredyt jakieś meble i wynajęliśmy małe

mieszkanko w domu o szarych ścianach, na przedmieściu, w Glen Iris. Miał to być czas próby. Wielu kolegów Johna nadal niechętnie się odnosiło do naszego związku.

Choć niektórzy przepraszali nas potem, ich sceptycyzm był przykry. Oliwy do ognia dolewał jeszcze fakt, że John rozwiódł się wcześniej z Aborygenką, a ja – z kolegą z uczelni. Moje krótkie małżeństwo z Alastairem było błędem popełnionym pod wpływem impulsu (ja i mój pierwszy mąż byliśmy wówczas bardzo młodzi i naiwni), a rozstanie okazało się bolesne nie tylko dla nas, lecz także dla naszych rodzin. John z kolei miał wielkie poczucie winy z powodu nieudanego kilkuletniego związku z pochodzącą z południa kraju Retą, podobnie jak on wyższą urzędniczką administracji publicznej. Czuł, że rozstając się ze swoją ciemnoskórą żoną, poniósł porażkę, że zawiódł Aborygenów. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w pewien sposób zdradził swoje ideały. Ten ból i ta gorycz pozostały w nim na długo, a ja byłam zbyt młodą i zbyt bliską mu osobą, aby umieć pomóc. Niekiedy prześladowało mnie uczucie, że wchodzimy na wyboistą drogę.

Nie wiem, czy to fakt, że związek z Aborygenką był źle widziany, zaważył na odejściu białego ojca Johna po narodzinach dziecka. A może John Moriarty senior był po prostu poszukującym przygód niespokojnym duchem? Tak czy inaczej, czterdzieści lat później my też musieliśmy się zmierzyć z presją otoczenia. Koledzy i nauczyciele Johna nie po raz pierwszy zagrali wówczas rasową kartą. W latach sześćdziesiątych mój obecny mąż był zaręczony z białą kobietą – jasnowłosą Dianą. Zerwał z nią za namową przyjaciół, ostrzegających go przed konsekwencjami mieszanego związku. Co ciekawe, ci sami

mężczyźni bez oporów poślubiali białe dziewczyny, co może świadczyć o ich hipokryzji. Wiem jednak, że los nie obszedł się z nimi łaskawie. Wielu z nich, podobnie jak ich rodziny, będzie niosło przez całe życie blizny z dzieciństwa.

Kiedy zamieszkaliśmy razem, moja kariera w Departamencie do spraw Aborygenów utknęła w martwym punkcie, więc za połowę swojej dotychczasowej pensji przyjęłam pracę w organizacji Australian Volunteers Abroad. Szukaliśmy wolontariuszy pragnących pomagać ludziom w Trzecim Świecie. Chodziło w zasadzie o to samo: o ludzi, którzy bardziej niż ryby potrzebowali wędki. Zachodni świat nadal jednak wolał zrzucać potrzebującym okruchy ze swojego stołu niż uczyć ich, jak piecze się chleb.

Dobrze pamiętam Puchar Melbourne – zawody w listopadzie 1980 roku. Kiedy za torem wyścigowym otworzyliśmy koszyk piknikowy, od zapachu kurczaka i szampana zrobiło mi się nagle słabo i niedobrze. Zjadłam sporo suchych krakersów i wypiłam tygodniowy zapas lemoniady, zanim się zorientowaliśmy, że to te sławetne poranne mdłości.

W czerwcu 1981 roku przyszło na świat nasze pierwsze dziecko, John Timothy, czyli Tim. Miałam wtedy dwadzieścia cztery lata i jego narodziny naprawdę mną wstrząsnęły. Było to nie tylko ekscytujące doświadczenie, lecz także istny huragan nadziei i marzeń związanych z tą małą istotką. Taka burza zapewne wściekle kipi w żyłach każdej młodej matki. Chciałam go chronić, otworzyć przed nim cały świat, pomóc mu odnaleźć jego drogę. Tak to właśnie odczuwałam. Jakbym wszystko zaczynała od nowa.

John również bardzo to przeżywał. Powiedział mi, że gdy Tim się urodził, przez krótką chwilę miał wrażenie, że patrzy na niego bardzo stara twarz. Nie wiedział jednak, czy ta twarz pochodziła z miejsca, z którego Tim przybywał, czy z tego, do którego dopiero szedł.

Kupiliśmy mały domek w Northcote, w dzielnicy willowej na obrzeżach miasta. Mozolnie skrobaliśmy zawilgocone tapety i odklejające się tandetne linoleum. Gazety z 1944 roku, wygrzebane spod podłogi, wzywały ludność, by ograniczyła posiłki do jagnięciny i wołowinę zostawiała dla żołnierzy. Melbourne w czerwcu było lodowato zimne i w trójkę gnieździliśmy się w małym pokoiku – bo tylko tam działał kaloryfer. John lubił leżeć z zawiniętym w kołderkę Timem na piersi lub przytulonym do brzucha. A ja lubiłam zapach dziecka po kąpieli, lubiłam patrzeć, jak jego wzrok błądzi po ścianach pokoju, chłonąc kształty i kolory, albo jak Tim odpływa w sen. Na kołderce, kocyku i zasłonkach w pokoju synka nadrukowaliśmy żółwie wężoszyje[16] – żeby uczcić narodziny dziecka Yanyuwa, które należało i do czarnego, i do białego świata. Chcieliśmy, by Tim poczuł swobodę, z jaką John porusza się w obu rzeczywistościach, nie grzęznąc przy tym na podmokłym gruncie niejasnej tożsamości. Kiedy mały rósł, żółwie przypominały mu o jego pochodzeniu.

Pobraliśmy się w kościele anglikańskim St. Faith's w dzielnicy Burwood w Melbourne. Był sierpień 1982 roku. Tim gaworzył w ramionach mojego ojca siedzącego w pierwszej ławce. Nie obyło się bez łez. Słońce rozświetlało ten niezrównany, niezapomniany dzień. W ogrodzie, na dymiących kamieniach, upiekliśmy rybę

barramundi[17]. Wesele skończyło się o trzeciej nad ranem – deserami, które podaliśmy w kuchni wypełnionej przyjaciółmi i krewnymi. A barramundi przyleciały do nas samolotem, wysłane przez bliskich Johna z Darwin, połyskujące gładką łuską, ułożone w lodzie w jakichś starych pojemnikach. Potem często widywałam te małe chłodnie wędrujące między buszem a miastem. Mięso ryby, żółwia, diugonia i dzikiego indyka było zapewnieniem o pamięci. Wyrażało pragnienie ludzi, by któregoś dnia być znowu razem.

Miesiąc miodowy spędziliśmy nad zatoką. Droga z Melbourne zajęła nam pięć dni. Pojechaliśmy tam odmalowanym na żółto fordem falconem z czarnym dachem i winylowymi fotelami, ale bez klimatyzacji. Na tylnym siedzeniu Tim cierpliwie znosił upał. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się, żeby zmienić wilgotny ręczniczek na jego głowie. Jakiś kamień spod kół ciężarówki roztrzaskał nam przednią szybę niedaleko Mount Isa i powietrze wpadało do wnętrza samochodu jak podmuch z rozgrzanego pieca.

Kiedy wjechaliśmy na drogę przy Płaskowyżu Barkly, dla Johna był to chyba znak, że czas na opowieść, bo snuł ją przez ostatnie kilkaset kilometrów. Historie wylewały się jedna z drugiej, tworząc wielowątkowy melanż. John wspominał o okolicach nad rzeką McArthur, o rwących potokach i stojących wodach jezior. O tym, jak w kompletnej ciszy przemierzał z wujami płycizny, kiedy po latach odnalazł w końcu rodzinę. Usłyszałam o wszystkich ludziach, których wkrótce miałam poznać, o tym, jak bardzo mnie pokochają i jak bardzo ja pokocham ich. Jako żona mężczyzny z ludu Yanyuwa i matka jego dziecka należałam teraz do rodziny, byłam jej częścią, jakby zrodziła nas ta sama krew.

John zażartował, że uprowadził jedną z cór Tasmanii i że zgodnie ze starym zwyczajem nasze rachunki są już wyrównane, bowiem przemierzył „kawał świata", aby mnie znaleźć.

Słońce już zachodziło, gdy zakurzoną drogą wjechaliśmy do Borrolooli. Ludzie idący skrajem drogi odwracali się, dostrzegając Johna przez otwarte okno samochodu, po czym wrzeszczeli do innych: „John Morriuddy! O rany, John Murriuddy!". Musieliśmy się zatrzymywać co kilka metrów. Mężczyźni i kobiety przyciskali głowę Johna do swoich twarzy, przytulali się, płacząc z radości, że go znów widzą; ręce wyciągały się w kierunku siedzącego w dziecięcym foteliku Tima, dotykały go delikatnie. Niezliczone dłonie mocno potrząsały moimi dłońmi.

Dojechaliśmy wreszcie do obozu Yanyuwa i wyciągnęliśmy Tima z samochodu. Ciotki i babki wzięły w czarne jak heban ramiona nasze dziecko o jasnej południowoaustralijskiej karnacji i niemal białych włosach. Zbliżali swoje policzki do moich, powtarzając: „Dobrze cię widzieć, córko", „Jak się miewasz, siostro?", „Dzień dobry, wnuczko", „Witaj, synowo". Mężczyźni ściskali moją dłoń, odwracając wzrok, jak nakazuje Prawo. Byłam wzruszona tym powitaniem i wspaniałomyślnością, z jaką mnie przyjęli, pokazując, że mam teraz drugą rodzinę. Cieszyłam się też szczęściem Johna, który mógł wreszcie pokazać bliskim swojego synka.

Rozbiliśmy namiot przy Ryan's Bend, obok przyczepy, w której mieszkali Willie i Kathleen, jakąś godzinę jazdy samochodem do miasta. Pies Williego, Jack, wył tęsknie do upolowanej w buszu zwierzyny, która zwisała z jakiejś gałęzi, aby doschnąć. Pewnego ranka wdrapał się na drzewo i zabrakło mu dosłownie kilka

centymetrów, aby złapać zębiskami ogon diugonia, ale Willie w porę go zobaczył i wrzasnął, by natychmiast złaził. Krzyk wystraszył psa i Jack stracił rezon. Zjechał po pniu, na próżno próbując uczepić się pazurami kory.

Był świetnym łowcą wielkich jaszczurek. Miał skórę nosorożca, pomarszczoną i wygarbowaną, a jego sierść dawno diabli wzięli; stracił ją na wojnie z kleszczami i z twardym życiem. Czasem, kiedy Willie był gdzieś pod telefonem, John dzwonił do niego z południa i pytał o Jacka.

– Twój brat ma się dobrze, mój synu – odpowiadał wtedy Willie.

Raz oznajmił:

– Niezły numer z tego Jacka. Przyuważył węża, rzucił się na drania i uratował twoją matkę.

Ale John zdumiał się jeszcze bardziej, gdy pewnego dnia Willie stwierdził:

– Dobrze się teraz ma ten twój braciszek. Cholernie dobrze. Sierść mu wróciła.

Okazało się, że Willie obmyślił jakąś cudowną płukankę dla psa z nafty i proszku do prania Rinso.

Dzielny Jack wiele razy ratował życie ślepej Kathleen, broniąc ją przed dzikimi zwierzętami, a na koniec tracąc własne w walce z mulgą – jadowitym brązowym wężem z rodziny zdradnicowatych. Willie zatelefonował wtedy ze smutną wiadomością.

– Twój brat odszedł, synu.

Nasza pierwsza podróż nad zatokę z Timem nie była bułką z masłem. Drzewa sawanny tylko od czasu do czasu dawały trochę cienia, a namiot nasiąkał żarem natychmiast po zachodzie słońca.

Maleńkie muszki atakowały wilgotne kąciki naszych oczu, gdy szliśmy do potoku, aby napełnić menażki. Komary brzęczały wokół obnażonej skóry. Pulchne ciałko Tima szybko się zaczerwieniło, pokryło bąblami i potówkami. Jego łazienką była wielka plastikowa balia, w której siedział, radośnie rozchlapując wodę na wszystkie strony, ukryty w cieniu namiotu. Wszędzie chodziliśmy z mokrą chusteczką przynoszącą ulgę jego małej główce. W jednym z oczu Tima pojawiło się zapalenie po ukąszeniu muszki – czuł ból, gdy ciepłą wodą przemywaliśmy opuchliznę. Na szczęście nasza apteczka wypchana była tubkami maści przeciwzapalnych oraz tabletkami i syropami na biegunkę i wymioty. Wiedzieliśmy, że nie uniknie wielu dziecięcych chorób zakaźnych, podobnie jak większość dzieci Aborygenów.

Ja też chorowałam – kasłałam, miałam wysoką gorączkę i bóle głowy. Tłuszcz diugonia powodował u mnie gwałtowne torsje. Plamki po ukąszeniach czarnych moskitów, zwanych tutaj *kirdil*, w ciągu paru godzin zmieniały się w piekące żółtawe pęcherze. Nauczyłam się, które części diugonia mogę jeść bezpiecznie, i wymogłam na Johnie obietnicę, że o świcie i o zmroku, gdy moskity gryzą najdotkliwiej, nie będzie mnie zabierał nad rzekę.

Myliśmy się w potoku, uważając na czające się przy brzegu węże. Świeże mięso trzymaliśmy w lodzie, moczyliśmy suszoną fasolę i wszystko razem dusiliśmy w garnku nad ogniskiem, z dynią i cebulą, które przez kilka dni wytrzymywały upały. Les James hodował pomidory i arbuzy: był to biały facet dzierżawiący chyba od zawsze kawałek ziemi nieopodal. Świeże owoce z jego ogrodu cieszyły się ogromnym powodzeniem przy drogach, gdzie je sprzedawał. Z Kathleen i Williem jedliśmy żółwia i diugonia,

a mięso zębacza było naszą ulubioną przyrządzaną na ruszcie potrawą.

W niosące nieco ukojenia chłodne wieczory siadaliśmy przy ognisku. Zatrzymywaliśmy wzrok na jasnych językach płomieni, a potem omiataliśmy spojrzeniem milczącą przestrzeń wokół nas, gdzie czas wydawał się zwalniać. Słuchaliśmy opowieści Kathleen o nocnym niebie. Niewidoma za dnia, w ciemności bez trudu wskazywała gwiazdy, które poznała i zapamiętała z obrzędów odprawianych w młodości. Tuląc Tima, śpiewała mu rzewne kołysanki, usypiała go cichymi pieśniami o Snach związanych z tymi zimnymi światłami.

Podczas pierwszego pobytu w Borrolooli Tim otrzymał od starszyzny imię. Jego skórą – syna Bulanyi (to skóra Johna) i Nangala (to skóra Ros) – jest Balarinji. Skóra określa miejsce Aborygena w społeczeństwie, które zna osiem klas skór dla mężczyzn i osiem dla kobiet – to mapa przecinająca środek i północ kontynentu, łącząca ludzi z ziemią i ceremoniałem. Osadza ich w strukturze praw i powinności i decyduje o tym, kto z kim może zawrzeć małżeństwo (ten praktyczny nakaz z przeszłości zapewnia zdrowe potomstwo w plemionach nomadów żyjących na granicy przetrwania). Mapa skóry w dawnych czasach stanowiła skomplikowaną sieć zależności, subtelny i skuteczny sposób tworzenia więzi. Był to również system, który nie wybaczał. Zakazane małżeństwa karano śmiercią, a zdeformowane dzieci z zabronionych związków często skazywano na zagładę. Tylko dzięki temu plemię mogło przetrwać.

Czekaliśmy więc na imię Tima, które miało odzwierciedlać jego pozycję w świecie buszu i jego totem, miejsce w topografii zatoki. Imię Johna to Jumbana. Jego totemami są kangur i Tęczowy Wąż. Jego terytorium biegnie od Centre Island do ziem na wschodnim brzegu rzeki McArthur, niemal do Managoory, a dalej do Balbirini, na południowy zachód od Borrolooli, i do Hodgson Downs na północnym zachodzie kontynentu. Mój totem to Wanujubi, czyli Wielkie Usta – ogromna, błękitna, okoniokształtna ryba głębokich mórz z rodziny wargaczowatych. Plemienny brat Johna, Sam, żartuje, że wybrano dla mnie Wanujubi, bo buzia mi się nie zamyka, w rzeczywistości jednak jestem częścią historii, która zaczęła się w stanie Queensland, gdy Wielkie Usta obrały kurs na zachód. W Nyamarranguru na South West Island głowa i tłuszcz Wanujubi przybrały kształt Snu i jeśli opiekunowie ceremonii Wielkich Ust, dotarłszy do tego miejsca, uderzą harpunem w skałę, która jest głową ryby, rybacy będą mieli dobry połów.

To Stary Tim Rakuwurlma, po którym nazwaliśmy naszego syna, wybrał plemienne imię dla małego. Zazwyczaj wiercący się jak piskorz, nasz pierworodny przez trzy dni, niemal bez przerwy, siedział spokojnie na artretycznym kolanie Starego Tima, prawie się nie poruszając. Czwartego dnia otrzymał imię Baniyan. Jako wnuk wszechmocnego Tęczowego Węża, Baniyan to zarazem magiczny punkt, w którym przecinają się wszystkie linie ceremoniału ludu Yanyuwa. Nasz Tim przynależy zatem do ziem rozciągających się od Centre Island i Vanderlin po Limmen Bight na zachodzie.

Tim Rakuwurlma był dla mnie kopalnią wiedzy. Przekroczył wtedy dziewięćdziesiątkę i zwykle siedział na gołej ziemi, od czasu do czasu przesuwając tylko nieznacznie ciężar ciała z jednej nogi na drugą lub wyciągając rękę, by nalać sobie herbaty. Do szczęścia wystarczała mu obecność rodziny, świadomość, że przeszedł przez życie w zgodzie z Prawem, trochę jedzenia i dach nad głową. Pamiętał całą dwudziestowieczną historię zatoki Karpentaria. Pamiętał, jak Makasarczycy przybili do brzegu jego rodzinnej wyspy, kiedy był małym chłopcem. Na długo, nim Brytyjczycy skolonizowali Australię, ci nieustraszeni rybacy pokonywali w łodziach niedużą odległość dzielącą ich port Makasar na wyspie Celebes (dzisiaj Ujung Pandang na Sulawesi w Indonezji) od Australii Północnej.

Makasarczycy przypływali, by handlować. Pokazywali Aborygenom nowe technologie, jak choćby czółna *prahu* i metalowe gwoździe do harpunów do polowań na diugonia. Zaopatrywali północ w ryż, tytoń i aromatyczny napój alkoholowy zwany arakiem. Zakładali obozy z kuchniami polowymi, by patroszyć, przetwarzać i poddawać konserwacji trepangi – strzykwy zwane też morskimi ogórkami – które wyławiali z przybrzeżnych zamulonych wód i głębszych rozlewisk. Wracali potem do domu w swoich *prahu* wypełnionych masą perłową, szylkretem, rogami bawolimi, suszonymi płetwami rekina, perłami, drzewem sandałowym, cyną i manganem. Czasem zabierali z sobą aborygeńskich mężczyzn. Ślady ich obozowisk zachowały się do dziś – zostały po nich wysokie tamaryndowce o czerwonym drewnie i kamienne kopce, na których wieszali kotły warzelne z trepangami.

Kontakty z Makasarczykami były dla ludu Yanyuwa jak okno na świat. Ludzie zaczęli odchodzić od starego porządku z czasów, gdy klany nieustannie wędrowały – kilka miesięcy w jednym obozie, kilka tygodni w innym. Teraz kamienne studnie wykopane przez Makasarczyków pozwalały na bardziej osiadłe życie. Yanyuwa mogli dłużej przebywać w swoich siedliskach, nawet do ostatnich dni pory suchej. Wtedy naturalne zbiorniki wodne wysychały i Makasarczycy odpływali.

Nowa, mocniejsza i mniej wywrotna łódź skonstruowana przez Makasarczyków, bezpieczniejsza niż aborygeńskie czółna z kory, mogła zapuszczać się na odległe wody rzek lub na morze. Miała też więcej miejsca do przewożenia ptasich jaj, kur, ryb i skorupiaków. Makasarczycy najmowali Aborygenów jako robotników, uczyli ich nowych umiejętności, poszerzali ich techniczną wiedzę o wielu urządzeniach. Obozy tymczasowe zaczęły funkcjonować jako półstałe i podczas gdy na południu Europejczycy niszczyli tradycyjne formy życia, na północy zachodził równie gwałtowny proces. Na ziemiach Yanyuwa kończyła się właśnie licząca dziesiątki tysięcy lat epoka koczowników.

Gdy przywołuję w wyobraźni obraz Tima Rakuwurlmy z naszym dzieckiem na kolanach, czuję ogromny szacunek dla tych ludzi, których duchowość jest esencją Australii. Lecz jednocześnie czuję smutek i rozgoryczenie, myśląc o bujnej, bogatej młodości w buszu Rakuwurlmy i o jego niewesołej miejskiej starości. W krótkim rozbłysku, którym było to bardzo długie życie, tajemny, uświęcony świat pokolenia Starego Tima – i wszystkich pokoleń przed nim – dogasał, dobiegał końca.

Australia znalazła się w punkcie bez odwrotu. Mądrość, którą Aborygeni pielęgnowali i przekazywali potomnym przez tysiące lat, miała na zawsze zniknąć z pamięci i praktyki codziennego życia. Widmo tego przemijania podsuwało mi wiele niewygodnych pytań. Dlaczego z takim uporem wielu z nas odrzuca to dziedzictwo, uznając za swoją tylko tę Australię, którą stworzyli Brytyjczycy? Uświadomiłam sobie, że zrozumieliśmy wartość rdzennej Australii, dopiero gdy ją utraciliśmy.

Wtedy jednak jeszcze tego nie wiedziałam. Skłamałabym także, gdybym powiedziała, że nasza pierwsza wspólna podróż nad zatokę była odkryciem raju na ziemi. Upalne, męczące dni spędzane przy niedomagającym dziecku często przechodziły w wyczerpujące noce, podczas których zdrapywałam w namiocie strupki po ugryzieniach insektów z oblepionego brudem ciała, a potem, kaszląc i trzęsąc się w gorączce, zapadałam w niespokojny sen. Budziłam się z samego rana, przerażona myślą, że wymioty i biegunka Tima są groźniejsze, niż przypuszczaliśmy, i podręczna apteczka nie wystarczy.

Niezmącony spokój i cierpliwość matki Johna i Williego wprawiały mnie w osłupienie. Nie mieli samochodu, którym mogliby pojechać do miasta po jedzenie, a zresztą zapomoga, odbierana co drugi czwartek, i tak na niewiele by im starczyła w absurdalnie drogim sklepie osiedlowym. Spekulanci zdzierali z Aborygenów, manipulując ich pieniędzmi i w wielu przypadkach zajmując zapomogi swych dłużników.

Kathleen i Willie byli zdani na życzliwość młodszych ludzi i rodzin mieszkających w pobliżu – oraz na to, co tamci zdołali upolować w buszu. Czasem zdarzała się wołowina, kiedy pod nóż

szła jakaś zabłąkana krowa. Jeśli było co jeść, jedli. Jeśli nie, pili wodę i herbatę. I czekali. Czekanie jest częścią stylu życia Aborygenów, którzy otaczają starszych opieką, poważają ich mądrość i wiedzę. Ale na początku lat osiemdziesiątych cały ten porządek zaczął się rozpadać, narastał alkoholizm, a staruszkowie nierzadko marzli i chodzili głodni.

Dla mnie, młodej żony i matki, świat mojej nowej rodziny był nie do pojęcia. Podczas badań dla Departamentu do spraw Aborygenów widywałam już krzywdę i dyskryminację. Ale to, co zobaczyłam w Borrolooli, było innym rodzajem nieprawości – ograbianiem ludzi dosłownie ze wszystkiego. Nikt spoza zatoki nie interesował się tym wyzyskiem. Yanyuwa pozostawiono samym sobie. Władze miejskie wydawały się nieczułe na nędzę, choroby i głód. A rezygnacja, zgoda mieszkańców na własne położenie czyniły je jeszcze smutniejszymi. Było dla mnie czymś upokarzającym patrzeć, z jaką pogodą rodzina godzi się na niesprawiedliwe traktowanie.

John natychmiast dał się wchłonąć plemiennym zwyczajom. Uwielbiał siedzieć przy ognisku, rozgarniać żar i podsycać płomień pod smażoną rybą. Wyczuwał najcichszy szmer dochodzący z buszu. Rozpoznawał zapachy, odgłosy budzącego się dnia i zapadającego zmierzchu – trzepot skrzydeł owadów, ptasie pieśni, plusk każdej ryby w rzece. Pokazywał nam rozmyty ślad krokodyla sunącego po piaszczystym dnie płycizn. Poznałam wówczas jego wujów – Mussoliniego (Mussa) Harleya Bangkarrinu i Lea Finlaya Wurrawurra. To oni po powrocie Johna do domu po raz pierwszy zabrali go na ceremonię. Musso był człowiekiem krokodylem – *mardumbarra* – i w jego żyłach

krążył duch zatoki Karpentaria. Czułam duszę tego kraju, kiedy siedziałam obok, słuchając głosu Mussa, obserwując wielkie dłonie mocujące silnik z tyłu łodzi, zarzucające sieć lub ciskające harpun. Dostrzegałam nie tylko fizyczną siłę, lecz także moc ducha. Musso i Leo byli kimś wyjątkowym, mężczyznami Prawa, jak powiedział John. I choć kobiety nie mogły nic o tym wiedzieć (nie była to „kobieca sprawa"), wyobrażałam ich sobie podczas ceremonii w rozjaśnione światłem księżyca obrzędowe noce.

Lejący się z nieba ukrop spowijał nas niczym nasączony wilgocią koc, kiedy ruszaliśmy na południe. Myślałam z utęsknieniem o chłodniejszym klimacie. Pożegnanie z krewnymi Johna trwało jeszcze dłużej niż powitanie. (Mój mąż zdradził mi kiedyś, że ciotka zwymyślała go, gdy któregoś razu odjechał, nie mówiąc nikomu „do widzenia"). Cała rodzina płakała – nie z powodu rozłąki, lecz ze współczucia dla nas – oderwanych od najbliższych, od ziemi przodków i Prawa, które nadaje sens życiu.

Żółty ford zawiódł w drodze powrotnej do domu. Sto kilometrów za Borroloolą auto się przegrzało i z rzężeniem silnika wylądowaliśmy w Heartbreak. Dolaliśmy wody do chłodnicy i rozpuściliśmy trochę białka z rozbitego jaja, w nadziei, że zaklei przeciek w silniku. Dotarłszy do Mallapunya, stwierdziliśmy, że przy sześćdziesięciu na godzinę znowu zaczynamy przeciekać. Postanowiliśmy dowlec się jakoś do Alice Springs, stacji końcowej budowanego wciąż szlaku kolejowego południe–północ, a stamtąd zabrać się pociągiem.

Jechaliśmy prawie trzydzieści sześć godzin, dzień i noc. Pierwszego wieczoru zmieniłam Johna przy kierownicy, żeby odpoczął, ale nie upłynęła nawet godzina, kiedy powieki same

zaczęły mi opadać. Pozwalaliśmy sobie na odrobinę snu na poboczu drogi, a potem John siadał za kółkiem i znowu telepaliśmy się na południe. Tim siedział cierpliwie w swoim dziecięcym foteliku. Zrobił już pierwsze kroki na ziemi Borrolooli, ale na kolejne przyszło mu poczekać. Najpierw musieliśmy ułożyć sobie życie w Adelajdzie.

---

[13] Aborygeńska uroczystość, podczas której tańczono i śpiewano, naśladowano ruchy zwierząt, odgrywano sceny z plemiennego życia.

[14] Droga, którą odkrył geodeta McDouall Stuart między dwiema pustyniami, wiodąca z południa na północ Australii.

[15] Suwlaki – greckie szaszłyki z marynowanego mięsa.

[16] Cechą szczególną tych zwierząt jest nieproporcjonalnie długa szyja. Żółwie wężoszyje prowadzą półwodny tryb życia. Występują w Ameryce Południowej, w Australii i na Nowej Gwinei.

[17] Barramundi – drapieżnik z rzędu okoniokształtnych, żyjący w wodach słodkich i słonych. Osiąga ponad metr długości i wagę około pięćdziesięciu kilogramów. W naturze występuje w Australii Północnej, w Azji Południowo-Wschodniej i w wodach Oceanu Spokojnego.

3
DAWANIE

ngulhu
Hojne dawanie i świadomość moich powinności
to jedno i to samo.

Szczodrość to coś oczywistego:
nic szczególnego, tylko coś, czego się ode mnie oczekuje.

Dzień trzeci, niedziela, 28 maja 2006 roku

Na długo przed świtem *yuwani* Annie unosi się obok mnie na swoim materacu i naciąga na głowę koc, chowając się przed zimnem. Suchy, urywany kaszel nie pozwala jej zasnąć. Wychodzi dopiero z grypy i żucie tytoniu Log Cabin na pewno w tym nie pomaga. Ale Annie ma ciężkie życie i zasługuje na trochę przyjemności. Zaczyna nucić w swoim narzeczu. To stare obrzędowe pieśni. Reszta kobiet do niej dołącza. Nawołują się głośno, dając obozowi znak, że pora wstawać. Powoli i nieśmiało nastaje nowy dzień – to pora przed brzaskiem, słońce jeszcze nie wzeszło. Gwiazda Wieczorna jest ostatnim diamentem wiszącym na niebie. Aż wreszcie przeobraża się w Gwiazdę Poranną i wstaje dzień.

Jest dość chłodno. Zbieramy drzewo na ognisko, wleczemy pniaki po nasypie kolejowym, zostawiając w piasku prążkowane ślady. Podsycamy ogień na wczorajszym palenisku i płomienie szybko skaczą w górę. Kiedy nieco opadają, przypiekamy kiełbaski, smażymy steki i kotlety, obracając mięso na okopconej kracie. Jemy je z chlebem i sosem, w skrzynkach czekają jabłka i pomarańcze, popijamy wszystko herbatą. Bardzo obfite śniadanie. Na ogół w miastach-obozach Aborygenów je się kawałek zimnego mięsa z poprzedniego dnia, a najczęściej po prostu nic. Ale dowiaduję się, że ludzie z Central Land Council[18] zapewniają nam logistykę na cały tydzień, również prowiant. Miło mi patrzeć, jak te starsze kobiety najadają się do syta. Ich zasiłki prawdopodobnie od razu przepadają w barach, przepuszczone przez pijących krewnych. Widzę, że rozkoszują się sytością, do której nie nawykły. A zostało jeszcze mnóstwo mięsa.

Pytam Annie, czy mogę zrobić zdjęcia obozu: śpiworów i rozmawiających kobiet.

– Nie – odpowiada. – Żadnych zdjęć. Możesz tylko zapisywać. I nie wolno ci napisać ani słowa o ceremonii. Zobaczysz cały obrzęd, ale potem cicho sza. – Po chwili zmienia jednak zdanie. – W porządku. Możesz zrobić kilka zdjęć w obozie. Ale nie na miejscu ceremonii.

Spaceruję zatem po obozie, fotografując kobiety Prawa. *Yuwani* prowadzi mnie za rękę. Mój na ogół sprawny aparat zacina się bez przerwy. Mam nadzieję, że nie wysiądzie. W obiektywie widzę jaśniejące, naturalnie piękne twarze kobiet. Ich skóra chłonie poranne światło.

Zaczynamy zwijać nocny obóz. Jedna z kobiet z Borrolooli zaczyna tańczyć przy drodze, kiedy mija ją pędzący samochód. Inne wybuchają śmiechem. Ona jednak nie przerywa żartu – teraz tańczy z ramionami uniesionymi w stronę torów. Dzwonki na przejeździe zaczynają dzwonić, rozlega się przeciągły gwizd pociągu i jej koleżanki znowu pokładają się ze śmiechu. Potem rozlega się śpiew. W języku, który tylko one znają. Wszystkie niecierpliwie wyczekują ceremonii.

Niewiele się tu mówi po angielsku.

– Muszę cię nauczyć naszej mowy – oznajmia Annie. – John to mój prawdziwy syn, synowo – powtarza wytrwale. – Kiedy jego matka odeszła, powiedziała, żebym zaopiekowała się chłopcem.

– No to już, opiekuj się – żartował sobie poprzedniego dnia John.

Ruszamy w dalszą drogę. Po godzinie docieramy do stacji benzynowej przy Top Springs. Z budki telefonicznej dzwonię do kopalni, żeby powiedzieć, gdzie jesteśmy. Informuję, że kierujemy się na południowy zachód, do Kalkaringi. Nie potrafię podać dokładnego celu naszej podróży – po prostu go nie znam. Pół godziny drogi od Top Springs hamujemy. Nawala opona samochodu z przyczepą. Kobiety wysypują się w nieładzie z auta, przysiadają w cieniu drzewa. Nie brakuje tu takich, które umieją obchodzić się z lewarkiem i po kilku minutach koło jest zmienione.

Na całej długości drogi stada orłów i kruków posilają się mięsem rozjechanych kangurów. Ptaki są zuchwałe. Cofają się tylko trochę, przekrzywiając głowę, czekając, aż pojedziemy dalej. Roślinność jest skąpa, choć dość zielona, a przecież wjeżdżamy już

prawie na pustynię. Pora deszczowa przyniosła tego roku dużo wilgoci.

Z tylnych siedzeń ciągle dobiegają pieśni. Powoli zaczynam oswajać się z intonacją, mimo że język pozostaje obcy. Rozpoznaję poszczególne głosy, choć auto hałasuje na nierównej drodze.

Dojeżdżamy do rozwidlenia, gdzie musimy skręcić. Na skleconym naprędce znaku czytamy: ZGROMADZENIE KOBIET PRAWA. Po kilku kilometrach po wertepach i ponad dwudziestu czterech godzinach od wyjazdu z Borrolooli docieramy na miejsce. W gąszczu wykarczowano ogromne koło, tak że powstało pole ubite czerwonym piachem. Kobiety z pustyni już zaczęły tańczyć. Jest nas tu ponad dwieście, a do tego kilku kierowców i robotników. Dzięki przyczepie chłodni mamy jedzenie na cały tydzień. Warczą generatory. Ponad dwadzieścia aut z napędem na cztery koła zatrzymuje się przy obozowiskach.

Gdy wysiadam z wozu, z przedniej i tylnej opony wydobywa się przeciągły syk. Obydwie siadły, przebite widocznie podczas przedzierania się przez zarośla. Jakiś ostry patyk tkwi jeszcze w jednej z nich. Na szczęście poznaję Francene, tryskającą energią młodą kobietę z Tennant Creek. Pracuje dla Central Land Council i też przyjechała na ceremonię. Jej ojciec zmarł, kiedy miała dwanaście lat, i jest jedną z czterech sióstr. Potrafi dosłownie wszystko. Pokazuje mi, jak zmieniać terenowe opony. Cała jestem w czerwonym pyle i pocę się jak mysz. Francene jest cierpliwa, pomocna i rozbawiona moją nieudolnością. Jako szefowa operacji logistycznych przewidzianych na ten tydzień pewnie ma mnóstwo innych rzeczy do roboty.

Rozbijamy obóz na wykarczowanym kawałku ziemi, nieopodal placu ceremonii. *Yuwani* Annie wybiera miejsce i rozkłada brezentową plandekę, na której będziemy spały, po czym wydaje polecenie mojej bratanicy, *kathakatha*, by rozwinęła należący do mnie śpiwór. Mówię, że to żaden problem, że mogę zrobić to sama.

– Nie, *narna* (ciociu) – oznajmia tamta z poważną miną. – *Kukurdi* (babka) powiedziała, że ja to zrobię.

W rodzinie ważna jest hierarchia.

Rozpalamy ogień. Płonie między posłaniami kobiet, które będą spały obok siebie, po trzy lub cztery. Otwieramy torby z żywnością – mięsem, mlekiem w proszku i w kartonach, płatkami Weet-Bix, owsianką, sosem pomidorowym, kawą i herbatą. Kolacja i śniadanie. Szybko przypiekamy mięso, kładziemy na chleb. Zaparzamy herbatę i gdy zaczyna zapadać zmrok, obóz powoli szykuje się do snu. Kobiety nawołują się z różnych stron. Dorzucamy do ognia drewno, aby podtrzymać płomień. Nasze ognisko pali się bardzo blisko mojego materaca i robi się gorąco. Zapytam Annie, czy na jutrzejszą noc nie można by go przesunąć dalej od płomieni.

Mam wszystko przygotowane do noclegu. W rogu śpiwora kładę butelkę wody, sweter i latarkę. Futerał z okularami ląduje w poszewce na poduszkę. Zostały jeszcze buty. Po namyśle wsuwam je pod materac w nogach śpiwora. Małe szanse, żeby węże lub robale znalazły je w tym miejscu i zrobiły mi nad ranem niemiłą niespodziankę. Wyskakuję z ciuchów, wcześniej wodą z bagażnika samochodu opłukałam twarz i wyczyściłam zęby. Rozkoszuję się świeżym aromatem mięty.

Tej nocy niebo jest tak samo czarne i rozgwieżdżone jak wczoraj, ale wiatr nie przynosi chłodu. Obóz tętni jeszcze odgłosami rozmów. Osuwam się wreszcie w płytki sen, czując nieznośny ciężar oddalenia, tęskniąc za Johnem i za dzieciakami. To, że dwoje z nich to już dorośli ludzie, a trzecie jest prawie samodzielne, nie ma dla mnie znaczenia. Przejmująca cisza buszu pogłębia samotność.

Gdy po raz pierwszy wróciliśmy znad zatoki z małym Timem, zapuściliśmy korzenie w Adelajdzie. John dostał pracę w tamtejszym Departamencie do spraw Aborygenów, a ja tkwiłam w martwym punkcie. Po urodzeniu dziecka zrobiłam kilka reportaży dla Radia Australia – o problemach kobiet, o sporze o regulację rzeki Franklin, o sprawach Aborygenów – ale większość czasu spędzałam w domu. Przygarnęli nas wtedy Billie i Bruce Hollandowie, bo wciąż rozglądaliśmy się za mieszkaniem. Hollandowie byli bardzo serdecznymi ludźmi, białymi, którzy przyjęli Johna pod swój dach, kiedy jako szesnastolatek został wyrzucony z domu dla chłopców. Zrobili to, choć mieli niewiele miejsca dla swoich własnych dzieci i byli niezamożni. A teraz znów z otwartymi ramionami przywitali Johna, w dodatku ze mną i z małym Timem.

Billie Holland jest dziś po osiemdziesiątce i nadal kocha Johna, jakby był jej rodzonym synem. Bruce był natomiast, według

mojego męża, pierwszy do bitki i wypitki. Większość wieczorów spędzał w pubie – z którego wychodził jako ostatni – ale nigdy nie powiedział Johnowi ani jednego złego słowa. A ich córkę Wendy mój mąż traktuje jak rodzoną siostrę.

Byłam zaskoczona, kiedy odkryłam, że również w Adelajdzie można spotkać się z rasizmem. Agent nieruchomości pokazał nam kiedyś ładne mieszkanie w bardzo zielonej dzielnicy Leabrook. Czynsz nie był problemem dla nieźle zarabiającego wyższego urzędnika. Gdy jednak już mieliśmy podpisać umowę najmu, szef agenta spojrzał tylko na Johna i oznajmił, że sprawa jest nieaktualna. Chciałam zrobić dziką awanturę, ale mój opanowany mąż powiedział, że w takich wypadkach znacznie lepiej odpuścić.

Podczas wycieczek za miasto zawsze to ja musiałam pytać o samochód z przyczepą kempingową lub o pokój w motelu. Kiedy się skarżyłam, że też mam prawo być zmęczona i że nie zaszkodziłoby, gdyby John sam od czasu do czasu ruszył tyłek, mąż odpowiadał spokojnie, że w porządku, ale wtedy na pewno nie będzie wolnych miejsc.

Czasem takie rzeczy zdarzały się dosłownie na progu naszego domu. Gdy kupiliśmy dom w modnej dzielnicy St. Peters, nasza leciwa już sąsiadka Gladys zapukała któregoś dnia do drzwi. Była wtedy już chyba dobrze po siedemdziesiątce.

– Roslynne – zapytała – a John to jakiej jest narodowości?

– Australijskiej, Glad – odpowiedziałam.

– Nie, nie to miałam na myśli. Skąd pochodzi?

– Z Australii – powtórzyłam.

Widziałam, jak nerwowo wyłamuje palce, wałkując w głowie pytanie, które chciała zadać, ale na które odpowiedzi wolałaby nie

słyszeć.

– Jest Aborygenem – pomogłam jej.

– Ach tak – odparła wolno. – Myślałam, że może Indusem. – Pauza. – Albo Oceańczykiem.

(W domyśle: albo kimkolwiek bądź. Byle nie Aborygenem).

– Nie, Glad. John jest Aborygenem. I nasz syn też.

Nie powiedziała już nic więcej.

Gdy wyjeżdżaliśmy przed którymś Bożym Narodzeniem, przy płocie naszego ogrodu rozrastał się piękny krzew glicynii, obsypany burzą purpurowego kwiecia sięgającego aż po dach werandy. Po powrocie stwierdziliśmy, że Glad musiała zakraść się do naszego ogrodu, bo glicynia była przycięta przy samych korzeniach. Przedtem starsza pani narzekała, że pnącza rośliny wiją się w nieładzie, torując sobie drogę do gałęzi jej cytrynowca. A grobowe milczenie po drugiej stronie płotu niedwuznacznie obwieszczało, że sąsiadkę bardziej boli coś innego. To, że podobnie jak glicynia my również znaleźliśmy drogę – do jej eleganckiej dzielnicy.

Któregoś dnia znów usłyszałam pukanie do drzwi.

– Roslynne – zaczęła Gladys. – Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś mi, że John jest Aborygenem? Ale czy robi którąś z tych prawdziwych aborygeńskich rzeczy, no wiesz, jak rzucanie bumerangiem albo granie na *didgeridoo*?

– Tak, Glad, potrafi jedno i drugie – odpowiedziałam.

– Ach, to dobrze. Bo przyjeżdżają do mnie krewni z Niemiec i chciałabym urządzić mały pokaz.

Zamknęłam drzwi, usiadłam na podłodze korytarza i zaczęłam krztusić się ze śmiechu, nie dowierzając własnym uszom.

Najśmieszniejsze było jednak to, że John przystał na propozycję. Niemieccy krewni, Hans i Karin Appelowie, z synem i córeczką, okazali się bardzo sympatyczni, to znaczy zupełnie niepodobni do Glad. John pokazał im, jak się gra na *didgeridoo*, i cisnął kilka razy bumerangiem, a potem zabraliśmy ich do parku, żeby porzucać oszczepami. Rok później ugościli nas serdecznie w Stuttgarcie, ale z Gladys przez czternaście lat w St. Peters nie udało nam się zaprzyjaźnić. Za to od czasu do czasu staruszka dostarczała nam nieco silnych wrażeń. Na przykład kiedy Tim zaczął się uczyć gry na bębnach, Glad wyrażała swoją dezaprobatę, miotając krewką ręką kamienie na dach naszego garażu.

Kilka miesięcy po przeprowadzce zjechała do nas rodzina z Borrolooli, mama i ojczym Johna. Był potworny upał, dobrze znany mieszkańcom Adelajdy. Północne wiatry, wiejące od pustyni, przyniosły pożary. Busz płonął. W naszym starym domu można się było dosłownie udusić. Wieczorami siadaliśmy na betonie frontowej werandy, żeby trochę się ochłodzić. Willie i Kathleen po turecku, obok nas. Tim bujał się na czyimś kolanie. W skrytości ducha cieszyłam się, że okna Glad wychodzą wprost na naszą czarną, coraz większą rodzinę. A tymczasem kobiety z Borrolooli przyjechały do Adelajdy na święto tańca i pewnego popołudnia wysypały się przed domem z busa. Podglądającą nas Glad musiały rozboleć palce od ukradkowego przytrzymywania żaluzji w oknie swojego salonu.

Kathleen i Willie czuli się jednak nieswojo. Nie mogli rozpalić na dworze ognia, żeby upiec rybę. Musieli spać w dusznym, zamkniętym domu, z zamkami na drzwiach i w oknach. Słyszeli

tak niewiele ptasich głosów nad ranem i szelestów przemykających nocą zwierząt. Ale znosili to wszystko ze spokojem. Doceniali każdy, najmniejszy nawet drobiazg. Niewidoma Kathleen nauczyła się wreszcie drogi z sypialni do łazienki i kuchni po drugiej stronie domu.

John zabierał ich do miasta, pomagając matce widzieć nowe rzeczy oczami wyobraźni. Zawiózł ją do domu dla chłopców na przedmieściach Adelajdy, w Semaphore, gdzie się wychował, i poznał z kolegami, którzy dorastali tam razem z nim. Poszli do portu, gdzie przesycone solą powietrze przypominało zapach znad zatoki. Robiliśmy zdjęcia. Fotografie zapełniały powoli albumy. John nieustannie pytał o rodzinę, o Borroloolę. Było mi ich wszystkich bardzo żal – zwłaszcza Johna. Mój mąż nieustannie próbował zasypać przepaść lat, jakie im zabrano, dociekając, uporczywie rekonstruując z fragmentów życie, które kiedyś kazano mu porzucić.

Kathleen powiedziała mu, że jej matka Elsie, kobieta ludu Yanyuwa-Marra, należała do ziemi ciągnącej się od wysp sir Edwarda Pellewa[19] nad zatoką Karpentaria aż po rzekę Roper, na zachód od Borrolooli. We wczesnym dzieciństwie Elsie nie widziała ani jednego białego. Mieszkała w samym sercu buszu, na prastarej plemiennej ziemi jej klanu. W osadzie żyło około dwudziestu pięciu osób – mężczyźni polowali na grubszą zwierzynę, kangury i diugonie, podczas gdy kobiety trudniły się łowieniem żółwi i waranów oraz zbieraniem orzechów i owoców. Mięso przyrządzano w chłodne wieczory tam, gdzie był dostęp do wody pitnej. Siedzące kołem przy ognisku dzieci słuchały opowieści z buszu, czasem śmiesznych, czasem strasznych. Uczyły

się z nich, jak przetrwać i jak być szczęśliwym. Starzy przekazywali młodym *kujika*, mapę ścieżek stworzenia, które są zbiorowym ceremoniałem Snu, zapewniającym ziemi opiekę, równowagę pór roku, dostatek i urodzaj przyszłym pokoleniom. Raz do roku plemię – około trzystu osób – odprawiało ceremonię, jak nakazywało święte Prawo.

Późne dzieciństwo Elsie przypadło na koniec XIX wieku, gdy do zatoki przypłynęli Europejczycy. Były to przeważnie typy spod ciemnej gwiazdy, zwyrodnialcy i przestępcy. Ludzie z Borrolooli do dzisiaj rozmawiają o czasach, gdy biali z Europy po raz pierwszy postawili stopę na ich lądzie. Nazywają je „dzikimi czasami", sprzed epoki, w której biali w końcu „się uspokoili". Ich starsi krewni pamiętali jeszcze potworną przemoc i okrucieństwo. Beznamiętny sposób, w jaki relacjonowali dramatyczne wydarzenia, nie mógł przesłonić przerażającej prawdy. Opowiadali o swoich bliskich, do których strzelano dla zabawy, o dzieciach zatłuczonych kijami, takimi, jakich używa się podczas polowania na warany. Pamiętali niemowlęta, które oblewano naftą i żywcem podpalano.

Zdumiewające, jak bardzo Yanyuwa są niepamiętliwi, jak szybko zapominają o czasach, gdy Europejczycy i Aborygeni „nie umieli mówić w języku drugich". Przyznają, że niektórych przybyszów przebijali oszczepem, sądząc, że biali są złymi duchami. Ich broń nie mogła jednak dorównać prochowi strzelniczemu i trudno dziś doprawdy oszacować rozmiary ludobójstwa. Europejczycy nie włączali czarnych do spisów ludności, rzadko też rejestrowali żywe i martwe ludzkie trofea.

Kolonizatorzy napisali inną historię podboju Australii. Dla nich był to czas odkrywców, pionierów, poganiaczy i hodowców bydła zdobywających dzikie, niegościnne przestrzenie. O zabijaniu autochtonów napomykano jako o „wyjątkowych przypadkach", jako o karze za „wrodzoną" krwiożerczość czarnych, popychającą ich do aktów przemocy przeciw osadnikom. Było to wygodne, wręcz konieczne usprawiedliwienie dla kolonialnej ekspansji. Pochodzące „od Boga" prawo cywilizowania Aborygenów usprawiedliwiało wszystkie nadużycia. Tych, którzy padali od kul karabinów, uważano za podrzędny gatunek, żałosną pozostałość po epoce kamienia, odpadki dziwacznej i bezwartościowej kultury pierwotnej, choć w rzeczywistości byli oni strażnikami najdłuższej i najtrwalszej ludzkiej tradycji. A także czyimiś matkami, siostrami, ojcami albo dziećmi. Ich krew już zawsze będzie plamić karty kolonialnej historii Australii.

Policjanci zjawili się w Borrolooli w latach osiemdziesiątych XIX wieku, jakkolwiek ich przybycie niewielki miało związek z rodzinami aborygeńskimi. Te bowiem nadal żyły na odludziu, w samym sercu buszu. Policjantów przysłano, żeby mieli na oku białych: koniokradów i złodziei bydła, morderców i brutalnych pijaków, którzy wymigali się od odsiadki w więzieniach Queenslandu i innych części Terytorium Północnego. I choć czas strzelaniny powoli się już kończył, niesławna reputacja Borrolooli jako ziemi bezprawia przetrwała. Zresztą na opinię tę długo pracowano. W scenach bardziej przypominających amerykański Dziki Zachód niż brytyjską Australię alkohol lał się strumieniami, a huk wystrzałów na ulicach i w sklepach nadal był codziennością. Podobno jakiś urżnięty biały zabił się, gdy

galopując po mieście na skradzionym koniu, wpadł na drzewo. Kiedy w 1886 roku zakładano tu więzienie, wszyscy osadzeni – dziewięciu mężczyzn – byli Europejczykami. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych za kratkami wylądowało też paru Aborygenów. Zatrzymywano ich głównie za wzniecanie ognia podczas ceremonii i zabójstwa w odwecie.

Na przełomie wieków liczba aborygeńskich więźniów wzrosła. Teraz skazywano ich przeważnie za kradzież koni i pijaństwo. Nagich mężczyzn, odzianych tylko w przepaski z frędzlami na biodra, zaganiano do robót przymusowych z żelaznymi obrożami na szyi i wokół kostek. Ludzie ci na próżno powtarzali, że zabijali bydło tylko dlatego, że zawędrowało na ich ziemie, że robili to z głodu i że zawsze żyli z polowania, jak ich ojcowie. Osadnicy nie słuchali tych tłumaczeń, żądając natychmiastowej zapłaty za stracone stada. Wielu zresztą nie zawracało sobie głowy sądem i na własną rękę wymierzało „sprawiedliwość".

Rodziny ludu Yanyuwa dłużej niż inne chroniły się przed kontaktem z Europejczykami. W pierwszych latach XX wieku nadal pływały czółnami między obozowiskami na rodzimych wyspach a wybrzeżem, w odległości jakichś osiemdziesięciu kilometrów od Borrolooli. W 1901 roku na tych terenach było tylko sześciu białych, a nieprzystępne ziemie Yanyuwa nie interesowały jeszcze właścicieli stad, nieustannie rozszerzających swoje wpływy. Niekiedy Yanyuwa decydowali się na handel z białymi, jak niegdyś z Makasarczykami, wymieniając diugonia na tytoń. Na ogół woleli jednak schodzić im z oczu. W każdej chwili potrafili zniknąć bez śladu w buszu, który znali jak własną kieszeń.

Kathleen powiedziała, że jej ojciec, oberżysta Charlie, przyjaźnił się z rodzinami znad zatoki. Był wysokim mężczyzną z plemienia Kalkadoon w Normanton w stanie Queensland, który zamieszkał w społeczności Aurukun na półwyspie Jork (należącym do Snu Tęczowego Węża). Pracował na statkach u wybrzeży Queenslandu i Terytorium Północnego. Przypuszczalnie poznał Elsie, kiedy żeglował przez McArthur w kierunku Borrolooli z towarem dla Europejczyków przepędzających stada z Queenslandu na Terytorium Północne i do zachodniej Australii.

Kathleen dorastała w buszu pod opieką Elsie i Charliego, ucząc się języków swojego kraju. Mówiła płynnie w językach ludów Yanyuwa, Marra, Gudanji, Binbingka, Alawa, Waanyi, Garrawa i Jingili. Znała na pamięć wszystkie pieśni i obrzędy, których nauczyły ją matka i ciotki. Nauka odbywała się w obozie, przy ognisku, i podczas wędrówek – na tych samych drogach, po których podróżowali przodkowie w Czasie Snu. Podczas pobytu w Adelajdzie Kathleen dużo szeptała i uśmiechała się do Johna, a czasem płakała, gwałtownie gestykulując i opowiadając synowi o dziadku i babce.

W tym samym roku jako młoda firma zajmująca się wzornictwem rozpoczęliśmy współpracę z Australian Wool Corporation[20]. Chcieliśmy stworzyć design oparty na sztuce Aborygenów. A wyszliśmy od wzoru żółwi wężoszyich, które metodą sitodruku nanieśliśmy kiedyś na pościel Tima. Z początku działaliśmy jako Jumbana – było to jedno z plemiennych imion Johna. Później nasze produkty zaczęły pojawiać się na rynku z logo studia graficznego Balarinji, nazwanego tak od skóry naszego syna. Mgliste marzenie – aby podzielić się pięknem

kultury Aborygenów z resztą Australijczyków – powoli stawało się rzeczywistością. Było to wyzwanie rzucone tej Australii, która robiła kiedyś wszystko, by zniszczyć związki Johna z tradycją.

Podczas miesiąca miodowego nad zatoką zbieraliśmy okruchy krajobrazu, wszystko, co udało nam się znaleźć w wyschniętych łożyskach rzek i na dnie wąwozów. Patyki, węgiel drzewny, kamyki rzeczne, kawałki kleistej gliny i łuszczącej się ochry. Kolory śpiewały w naszych dłoniach, przyroda mieszała obfitą bujność i ulotność, światło i mrok, zimno i żar – bez wysiłku i od niechcenia. Trawy na poboczach drogi wibrowały, otoczone połyskującą mgiełką, gdy rozpędzone auto przejeżdżało obok nakrapianych sepią łodyg kwiatów z lekkimi jak puch główkami w odcieniu słomy i kęp strzępiastych pustynnych roślin ścielących się tuż przy ziemi białokremowymi kobiercami. Błękitnoliliowe pasma gór rozpościerały się na widnokręgu, na granicy czerwonych piasków, pod jaskrawym brzaskiem i ciemnym różem zmierzchu.

Wyciskaliśmy farby gwaszowe z lekko rozgrzanych tubek, mieszkaliśmy i rozrabialiśmy je z ciekłym pigmentem, żeby jak najwierniej oddać to, co widzieliśmy. Zeszyty z kartkami przekładanymi białym pergaminem wypełniały się obrazkami, tworząc katalog barw, który przez następne dwadzieścia pięć lat obmyślania nowego języka wizualnego Australii był dla nas drogowskazem. Obrzędowe pieśni Borrolooli i mocne uderzenia stóp tancerzy ludu Yanyuwa na rdzawoceglastym piasku zlewały się z odcieniami ziemi Snu. Kultura, kolor i głos kraju były dla nas inspiracją.

Na początek włożyliśmy w firmę całe oszczędności. Dwanaście tysięcy dolarów. W tamtych czasach było to niemało, ale wszystko rozeszło się dosłownie w pięć minut. Nie mieliśmy żadnego doświadczenia w interesach i nie chcieliśmy rządowego wsparcia, pragnąc zachować niezależność. Brakowało nam wiedzy o sztuce designu. Mieliśmy tylko wizję, nad którą trudno było zapanować. Lekkomyślnie i beztrosko biegliśmy na spotkanie przeznaczenia.

Z następnym dzieckiem w drodze uganiałam się zatem po Flinders Lane w Melbourne za motkami najlepszej wełny, za jedwabiem i bawełną. Wertowałam książki telefoniczne, szukając drukarzy, którzy potrafiliby przenieść nasze szkice na tkaninę. Co kilka tygodni wsiadałam w samolot albo w nocny pociąg, który z Adelajdy przywoził mnie nad ranem do Melbourne. W tych podróżach towarzyszył mi zawsze mały Tim, którego woziłam w spacerówce przez niezliczone domy towarowe i drukarnie, podczas gdy mój brzuch rósł i rósł.

Choć John nadal pracował na rządowej posadzie, coraz bardziej zniechęcony do jałowej, nieskutecznej polityki państwa, wrzesień 1983 roku był miesiącem debiutu naszych tkanin: kropkowanych deseni ze śladami pazurków maleńkiego ptaszka *nynka* i odciśniętych w piasku kręgów obozowisk, ze wzorami skopiowanymi z naskalnych wizerunków totemicznych przodków.

W dniu po premierze przyszedł na świat nasz drugi syn, James. Urodził się trzy tygodnie przed terminem. Po godzinnym locie z Melbourne, prosto z lotniska, w wielkim pośpiechu pojechaliśmy do szpitala. Ledwie zdążyliśmy. Cudowny brązowoskóry berbeć wniósł jeszcze więcej miłości do naszego domu. Znowu zostałam matką i jeszcze raz odczułam tę szczególną wdzięczność wobec

losu za zdrowe dziecko. Może ten moment radości po porodzie sprawia, że mózg kobiety zaczyna odbierać inne fale, bo nagle znalazłam się w próżni, obserwowałam wiatr w koronach drzew i przeciągające po niebie chmury. Mój umysł dryfował bez celu, odreagowując stres związany z wytężoną pracą w Balarinji.

Zanim James skończył tydzień, utonęłam jednak pod stertami papierów i rachunków. Mieliśmy teraz w domu dwóch małych chłopców i brakowało nam pieniędzy na rozkręcenie biznesu. John został na rządowej posadzie, pracowaliśmy więc głównie wieczorami, niekiedy do późnej nocy, gdy dzieciaki spały. On rysował, ja kładłam kolory. Dużą część zarobków Johna przerzucaliśmy do rosnącej jak śniegowa kula firmy. Zyskaliśmy pewien rozgłos, ale o żadnym handlowym sukcesie nie było mowy i musiało upłynąć osiem lat, zanim wyciągnęliśmy pierwszego centa z naszej kasy.

W tamtych czasach zaprzyjaźniliśmy się z Susan i Dougiem Pike'ami, którzy podobnie jak my mieli dwójkę małych dzieci. Sue pracowała w szpitalu dziecięcym, a poznałam ją, gdy dwuletni Tim upadł i rozbił sobie głowę. Okazało się, że jesteśmy sąsiadkami, a oględziny pacjenta były początkiem znajomości, która trwa do dzisiaj. John, ja, James i Tim zachłannie pożeraliśmy nektarynki, pomarańcze, szpinak i kolby słodkiej kukurydzy z ogrodu Pike'ów. Pieniądze z interesu były tak marne, że często żartowałam z Susan, że uratowała nas od szkorbutu. Tak jak ja, moja przyjaciółka usiłowała godzić pracę z obowiązkami mamy i pani domu. Uśmiałyśmy się do łez, kiedy pewnego dnia opowiedziała, jak w skarpetkach i bieliźnie Douga, które kilka tygodni wisiały na sznurze, odkryła dorodne

pajęczyny. Jeszcze bardziej zrywaliśmy boki, gdy John zadzwonił do Douga, aby ten przyszedł popatrzeć na moją najnowszą kulinarną katastrofę. „Musisz to zobaczyć, stary!" – zawołał, ciskając niczym frisbee niewyrośniętym ciastem czekoladowym w stojącego u drzwi sąsiada. Kiedy któregoś popołudnia Tim skaleczył sobie palec u nogi na pękniętej płytce łazienkowej, John i Doug zawieźli go razem do kliniki. Lekarz oznajmił, że zszyje palec chłopca dokładnie tak, jak mama przyszywa guziki do koszuli jego taty. Tim nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale John i Doug przez następne kilka lat mieli o czym gadać przy obiedzie.

Gdy wreszcie wzięliśmy kredyt hipoteczny pod zastaw domu, zapanował ponury nastrój. Często w poniedziałek zastanawialiśmy się, czy będziemy mieli dach nad głową w piątek. Nie wspominając nawet o jedzeniu. Powodem nie był jednak brak zainteresowania naszą działalnością, bo o Balarinji dużo pisano i mówiono. Okazało się, że osobisty, rodzinny projekt, którym chcieliśmy upamiętnić dziedzictwo naszych dzieci, obudził coś w rodzaju narodowej dumy i został bardzo życzliwie przyjęty przez media. Projektant mody z Adelajdy, George Gross, zaczął kupować nasze tkaniny z wełny i jedwabiu, firma Budget Rent-a-Car zamówiła u nas materiał na uniformy dla swoich pracowników, a Sheridan, znany producent pościeli – kolekcję inspirowaną australijskim interiorem. Turyści interesowali się apaszkami i ubraniami eksplodującymi kolorami krajobrazów tak dobrze nam znanych z podróży do buszu. Niestety, podobnie jak wiele małych firm nie mieliśmy pojęcia, jak wyceniać produkty i usługi, nigdy nie słyszeliśmy o czymś takim jak marże, a zalew

ofert i gorączka projektowania nie zostawiały wiele czasu na rachunki.

Richard Wishart, człowiek wielkiej cierpliwości, nasz przyszły księgowy i przyjaciel, niestrudzenie ratował nas przed samymi sobą i przed bankierami. Nie zdążył jednak zapobiec wariackiej decyzji, którą podjęliśmy niedługo po otwarciu firmy, gdy James miał dopiero trzy miesiące. Lekkomyślnie postanowiliśmy wziąć udział w targach wystawienniczych w holenderskiej Hadze. Agent linii lotniczych w Adelajdzie zaproponował nam tanie bilety, więc polecieliśmy, aby potem się zmagać z trudnościami podróżowania z małymi dziećmi po skutej lodem Europie, z moim popołogowym wyczerpaniem i z rozhuśtanymi emocjami.

W czerwcu następnego roku zabraliśmy naszą kolekcję do Tokio, na wystawę zorganizowaną przez Międzynarodowy Sekretariat Wełny. Na czas tego wypadu moi rodzice przylecieli z Tasmanii, żeby zaopiekować się trzyletnim Timem i wchodzącym w dziewiąty miesiąc Jamesem. Byłam wciąż młodą matką i rozłąka z dziećmi sprawiała mi fizyczny ból. W sali cichej tokijskiej restauracji podczas oficjalnego przyjęcia wybuchłam nagle płaczem. Tak bardzo mi ich brakowało.

Praca Johna na odpowiedzialnym stanowisku także miała kłopotliwe strony. Przyprowadzanie do domu na lunch lub kolację dwudziestu paru osób było dla niego czymś naturalnym. Zajmowanie się dziećmi, interesami i gotowanie dla połowy Adelajdy, tak by przy tym kompletnie nie zwariować – to wymagające zadanie. Któregoś weekendu mieliśmy dwunastu gości na niedzielnym obiedzie, a następnego dnia na kolacji – dwudziestu dwóch. Chłopcy byli jeszcze bardzo mali. We wtorek

załatwiłam kogoś do opieki nad nimi i poleciałam do Melbourne na rozmowy z kontrahentami z sieci supermarketów. Po całym dniu spotkań pognałam do pizzerii w Carltonie, żeby spotkać się z przyjaciółmi. Usiadłam wygodnie, a wtedy zrobiło mi się ciemno przed oczami. Ocknęłam się na podłodze. To była zapaść.

Przyjaciele pomogli mi wrócić do hotelu i wezwali lekarza, który jednak nie potrafił postawić diagnozy. Byłam przerażona. Poleciałam samolotem do domu, zrobiłam kilka badań i zaczęłam się zastanawiać. Od przyjścia na świat Jamesa bez przerwy pracowałam. Ilekroć czułam się przemęczona, jechałam na ekstramocnej czarnej kawie z czekoladą, zasypiając tylko na kilka godzin przed północą lub krótko po północy. Karmiłam piersią Jamesa, oglądając America's Cup 1983 – Regaty o Puchar Ameryki, które wygrali dla Australii nasi chłopcy, Alan Bond i John Bertrand. James chciał jeść akurat wtedy, gdy zaczynała się transmisja na żywo ze Stanów. Jestem pewna, że znajdzie się jeszcze gdzieś w Australii kilka innych karmiących wtedy matek – teraz już z dziećmi dobrze po dwudziestce – które jak ja kojarzą smak tamtego narodowego tryumfu z zapachem własnego mleka. Po nakarmieniu Jamesa, o trzeciej w nocy, kładłam go z powrotem do łóżeczka i dalej pracowałam, gdzieś do szóstej, kiedy wstawał John. Pod wieczór, po dniu, który spędzałam z dwojgiem dzieci, John wracał do domu, jedliśmy, czytaliśmy Timowi bajkę, pakowaliśmy Jamesa do łóżka i znowu braliśmy się do rysowania, malowania i papierkowej roboty. I tak w kółko. Gdyby to był tylko zwykły biznes, a nie marzenie naszego życia, pewnie inaczej patrzyłabym na to zabójcze tempo. Ale coś, nad

czym nie mieliśmy żadnej władzy – marzenie – nieustannie pchało nas do przodu.

Zapaść już się nie powtórzyła, za to przez całe miesiące budziłam się o pierwszej w nocy, zdjęta strachem, zapłakana, tracąca oddech, z walącym sercem. Byłam pewna, że umrę, nim przyjdzie dzień, osierocając dwójkę małych dzieci. Bałam się spać, sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Wpadałam w popłoch w zatłoczonych miejscach publicznych, stroniłam od przyjaciół. A miałam dopiero dwadzieścia osiem lat. Wstyd mi było przyznać się do załamania nerwowego, ale John je wyczuwał. Przed trzecimi urodzinami Jamesa wziął urlop i na kilka tygodni daliśmy sobie spokój z biznesem. Wynajęliśmy wóz z przyczepą kempingową i ruszyliśmy na północ, na ziemię czerwonych piasków. W ten sposób znów znaleźliśmy się na drodze do Borrolooli.

---

[18] Rada ta reprezentuje Aborygenów z południowej części Terytorium Północnego.

[19] Grupa wysp na północnym wybrzeżu obejmująca Vanderlin, North Island, West Island, Centre Island oraz South West Island.

[20] Australijska korporacja zajmująca się handlem wełną.

4
SENS

ngalki
Dusza nadaje sens mojemu byciu w świecie.

To w duszy kryje się piękno i sens mojego życia.
Ona jest tym wszystkim, czym ja jestem dla świata.

Dzień czwarty, poniedziałek, 29 maja, 2006 roku

Mam wrażenie, że już około czwartej rano w obozie na pustyni zaczyna się ruch. Jest ciemno i chłodno. Annie unosi się na materacu obok mnie i w swoim narzeczu woła w kierunku kobiet. Ogólna krzątanina. W rzeczywistości jednak jest już szósta. Niebo ma barwę indygo, ale z wolna przybiera swojski kolor pieczonego nocą biszkopta: to odcień bledziutkiego różu z warstwami niebieskawego pudru. Potem wstaje słońce, aby zmyć kolory i Gwiazdę Poranną. Wstajemy i rozpalamy ogień, gotujemy wodę. Rozglądamy się za płatkami Weet-Bix i torebkami mleka w proszku.

Ledwie zaczynamy jeść, wzywają nas na plac ceremonii, na pierwszy z dzisiejszych rytuałów. W drodze do Kalkaringi Annie tylko raz, ale stanowczo zaznaczyła, że nie wolno mi pisać niczego,

co dotyczyłoby treści obrzędów i świętych przedmiotów. No więc dobrze. Żadnych szczegółów. *Yuwani* Annie prowadzi mnie w stronę zgromadzenia, mówiąc: „To cię wzmocni". Atmosfera jest uroczysta, kobiety są skupione. Czuję to. Podobnego wyciszenia doświadczałam niekiedy, zapalając świeczkę w katedrze w jakimś obcym kraju. Ale to, co widzę, nie jest katedrą. To tylko wielki okrąg czerwonego piasku, trochę pustynnej trawy i kalekich drzew.

Wkrótce potem zaczynają się tańce, śpiewy i wybijanie rytmu drewnianymi pałeczkami. Trzeba czekać. Najpierw inni.

– Musimy okazać im szacunek – tłumaczy Annie. – To ich ziemia.

Te pieśni od dawien dawna przekazywane są wtajemniczonym. Mają głęboki sens. To w nich żyje Prawo. To za ich sprawą pory roku następują jedna po drugiej, gatunki rozmnażają się, a ludzie żyją w harmonii z ziemią, oceanem i wszechświatem. Stoimy, milczeniem okazując szacunek. Przypatrując się z daleka.

Wiatr wznieca chmurę piasku wokół stóp tancerek.

– To a-Mardu. Wieje z południa podczas chłodów – tłumaczy mi *yuwani*.

Lubię cierpką ostrość tego wiatru na mojej twarzy. Jest przeciwwagą dla palącego słońca, które zacznie przypiekać w południe. Przyszła już wczesna zima, ale dni na pustyni są wciąż bardzo gorące. Annie powtarza, że to dobrze, że przyjechałam na ceremonię. To mi da siłę.

– Same kobiety – powtarza. – Naprawdę dobrze.

Potem uczą mnie, kto jest kim w rodzinie.

– Twoja mama, *kujaka*. Twoja siostra, *baba*. Twoja ciotka, *narna*. Córka brata twojej matki, *kathakatha*. Córka brata twojego ojca, *kulhakulha*. Twoja teściowa, *yuwani*.

Powoli zaczynam zapamiętywać poszczególne słowa.

– Mów do niej *kujaka*, bo to prawdziwa siostra twojej matki.

Rodzina, przynależność. Otwartość. Nikt nie czuje się wykluczony. Prawo połączyło kobiety różnej krwi. Nikt nie boi się dzielenia dóbr ani współuczestnictwa – miłości bez zastrzeżeń, gotowej do poświęceń.

Spływają na mnie spokój i siła. Czerpię je z porządku rządzącego związkami między ludźmi dokoła. Czuć się częścią tego wszystkiego to naprawdę mocna rzecz. Jestem siostrą, ciotką, siostrzenicą, synową. *Yuwani* mówi mi, co robić. Czuwa nad każdym moim krokiem. Opiekuje się Johnem w zastępstwie matki, a to oznacza, że opiekuje się też mną. W mieście zazwyczaj to ja myślę o matce, ja troszczę się o dzieci. Tutaj zawisłam gdzieś pośrodku: i matka, i dzieci dbają teraz o mnie.

Zniżając głos, pytam Annie, kiedy będziemy mogły porozmawiać o książce. Odpowiada, że później. Jak przyjdzie czas.

Z ciężarówki chłodni pożyczam telefon satelitarny. Dzwonię do kopalni. Nie ma szans, żebym wróciła przed piątkowym samolotem. Ceremonia na pewno nie skończy się wcześniej, a w drodze powrotnej dojdzie jeszcze nocleg. Może dam radę zajechać na sobotę. Nie ma żadnego lotu do Darwin aż do poniedziałku. Zostawiam dla Johna wiadomość o zmianie planów, z prośbą, by zadzwonił do biura i odwołał moje poniedziałkowe spotkania. Podaję też numer telefonu satelitarnego, na wypadek

gdyby rodzina mnie potrzebowała. Czuję się teraz bardziej rozluźniona.

Kobiety z Australii Środkowej przywołują kobiety z Borrolooli. Wszystko zgodnie z Prawem. Zaczyna się obrzęd. To rytuał na wskroś kobiecy, zmysłowy, nasycony emocjami. Jest tu miejsce na parodię i na symbolizm, nawet na maskaradę. Jest rytm i jest forma. Humor i ironia. Ekspresja i wyrafinowanie. Wszystko jednak sprowadzone do czystego sensu.

– Bardzo ważne, to teraz – szepcze mi do ucha Annie. – Mocny Sen.

Jesteśmy już długo na placu ceremonii. Ale czas jakby przestał płynąć. Zastanawia mnie, jak mało wiemy o takich uroczystościach. Mój nowoczesny, rozsmakowany w wysokiej kulturze kraj nie ma pojęcia, że śpiew kontynentu nadal rozbrzmiewa w jego sercu. My, przybysze, zaledwie musnęliśmy powierzchnię tej ziemi, nie dokopując się do drzemiących pod jej powłoką sił, które karmią i rozbudzają zmysły. Widzimy wschód słońca nieruchomo zawieszony nad oceanem, słuchamy ogłuszającej muzyki cykad, patrzymy na czerwone wydmy pustyni, sycimy wzrok cudami przyrody. Ale sączymy jedynie fizyczne piękno, podczas gdy moglibyśmy chłonąć duszę Australii.

Po powrocie z miejsca obrzędu obóz zaczyna żyć wspólnym rytmem. Kobiety cieszą się leniwie upływającym czasem. Patrzę na zegarek, spodziewając się, że jest już późne popołudnie. W rzeczywistości dochodzi dopiero druga. Siedzimy, rozmawiamy, śmiejemy się, śpiewamy. Zszywamy bawełniane paski, z których powstaną opaski na włosy potrzebne na jutro. Zacinający wiatr, który dął na placu tego rana, bezsilnie tłucze w broniącą mu

dostępu do obozu zaporę z liściastych gałęzi. Jest spokojnie i gorąco. Podążam za cieniem, przysiadam się do jednej grupy, potem do następnej. Wszystkie kobiety mają mi coś do opowiedzenia. Udzielają rad. Jeśli zakłócam ciszę lub zadaję zbyt natarczywe pytania, nie dają mi tego odczuć. Pobłażliwie traktują moją ignorancję. Dzielą się jedzeniem, żartami i prawdami o świecie. Zabierają mnie w podróż serca i umysłu. Jestem tym poruszona. I wdzięczna.

O zmierzchu fale dokuczliwego pyłu przestają chłostać twarz. Dokucza mi teraz za to dym obozowych ognisk. Łzawiące oczy bolą od przecierania. Moja *yuwani* zaczyna śpiewać. Ktoś uderza łyżką o emaliowany kubek. W takich miejscach rytm i pieśń wiszą zawsze w powietrzu, są na wyciągnięcie ręki. Annie objaśnia mi sens pieśni. Mówi ona o myśliwych polujących na diugonia w porze, gdy żółwica wychodzi z morza, aby złożyć jaja. To miejsce Snu Zielonego Żółwia, do którego przodkowie zawsze przychodzili po żółwie jaja.

Po ceremonii czas na zabawę. W świetle pochodni tworzy się duży karciany krąg grających na pieniądze. Jest gwarnie, słychać ożywione głosy.

Powoli nastaje noc. Znowu zaczynam tęsknić za dziećmi. Rozłąka jeszcze bardziej doskwiera, gdy układam się do snu. Coś zawrzało w moich emocjach i teraz gotuje się pod pokrywką. Annie leży obok na materacu. Owinięta pledami opowiada mi o Śnie.

Myślę sobie, jak to było dawniej. Zanim przyszli misjonarze. Zresztą co tam misjonarze. Tak bardzo się znowu nie różnimy. Oni

i my, prawie to samo. Aborygeni też zostali stworzeni. Ludzie pytają, jak to się stało, że jesteśmy czarni. No cóż, Adam i Ewa też byli troszkę czarni. Czytałam Biblię i tam też to samo: wszyscy walczą w obronie swojej ziemi. Każdy o swój kawałek kraju.

Yuwani zręcznie splata dwie różne historie.

Sen nas stwarza. I ceremonie. Bóg je daje. Niektórzy ludzie w czasach Adama i Ewy byli czarni. My wierzymy w naszą własną drogę. W Sen.

Opowiada mi, czym są narodziny dziecka.

Dusza dziecka jest zawsze tam, gdzie ziemia klanu. Głośno woła odpowiednich dla siebie rodziców. Matka i ojciec śnią o tym dziecku i tak ono przychodzi do matki.

Snuje też rozważania o świecie duchów.

Duch to *ngawulu*. Jak cień. Dobry cień. Idzie za tobą. Wchodzi przez drzwi, niewidzialny, ale wiem, że jest.

I o gwiazdach.

Droga Mleczna to Sen moich mężczyzn. Dziadka, ojca i brata. Mój klan tak śni. To święty obrzęd – sami mężczyźni. My, kobiety, też mamy mocną opowieść, *warrawiji* – Gwiazdy Wieczornej, Gwiazdy Porannej.

Sen to wszechobecna siła w życiu Annie, jak zresztą w życiu wszystkich kobiet Prawa. Jest z nimi zawsze i wszędzie. Jest tajemnicą. To pojęcie, które wykracza poza ramy europejskiego myślenia. Sen jest we wszystkim. To esencja świata – w zwierzętach, roślinach, ludziach i żywiołach. Jest w pieśniach i w obrzędach, w nazwach wszystkiego, co istnieje na ziemi i na morzu. Kiedy przodkowie przemierzali Australię w Czasie Snu, układali na swoich ścieżkach pieśni, które były mapą kraju. Stworzyli znaki, którymi potem pokrywano ciała, gdy więc ludzie tańczą dziś pomalowani ochrą, znaczy to, że szanują niewzruszone Prawo. Ludzie muszą chronić ziemię tak, by jej Sen pozostał nietknięty.

Na noc zamieniamy się miejscami. Materac Annie jest teraz bliżej ognia. Poprzedniej nocy zmarzła. Tak jej będzie lepiej. A mnie przyjemniej zasypiać, gdy czuję na twarzy chłodny powiew.

Podczas ceremonii nie wolno myć ciała. Tylko twarz i ręce. Tego wieczoru przetarłam twarz wacikiem z tonikiem i położyłam krem nawilżający. Pociągnęłam błyszczykiem spierzchnięte usta. Trzy dziewczynki też chcą spróbować. Maria, Natasha i Stephanie. Lubią się podobać. Jak wszystkie dziewczynki na całym świecie. Moje dłonie przypominają papier ścierny. Pod paznokciami zalega czerwony kurz. Czyszczenie ich cienko zaostrzonym patyczkiem nic nie dało.

Nocne ogniska płoną w półokręgu. Myślę o wikingach.

Napięcie zaczęło mnie opuszczać, gdy zimą 1986 roku zostawiliśmy za sobą Adelajdę, kierując się na północ. To dziwne, jak szybko z tego eleganckiego miasta można wyjechać na otwartą przestrzeń. Z każdym kilometrem kolory ziemi nasycały się, przechodząc od żółci do czerwieni, a niebo było coraz większe i wciąż błękitniało. Na poboczu drogi zjedliśmy lunch – chleb przełożony plasterkami naszego ulubionego salami z kawałkami ostrego czedara. Na świeżym powietrzu chłopcy uwolnili trochę nagromadzonej w aucie pary. Jeden miał już pięć, drugi prawie trzy lata. Na czekającej nas cztero-, a może pięciodniowej drodze huśtawkę rodzinnych nastrojów mieliśmy zapewnioną. Na takich odległościach to normalka.

Wynajęty samochód kempingowy na wiele tygodni stał się naszym domem. Biedak ciężko dyszał pod ciężarem bandy czworga. Stękał trochę na podejściach i kilka razy zdarzyło mu się ugrzęznąć brzuchem w piaszczystej hałdzie na samym środku drogi, z kręcącymi się w powietrzu kołami. Kilka energicznych pchnięć ogrodowym szpadlem i znowu byliśmy na szlaku. Napęd na cztery koła nie spełniał pokładanych w nim nadziei, ale rozkładany dach z przewiewnego płótna był rewelacją. Tim i James uwielbiali układać się do snu w podwieszanych kojcach, obserwować gwiazdy i księżyc na nocnym niebie. Zasypiając, słuchali opowieści o buszu.

Kiedy znaleźliśmy się na obszarze Czerwonego Środka, noce i poranki powitały nas przenikliwym chłodem. W tej krainie gryzącego żaru temperatura potrafi nocą spaść do zera i często budziliśmy się przemarznięci. Przytuleni do siebie nad ogniskiem, jedliśmy śniadanie, rozgrzewając dłonie nad parującymi kubkami kawy z gorącą czekoladą. Promienie słońca zaczęły przypiekać mocniej, gdy zrobiliśmy pierwszy postój. Ciepło powoli wlewało się w zmęczone jazdą kości i mięśnie.

Mieliśmy już za sobą kilka dni podróży, kiedy zjechaliśmy na drogę do Uluru[21], czyli do Ayers Rock. Na kempingach nie ma pryszniców, ale woda z wiadra wystarczy, by doczyścić skórę i spłukać włosy. Szampon i suszarka są, rzecz jasna, nie do zdobycia, a lusterko lepiej zostawić w domu. W sklepie na rozwidleniu dróg zauważyłam Judy, mamę jednego ze szkolnych kolegów[22] Tima z Adelajdy. Klepnęłam ją po ramieniu, mówiąc:

– Hej, poznałyśmy się w szkole, pamiętasz?

Spojrzała na mnie przelotnie.

– Nie sądzę – rzuciła z rezerwą.

Potem wzięła za rękę swojego malca i odeszła. Zerknęłam przez ramię na stojącego za mną Johna, z trzydniowym zarostem i w wystrzępionych szortach, po czym przeniosłam wzrok na Tima i Jamesa, którzy umorusani i zakurzeni kręcili się hałaśliwie wokół niego. W szybie lodówki z napojami zobaczyłam jeszcze własne odbicie – włosy w nieładzie i nieświeżą cerę. Reakcja Judy chyba nie powinna mnie dziwić. Potem widywałyśmy się jeszcze w szkole i nawet udało nam się trochę zaprzyjaźnić. Ani ona, ani ja nie wspominałyśmy nigdy o tamtym spotkaniu.

Tim i James nie zwlekali – wgramolili się od razu na zbocze Uluru i usiedli pod jedną z wiszących skał. Kilka metrów niżej my też usiedliśmy, żeby rozrobić farby. W palecie pigmentów mieliśmy wszystko. Ochrę paloną, cynober, szkarłat, kadm pomarańczowy i karmazyn, aby oddać kolory góry. Siwosrebrzysty marmur i ciemną szarość dla pustynnych kolczastych traw i mieniących się kredowymi odcieniami węgli. Modry błękit, kobalt, indygo i fiolet dla zmieniających się kolorów nieba. Fiołkowy róż i ultramarynę jasną dla monolitów Kata Tjuta, nazywanych też Olgami[23]. Zamaszystymi pociągnięciami pędzla staraliśmy się oddać olśniewające pustynne światło.

Gdy opuszczaliśmy Uluru o zmierzchu, popołudniowy żar nieco zelżał. Wjechaliśmy do Palm Valley niedaleko Hermannsburga, sto czterdzieści kilometrów na zachód od Alice Springs. Gus Williams, człowiek z plemienia Arandów, przyłączył się do nas, gdy rozbijaliśmy obóz. Niezmącony spokój tej okolicy podkreślały monumentalne formy powierzchniowe i *Livistona mariae* – nazywane czerwonymi kapustami, rosnące tu od wieków palmy. Ponad trzy tysiące tych drzew stanowi pozostałość po czasach prehistorycznych, kiedy Australia Środkowa była znacznie bardziej podmokła. Palm Valley to jedyne miejsce na świecie, gdzie występuje ten gatunek.

Dolina wydaje się niemalże świadoma powagi tysiącleci, których była świadkiem. Urzeczona jej symetrią, czułam, jak coś ściąga mnie w głąb rozbrzmiewającego echami amfiteatru. Cisza i czyste pustynne powietrze. Nie sposób nie odczuć siły ziemi, na której urodził się Gus Williams. Po kolacji przy ognisku mężczyzna, stojąc na zboczu góry, zaczął przywoływać psy dingo.

Odpowiadały mu przeciągłym wyciem. Magiczna rozmowa Gusa z dzikimi psami trwała do późnej nocy.

Potem pojechaliśmy dalej na północ. Obozy rozbijaliśmy z dala od autostrady, w wysuszonych łożyskach dopływów rzek. Na opuszczonych drogach Terytorium dochodziło przez ostatnie lata do wielu brutalnych morderstw i niewyjaśnionych uprowadzeń. John zawsze mi powtarzał, że nie boi się dzikich zwierząt, tylko dzikich ludzi. Wolał, żeby nie było nas widać z drogi. W buszu nie brakowało drzewa na rozpałkę, a zamrażarka w samochodzie pozwalała uzupełniać od czasu do czasu zapasy. Każdy dzień poza murami miasta coraz bardziej rozluźniał nasze związki z jego stylem życia, sprowadzając potrzeby do tego, co niezbędne: jedzenia, snu, podróży. Myśleliśmy jaśniej i zasypialiśmy mocnej – kolory, dźwięki i zapachy były bardziej intensywne.

Zahaczyliśmy jeszcze o komunę artystów z Yuendumu, gdzie malarze akrylowymi kropkami pokrywali swoje płótna odporne na działanie żywiołów i zakusy okolicznych psów. Malowidła z tego regionu Pustyni Zachodniej i z oddalonej nieco na południowy zachód Papunyi przez wielu uważane są za największe osiągnięcie australijskiej sztuki abstrakcyjnej i już w tamtym czasie zaczęły zdobić ściany modnych galerii i kolekcji w Ameryce i Europie. Utrwalenie historii, które przedtem kreślono na obrzędowych piaskach, a następnie wymazywano, okazało się aktem niezwykle doniosłym. Te prace były początkiem oszałamiającej międzynarodowej kariery aborygeńskiego malarstwa kropkowego – dot-artu.

W Yuendumu po raz kolejny się przekonałam, że John wie niemal wszystko o wszystkich. Jeśli kogoś nie zna osobiście,

nieodmiennie zadaje pytanie: „Kto jest twoją matką?” albo „A twoja skóra to co?”. I tożsamość nieznajomego przestaje być tajemnicą. Tutaj nie ma żadnych obcych. Tylko swoi. Sieć skóra–rodzina jak płaszcz okrywa niekiedy ludzi z dwóch krańców kontynentu.

Ostatni nocleg przed Borroloolą wypadł nam niedaleko Tennant Creek. Ugotowaliśmy coś na kopcącym eukaliptusie i ułożyliśmy się do snu w śpiworach pod okrągłym księżycem, zasnuwającym pejzaż srebrzystym światłem. W samym środku nocy jakiś kot przemknął obok nas niczym futrzana migotliwa błyskawica. Tuż nad ranem położyłam się na brzuchu, żeby patrzeć, jak promień księżyca nurkuje między pikami pustynnych traw. Często wspominam tamtą spokojną noc.

Następnego dnia przejechaliśmy pozostałe siedemset kilometrów dzielących nas od Borrolooli. To była pierwsza podróż Jamesa do rodziny. Tak jak Tim, nasz drugi syn jechał po swoje imię, po swoją przynależność. Mama Johna mieszkała wtedy w mieście, więc pojechaliśmy prosto do niej z dzikim indykiem, ulubionym przysmakiem Kathleen oprócz walabii (małego kangurka)[24], warana, żółwia i kolczatki. Moja teściowa wzięła w ramiona Tima, a potem Jamesa, czekając, aż John jej go opisze: ogromne czarne oczy, złocistobrązową skórę, uśmiech. Babki i ciotki Jamesa również zasypały małego pieszczotami. Po obozie biegało mnóstwo dzieciaków. Nie minęła nawet chwila, a nasi chłopcy ganiali już z tamtymi, dokazując i wrzeszcząc, ile wlezie.

Moi rodzice, Nancy i Owen Langhamowie, postanowili tamtej zimy odbyć pierwszą w życiu wyprawę z Tasmanii nad zatokę, aby spędzić z nami trochę czasu. Spotkaliśmy się w Borrolooli. Tata

i mama pojechali wschodnim wybrzeżem Nowej Południowej Walii i Queenslandu, a potem z Mount Isa dostali się na Terytorium Północne. Traktowali Johna jak własnego syna i chcieli poznać jego krewnych. Gdy mama się dowiedziała, że parafianie z jej kościoła w Devonport lubią od czasu do czasu chlapnąć coś o Aborygenach, natarła na nich bez pardonu, nie zostawiając na towarzystwie suchej nitki. Z upodobaniem cytowała swojego zięcia, „prawdziwego dżentelmena", jak mawiała. Uroczyście poprzysięgła znajomym, że nie zniesie choćby jednego niepochlebnego słowa na temat Johna i jego nacji. Mój mąż zachichotał raz lub dwa, kiedy na jego pytanie, jak jej minął dzień, odpowiedziała pewnego razu, że „narobiła się jak jakiś czarnuch". W tamtych czasach w popularnej wyliczance *Eeny Meeny Miney Mo*[25] w miejsce „czarnego" wstawiano już „tygryska" i całość wersu brzmiała: „Łap tygryska za piętę". Mama natomiast bywała w uroczy i niewinny sposób politycznie niepoprawna, a John ją za to uwielbiał.

Zatrzymaliśmy wóz kempingowy w Crossing – w miejscu, w którym McArthur się zwęża, po wschodniej stronie Borrolooli. Rodzice zaparkowali swoje kombi nieco dalej, bo John chciał uszanować miejscowy zwyczaj pozwalający zwracać się do teściowej tylko przez pośrednika. Był to szczególny czas dla nas wszystkich. Mamę ciągnęło do tutejszego kościoła, gdzie poznała kilka kobiet, między innymi Bellę Charlie Marrajabu, gorliwą chrześcijankę. Tata wałęsał się nad rzeką, a nocą z latarką wypatrywał krokodyli. W końcu doszło do spotkania z Kathleen i Williem, podczas którego wszyscy razem siedzieliśmy przy ognisku.

Crossing leży na drodze do Queenslandu, trzysta kilometrów wzdłuż linii kolejowej, a samochodem można się do niego dostać tylko w porze suchej. W porze deszczowej rodziny Garrawa, mieszkające po drugiej stronie rzeki, są zupełnie odcięte od miasta. Ten stan rzeczy utrzymuje się od początku europejskiego osadnictwa. Pomimo dziesięcioleci cierpliwych próśb o pomoc administracja Darwin na długie miesiące zostawiała tych ludzi bez żywności, opału i jakichkolwiek usług. Jak Garrawa mogli przeżyć w tych warunkach? Bezczynność władz była nie do pojęcia.

Miejscowi często wędkują na nisko zawieszonym moście drogowym w Crossing. Zdarza się też, że pijacy siedzący w słońcu na skałach padają łupem krokodylich szczęk. Ale tamtej zimy przed ponad dwudziestu laty wielkie słonowodne bestie – krokodyle różańcowe – rzadko zapuszczały się w górę rzeki, więc nasi chłopcy dzień w dzień bawili się w jej nurcie, pływając dla ochłody na płyciźnie w starej balii, pod okiem Johna. W nocy, w niżej położonych okolicach, sprawy wyglądały już inaczej. Podczas przechadzek nieraz natykaliśmy się na błyszczące, szeroko rozstawione ślepia. Na mieliznach krokodyle czujnie wypatrywały ofiar. Na szczęście brzeg był wystarczająco wysoki, by trzymać te piękne drapieżniki z dala od obozu.

Tamtego tygodnia złowiliśmy kilka barramundi – ryb pływających w porze deszczowej w lekko zasolonych rzekach północnej Australii. Złapanie którejś w porze suchej graniczyło z cudem. Pewnego dnia udaliśmy się też na brzeg Wearyan, gdzie mieliśmy zamiar spędzić weekend. Rozłożyliśmy śpiwory na białym piasku nad nurtem, który ponad skalistym występem

tworzy wodospad, po czym łagodnie płynie w dół, w stronę zatoki. Niewysokie drzewa o korze przypominającej kruchy, delikatny papier[26], sagowce i rozłożyste pandany znaczyły linie brzegów, przy których żerowały krokodyle – dwadzieścia lat temu byli to słodkowodni, długonosi i rybożerni kuzyni słonowodnych drapieżców. Kilka lat później obfite deszcze sprowadziły jednak słonowodne w okolice górnego biegu rzeki i od tamtej pory kąpiele w rozlewiskach Wearyan zrobiły się zbyt niebezpieczne.

Mieliśmy świeże mięso wołu, więc o zachodzie słońca wrzuciliśmy je na ogień razem z rybami. Ten wieczór zapamiętałam jako ucieleśnienie prostoty, wszystkiego, co najpiękniejsze w rodzinnym dzieleniu się posiłkiem. Rozkosznie przypalona ryba i przypieczone na grillu soczyste mięso nakarmiło cały nasz klan kładący się do snu na brzegu rzeki. Podróż, obozowisko i cicha rozmowa przy aromatycznie pachnącym ognisku niczym kołysanka osuwająca nas w zapadający szybko zmrok, a potem w noc.

Potem zrozumiałam, dlaczego tutejsi ludzie korzystają z każdej okazji, żeby pojechać w górę rzeki. Nie chodzi tylko o malowniczy widok wolno sunących wód. Ziemia ta zajmuje specjalne miejsce w sercach kobiet i mężczyzn Yanyuwa, bowiem ostatnia wielka ceremonia poza Borroloolą odbyła się właśnie tutaj. W 1950 roku setki Aborygenów przybyły tu z odległego Queenslandu na wschodzie i znad rzeki Roper na północnym zachodzie, by po raz ostatni wziąć udział z Yanyuwa w świętym zgromadzeniu. Dla ludzi stąd jest to piękne, ale i przygnębiające wspomnienie. Koniec ceremonii odprawianych w buszu oznaczał dla Yanyuwa

powolny, lecz nieodwracalny rozpad życia duchowego. Jak na ironię, bogactwa tej ziemi przyczyniły się do jej upadku.

Położona nad Wearyan Manangoora była od wieków ulubionym miejscem obozowym ludu Yanyuwa. Rzeka stanowiła źródło wody pitnej, a do morza było zaledwie piętnaście kilometrów. Oznaczało to, że jedzenia jest pod dostatkiem. Ignam[27], walabie, miód leśnych pszczół, warany, orzechy sagowca, ryby. Położenie Manangoory nad samym brzegiem wody sprawiało, że ludzie z łatwością się przemieszczali – mogli wiosłować w dół i w górę rzeki, by polować na żółwia i diugonia, zbierać owoce, handlować towarami i spotykać się na ceremoniach. Wyobrażałam sobie tutaj Johna z jego matką – być może w wiklinowym koszu, który sama wyplotła, śpiącego u jej boku. Widziałam obozowe ogniska minionych czasów, delikatne smużki dymu, gdy Kathleen piekła mięso. Kiedy następowała zmiana pór roku, jej oczy wypatrywały sztormowych chmur na horyzoncie, obwieszczających czas odejścia z ziemi, którą wkrótce miał zalać wielki przypływ.

To również miejsce wielu archeologicznych znalezisk. Kamienne artefakty dowodzą, że w tych stronach istniała kultura materialna, jeszcze zanim Makasarczycy przywieźli na wybrzeże stal i szkło. Odkryto tu między innymi bardzo wiele wytrawionych erozją rzeczną pustych muszli skorupiaków, świadczących o istnieniu na tych terenach obozów Aborygenów. Starzy mieszkańcy Borrolooli wspominają Manangoorę jako „jedno z Wielkich Miejsc" – ludzie zatrzymywali się tutaj w drodze na obrzędy i ceremonie. Młodsi pamiętają tylko, że prawie nigdy się stąd nie ruszali. I to właśnie jest przykre – świadczy bowiem o utracie ciągłości kulturowej. Odporność plemienia Yanyuwa na

wpływy Europejczyków skończyła się właśnie w Manangoorze. Obfitość darów natury była dla białych zbyt kusząca, musieli z nich skorzystać. A styl życia przyniesiony przez osadników okazał się początkiem końca tradycji Aborygenów.

Horace Foster, człowiek, który zawędrował na ziemie Yanyuwa w latach dwudziestych XX wieku, ponoć był dziennikarzem związanym z koncernami prasowymi londyńskiej Fleet Street. Założył tu przedsiębiorstwo zajmujące się eksploatacją panwi solnych, płytkich zbiorników zasolonej wody przynoszonej przez wylewające w porze deszczów morze. Wybrał to miejsce ze względu na tanią siłę roboczą – Aborygenów obozujących w Manangoorze. Wybierali oni odparowaną sól i pakowali w worki. Potem zabierały ją podpływające do brzegu barki. Taki układ bardzo pasował obu stronom. Sól była gotowa do zebrania w okolicach lipca, w porze suchej, kiedy panwie obsychały z wód pory deszczowej. W październiku było już zbyt gorąco, żeby pracować, poza tym zbliżała się kolejna fala zalewów. W tym czasie Yanyuwa tak czy inaczej zbierali się do drogi, ruszali do swoich letnich obozowisk na mniej podmokłych terenach.

Upływały lata i ludzie zaczynali spędzać coraz więcej czasu w Manangoorze, zaniedbując inne miejsca. W gospodarstwie Horacego uczyli się gotowania, ogrodnictwa, języka angielskiego i wyrobu przedmiotów z końskiego włosia. Tytoniu, cukru i herbaty było pod dostatkiem, mąka zbożowa zastąpiła skomplikowany tradycyjny sposób otrzymywania chleba, polegający na nasączaniu wodą i ucieraniu na mączkę orzechów sagowca. Między osadą białych na jednym brzegu rzeki a obozem Yanyuwa na drugim wytworzyły się więzy wzajemnej zależności.

Ale stosunki te były wciąż naznaczone piętnem tamtych czasów. John dowiedział się od Kathleen, że jego ciotkę zakopano żywcem w Manangoorze, bo nie była w stanie udźwignąć kolejnego worka soli. Młodsze kobiety również miały złe wspomnienia – szef i inni Europejczycy zmuszali je, żeby z nimi spały.

Horace Foster przez przypadek postrzelił się i zmarł w marcu 1941 roku. Istnieje co najmniej kilka wersji tego zdarzenia. Według jednej z najczęściej przytaczanych, jego strzelba się zacięła, więc Foster chwycił za lufę i uderzył bronią o pień drzewa. Wtedy nastąpił wystrzał, a kula utkwiła w pachwinie mężczyzny. Yanyuwa, chcąc mu pomóc, popłynęli łodziami w stronę morza, do Borrolooli. Tam odszukali siostrę Ruth Heathcock, Aborygenkę pochodzącą z Point McLeay w południowej Australii, pielęgniarkę, która wyszła za miejscowego policjanta. Tą samą drogą zawieźli ją do rannego. Siostra Ruth twierdziła, że przez cały czas widziała płynące przed łodzią duchy. Minęły jednak trzy dni i było już za późno na ratunek. Foster miał szczękościsk – objaw tężca – a w ranę wdała się gangrena. Siostra Ruth wybiła mężczyźnie dwa zęby, żeby móc go karmić, ale jej pomoc nic nie dała. Horace Foster został pochowany obok folwarku. Dwoje dzieci, które miał z Aborygenką, Jima i Rose, zabrano, jak Johna, do ośrodka wychowawczego. Rose przyjeżdżała potem jeszcze do Borrolooli. Jim mieszka w Adelajdzie i nigdy nie wrócił na północ.

Po śmierci Horace'a Fostera prace przy panwiach solnych nie ustały. Pod koniec lat czterdziestych, patrolując okolicę, biały policjant odnotował w raporcie obecność „około sześćdziesięciu tuziemców" na drugim brzegu rzeki. Majątek należał wówczas do

niejakiego Andy'ego Andersona, Europejczyka, który żył z niezliczonymi aborygeńskimi kobietami i spłodził wielu małych „mieszańców". Manangoora stała się pierwszą półstałą osadą ludu Yanyuwa, a jej nazwa jest kojarzona powszechnie z początkiem „wychodzenia z buszu". Nadal odprawiano ceremonie, lecz odbywały się one niedaleko farmy. Wciąż jeszcze jednak polowano i szukano w buszu pożywienia, a także powrócono do starych, niezawodnych sposobów wyrabiania chleba z orzechów sagowca.

Kobiety z Borrolooli pamiętają czas, gdy ludzie zaczęli „przysiadać". *Manjikarra*[28] Jemima mówi, że dzieciństwo spędzone w Manangoorze miała dobre.

> Kiedy byłam mała, mieszkałam w Manangoorze z mamą i z wujostwem. Wychodziliśmy do buszu, żeby polować i zbierać owoce lasu. Na przykład *munya*. To coś takiego jak passiflora, ale trochę inne. I orzechy sagowca. Cały czas na tym jechaliśmy. Nigdy nas nic nie bolało, żadnych chorób, bo jedliśmy tylko jedzenie z buszu. Do tego dzikie ogórki, też z buszu, rosły na brzegu rzeki. Wszystko to jedliśmy. I miód z buszu, diugonia, kangura albo ryby.
>
> Wszyscy starsi ludzie dostawali od białych żywność, trochę czegoś z buszu, cukier, mleko, owsiankę i mąkę. Bo jedzenia wciąż brakowało. Cały czas jedliśmy to, co znaleźliśmy.
>
> Moi wujostwo pracowali przy soli, dla Andy'ego Andersona. Zbierali tę sól i zbierali.

Ale Manangoora nie wytrwała długo w swym na pół osiedleńczym charakterze. W 1948 roku cyklon uformował falę, która zmiotła z powierzchni ziemi jej ogrody, a z rodzącej dotąd obficie ziemi uczyniła solne trzęsawisko, na którym nie rosły owoce ani warzywa. Zwierzyna nie wystarczała już dla ludzi znad

Wearyan, a nadmierne poleganie na żywności od Europejczyków, do której Yanyuwa od początku wieku zdążyli się już przyzwyczaić, miało fatalny wpływ na ich zdolność przetrwania.

Brzeg Wearyan pozostał miejscem obrzędów, choć po ostatniej wielkiej ceremonii Prawa rytuały w buszu zamarły. Aż do lat sześćdziesiątych ludzie jednak ciągle tu zjeżdżali ze względu na duchowe znaczenie rosnących na tym terenie sagowców i na ich związek ze Snem Rekina Tygrysiego. Według mitu Yanyuwa, Rekin Tygrysi opiekował się sagowcami na wschodzie. Toczył o nie nieustanne boje z drwiącymi z niego rybami – karanksem, orleniem, głowomłotem olbrzymim i żarłaczem czarnopłetwym. Pewnego dnia po prostu wyrwał z ziemi sagowce i spokojnie popłynął na zachód, unosząc na głowie wieniec wysuszonych orzechów. Niewielką część swojego ładunku złożył na północy, na wystającej z wody skale, której dał nazwę Wurlma (w języku białych Vanderlin Rocks). Resztę próbował zostawić na sąsiedniej wyspie, nazwanej przez siebie Nungkkariwurra, ale pani tamtejszych skał, walabia, uniosła się gniewem i kazała mu popłynąć na południe, na kontynent. Wyczerpany podróżą, Rekin Tygrysi zdołał dotrzeć zaledwie do ujścia Wearyan, właśnie na wysokości Manangoory. Tutaj rozrzucił orzechy, a gdy rozsiewał święty pokarm, wykrzykiwał imiona tej ziemi i sagowców, które wystrzeliły w górę. Potem wyjął sobie jedno oko, dając początek studni, której dał imię Dungkurramaji – ta nazwa zachowała się do dzisiaj. A w Kalalakindzie, na południu, Rekin Tygrysi spotkał Człowieka Ducha i przekazał mu magiczne pieśni pozwalające przezwyciężyć truciznę w orzechach sagowca[29]. W ten sposób

Manangoora stała się *Ma-wirla*, to znaczy miejscem obfitującym w żywność, zdolnym wykarmić wielu ludzi.

Ceremonie podtrzymywały mit – jak choćby opowieść o Rekinie Tygrysim – i podsycały ducha Yanyuwa, koniecznego do przetrwania. Tej tradycji zadano cios, kiedy w 1971 roku sagowce zostały ścięte przez farmerów, ku oburzeniu i rozpaczy Yanyuwa. Ze świętych pni powstały zagrody dla zwierząt. Ów zamach jest znamienną pamiątką po nieodległych jeszcze czasach: świadczy o obojętności Europejczyków wobec rdzennej kultury. (Zresztą z małymi wyjątkami ten stan rzeczy utrzymuje się do dziś).

W 1986 roku rany po ściętych drzewach były jeszcze świeże, o czym mogliśmy się przekonać na własne oczy. Aborygeni jednak wciąż tu przyjeżdżali. Obserwując ich, nie mogłam wyjść ze zdumienia. To niebywałe, jak łatwo i lekko można podróżować. Tylko zwinięty materac, kilka koców, kociołek. Wygody, do których przywykliśmy w mieście, tutaj okazywały się ciężarem, bezużyteczną kupą złomu. Latarki, kuchenka na gaz i składane krzesła zostały w samochodzie. Ognisko i osmolona patelnia – oto, czego nam było trzeba. I wędka.

Tim i James uwielbiali piaszczyste brzegi Wearyan. Pływaliśmy na dmuchanych materacach, wiosłując rękami i nogami. Gdy wspominam tamte chwile, często przychodzi mi do głowy, że była to straszna lekkomyślność i głupota. Że ogromne krokodyle, które potem widywaliśmy, mogły czaić się pod wodą. Ulewny deszcz sprowadza je czasem w tamte okolice i niekiedy jakiś młodszy, bardziej agresywny samiec wypiera starego i bardziej leniwego. Zaatakowany stary krokodyl jest zaciekły, nieobliczalny i ogromnie niebezpieczny. Ale my, głusi na głos rozsądku,

beztrosko rozkoszowaliśmy się ciepłą wodą obmywającą spaloną przez słońce skórę. To była taka miła odmiana po upałach zimy, którą zostawiliśmy na południu. Chłopcy z lubością przewracali się i mocowali na piasku, aż pewnego ranka dostrzegłam na ciele Jamesa czerwone krostki. Nie były to zwykłe wypryski, lecz paskudnie wyglądająca wysypka, nazywana liszajcem zakaźnym: zaognione, sączące się pęcherzyki, które swędziały i piekły. Wkrótce mały zaczął płakać przez nie z bólu. Nasze skądinąd zdrowe dzieci podczas wypadów nad zatokę nieustannie były narażone na bakteryjne zapalenia skóry. Bardzo współczułam miejscowym dzieciakom, które ciągle na nie zapadały, choć tak łatwo im zapobiec.

Jeszcze bardziej niepokojący od liszajca był jednak guz wielkości jajka, który kilka dni później pojawił się na szyi Jamesa, w połowie dziesięciogodzinnej drogi samochodem w kierunku Darwin. Przerażona, nie miałam pojęcia, co to takiego. Chłopiec gorączkował i był osowiały. Podawaliśmy mu paracetamol i przemywaliśmy rozpaloną twarz wilgotnymi ręczniczkami. Dociskając gaz do dechy, dojechaliśmy wreszcie do szpitala w Darwin. Pełni najgorszych przeczuć czekaliśmy przed drzwiami sali nagłych przypadków, by na koniec dowiedzieć się z ulgą, że to tylko infekcja węzłów chłonnych. Obawialiśmy się czegoś znacznie gorszego, ale i tak sprawa była poważna. Lekarze chcieli go podłączyć do kroplówki z antybiotykami. Nasłuchaliśmy się jednak tylu strasznych historii o aborygeńskich dzieciach z Borrolooli umierających z niewyjaśnionych przyczyn w tym szpitalu, że daliśmy sobie spokój. Tylko zastrzyk i do widzenia. Podczas dalszej jazdy James leżał na podłodze, chłodzony

nawiewem klimatyzatora. Na szczęście gorączka szybko mu spadła. W drodze na południe zatrzymaliśmy się jeszcze w Tennant Creek na kolejny zastrzyk. To samo powtórzyliśmy w Alice Springs, po czym wsiedliśmy do pociągu, który zawiózł nas do Adelajdy.

---

[21] Uluru – słynna formacja skalna o czerwonawej barwie, którą nadaje jej tlenek żelaza. Święte miejsce Aborygenów, zwłaszcza plemienia Anangu (z tego powodu fotografowanie przez turystów części skały jest zakazane). Uluru znajduje się w południowej części Terytorium Północnego.

[22] W Australii dzieci rozpoczynają naukę w wieku pięciu lub sześciu lat.

[23] Kata Tjuta (dla Brytyjczyków Olgi) to grupa trzydziestu monolitów na Terytorium Północnym i miejsce święte Aborygenów. Rdzenna nazwa tych formacji oznacza „wiele głów".

[24] Walabia – nieduży ssak zaliczany do kangurowatych, mieszkaniec buszu, charakterystyczny dla Australii oraz Tasmanii.

[25] *Eeny Meeny Miney Mo* – posiadająca wiele odmian dziecięca wyliczanka używana podczas gier i zabaw grupowych, znana co najmniej od początku XIX wieku, choć z pewnością o znacznie starszym rodowodzie. Jeden z wersów brzmiał niegdyś: „Łap czarnego za piętę" i został zmieniony z racji swojego rasistowskiego wydźwięku. (Niektórzy badacze sądzą jednak, że pojawiający się w jej starszej wersji „czarny" nie tyle oznaczał osobę o ciemnym kolorze skóry, ile Złego – diabła).

[26] Tak zwane drzewa papierowe to ponad dwieście gatunków z rodziny *Myrtaceae*, występujących niemal wyłącznie w Australii. Ich kora łatwo odchodzi od pnia – jak papier, któremu zawdzięcza nazwę. Aborygeni używali ich do wielu różnych celów – między innymi jako bandaży, mat do spania lub zamiast pergaminu do przechowywania żywności.

[27] Ignam (inaczej pochrzyn) – rodzaj pnączy z kulistymi lub maczugowatymi bulwami. U większości gatunków bulwy są trujące, tylko w niektórych przypadkach po odpowiednim przygotowaniu nadają się do jedzenia. Pnącza w zależności od gatunku wiją się zgodnie z ruchem wskazówek zegara lub odwrotnie.

[28] *Manjikarra* – szwagierka.

[29] Nasiona tego drzewa, charakterystycznego dla Australii Północnej, podobne są do orzechów, lecz wymagają specjalnego przetworzenia, nim zostaną zjedzone, zawierają bowiem silną truciznę. Aborygeni, gotując lub piekąc orzechy, a następnie płucząc pocięte na kawałki w rzece, pozbywali się toksyn. Tak przygotowany półprodukt służył do wyrobu chleba.

5
MIŁOŚĆ

kina palirra
Dziękuję, że jesteś.

Kocham cię takim, jakim jesteś. Jesteś.
To wystarczy.

Dzień piąty, wtorek, 30 maja 2006 roku

Ta noc była chłodniejsza. Od wielogodzinnego siedzenia na placu ceremonii bolą mnie potwornie biodra. Przechodzenie z pozycji siedzącej do leżącej – męczarnia. Inne kobiety robią to bez wysiłku. Teraz w milczeniu cierpliwie czekają, aż zostaną wezwane. Prawo.

Yuwani intonuje pieśń jeszcze przed świtem, w ciemności. Jej kontralt z każdym dniem jest coraz mocniejszy. A ja rozpoznaję już melodie.

– To wielki kraj, Australia. Wystarczająco duży dla k a ż d e g o – stwierdza podczas swojej przemowy, znacząco akcentując ostatnie słowo.

Nieprzypadkowo właśnie ona zabiera głos. W tygodniu ceremonii Annie tradycyjnie jest mówczynią. W latach jej

młodości takie przemawianie było bardzo istotnym elementem życia w buszu, kiedy należało docierać z rozmaitymi przekazami do najdalszych krańców obozu. Mówcy zwracali się do ludzi, gdy ci kładli się do snu i gdy się z niego budzili. Powiadamiali ich, o jakiej porze będą ruszać w drogę, gdzie najłatwiej znaleźć pożywienie, czego dotyczy najbliższa ceremonia, ale także zapoznawali społeczność z problemami, wątpliwościami lub skargami. Jeśli sporu nie udawało się rozwiązać polubownie, można było przeprowadzić obrzędowy pojedynek. Jeden z takich placów walk ludu Yanyuwa stał się później boiskiem futbolowym. Tradycja przemawiania dobiegła końca, gdy obozy w buszu zostały zastąpione przez domy – ściany tłumiły wołanie mówców. Tutaj jednak, na pustyni, głos *yuwani* Annie przypomina, jak ważny był ten sposób przekazywania wiadomości. Od niego wszak zależało przetrwanie wędrujących plemion. A takie ogłaszanie zamiarów, rozbieżności w poglądach i kompromisów pozwalało zbiorowości na wspólne podejmowanie decyzji.

Woda już się gotuje, więc szybko zaparzamy herbatę z cukrem. Próbujemy się rozgrzać. Siedzimy blisko ognia, dorzucając jeszcze drewna, żeby podsycić płomień.

Trwa kolejny dzień obrzędów. Niedziela, poniedziałek, wtorek – kobiety z Borrolooli nauczyły się już cierpliwości. Siedzą w milczeniu, nasłuchując. Będą tańczyć dopiero jutro, w środę.

Kilka godzin później znowu siedzimy na placu ceremonii, oglądamy rytualny taniec. Dzisiaj w opowieściach kobiet pojawiają się mężczyźni. Rytm ich ciał i głosów mówi o trwałości międzypokoleniowych więzi, o uczuciach. Tylko zewnętrzna warstwa tego, co robią, jest dla mnie jasna, ale Annie wszystko mi

po cichu wyjaśnia. Czuję moc płynącą z pieśni i ruchów tancerek – jest w nich smutek, wyzwolenie i rozpoczęcie wszystkiego od nowa. To opowieść o odpuszczeniu win. O przebaczeniu i zrzuceniu z siebie przygniatającego ciężaru.

– Ta pieśń oczyszcza – słyszę szept Annie.

Mimo oczywistych skojarzeń z chrześcijaństwem nie ma w tym śpiewie i tańcu niczego, co wskazywałoby na wpływ nauk misjonarzy. Tylko głębokie człowieczeństwo – odwieczna historia upadania, podnoszenia się i wybaczania. Wytańczenie, wyśpiewanie tych uczuć jest źródłem siły dla tych, które odprawiają ceremonię, i dla tych, które siedzą pośrodku koła nakreślonego na pustynnym piasku.

Tego popołudnia szukamy drzewa. Ścinamy je i znosimy. Tak, żeby starczyło na jakieś trzydzieści ognisk, które w dzień i w nocy muszą płonąć dla dwustu kobiet. W ruch idą piły łańcuchowe, młoty dwuręczne i siekiery – całe pnie padają pod ciosami naszych ramion. Ładujemy je na przyczepy lub mocujemy na dachach terenówek. Z wdzięcznością biorę na swoje barki to zadanie. Cieszy mnie możliwość rozprostowania nóg, zesztywniałych od siedzenia w jednym miejscu. Potem trzeba rozprowadzić po całym obozie worki na śmieci, napełnić pojemniki wodą, dostarczyć kobietom torby z jedzeniem – kurczakami, cebulą, dyniami, brokułami i ryżem. Uzupełnić zapasy płatków Weet-Bix, cukru i herbaty.

Okolica, gdzie szukamy drewna na opał, należy do czerwonych termitów, wznoszących ogromne, bardzo wysokie kopce. Drzewa odcinają się jasną zielenią od bezchmurnego nieba, nieco bledszego na linii horyzontu.

Dzisiaj jest upalnie. Francene, równie biegła w sztuce posługiwania się kowalskim młotem, co w zmienianiu opon, pyta, czy użyłam jakiegoś kremu przeciwsłonecznego z filtrem. Moja twarz świeci z daleka jak neon. A po wysiłku fizycznym jeszcze bardziej poczerwieniała. Tak, użyłam kremu. Z filtrem trzydzieści plus. Słońce nie ma litości. Oczy bez przerwy mi łzawią – pieką jak diabli od pyłu, dymu i popiołu. Zimą na pustyni nie ma jednak na szczęście ani much, ani mrówek.

Francene udziela mi dobrej rady, widząc, że zmagam się z kurzem. Należy dać sobie spokój i zostawić go na twarzy, bo chroni przed słońcem. Zmieszany z tłustym kremem przeciwsłonecznym daje doskonałą ochronę przed promieniowaniem.

Po powrocie do obozu siadam na śpiworze i zaczynam pisać w moim dzienniku. Zarzucam na plecy sweter, chroniąc szyję przed ukropem późnego popołudnia. Jest już piąta, a wciąż przypieka. Zmrok to pora, o której zimą na pustyni nagle zaczyna robić się bardzo chłodno.

Wieczorem podpełza zdradliwa melancholia. Myślę o matce Johna, która straciła swoje dziecko, kiedy nie miało jeszcze czterech lat. Ogarnia mnie smutek na myśl o kobietach, które tak kochały tego chłopca. I na myśl o chłopcu, który tej miłości nie zaznał, który musiał wiele wycierpieć, aby stać się mężczyzną, jakim jest teraz. A przecież kobiety Yanyuwa nadal go opłakują – tego utraconego chłopczyka. Od tylu lat wypłakują oczy za porwanym synkiem aborygeńskiej matki i irlandzkiego ojca. Za Bulanyi, ojcem moich własnych dzieci.

Pytam Annie i Thelmę, czy możemy porozmawiać o tematach do mojej książki. Na przykład o miłości. Annie kręci głową. Trudna sprawa. Dużo rzeczy do zrobienia. Nie przyjechały tutaj tak sobie, dla zabawy. Po czym rzuca coś, co jest dla mnie prawdziwym objawieniem.

– My nie mówimy: „Kocham cię" – oznajmia. – U nas mówi się *kina palirra*. To znaczy: „Dziękuję, że jesteś".

Jej słowa robią na mnie ogromne wrażenie. Kocham cię takim, jakim jesteś. Jesteś. To wystarczy.

Chcę zapytać ją o coś jeszcze, o coś bardzo ważnego. O żałobę. Ale okazuje się, że wcale nie muszę pytać. Tego wieczoru, po zmroku, Thelma szepcze mi do ucha, że przez telefon satelitarny do jednej z rodzin przyszła wiadomość. Chyba nic dobrego. Wreszcie słyszymy nadjeżdżającą toyotę. Już po rozmowie. Umarła bliska krewna. Ciche łkanie rozlega się wśród kobiet układających się do snu. Tłumione. Bez histerii. Płacz wstrząsa ich ciałami. Potem ustaje.

Annie, mówczyni, woła na cały obóz:

– Mamy smutek w naszych sercach! Tak! Ale musimy go odrzucić, musimy, musimy go odrzucić!

Młoda dziewczyna umarła w Darwin Hospital. Miała przeszczepioną nerkę, jednak rodzina nie przestała lać w nią alkoholu. Znów zachorowała. Nawet nie wiedzieli, że tak z nią źle. Nikt im nie powiedział.

Po tamtej podróży do Borrolooli zimą 1986 roku życie w Adelajdzie toczyło się dalej, choć w dwóch wymiarach, oddzielone tylko fizycznie, ale nie duchowo od filozofii, która napędzała naszą pracę w studiu projektowym. Było mi przykro, że większość białych Australijczyków nigdy nie doświadczyła tego, co ja. Tradycja pierwszych mieszkańców tego kontynentu mogłaby określić nas na nowo jako naród. Nasze historyczne związki z Wielką Brytanią, z aliantami, pozycja, jaką zajmujemy w regionie Azji Południowo-Wschodniej i Pacyfiku, wielokulturowość, a wreszcie znany na całym świecie luz, z jakim podchodzimy do swoich kłopotów, pogodni i beztroscy... To nasz znak rozpoznawczy. Brakuje nam jednak spuścizny starych kultur, które mogłyby nas ukorzenić, obdarzyć tożsamością. Niepotrzebnie je odrzucamy. Razem z Johnem wierzyłam, że uda nam się przerzucić most, po którym inni dotrą do tego magicznego miejsca, gdzie bije serce Australii. I że nasza działalność stworzy warunki do bardziej otwartej wymiany doświadczeń. Do dialogu.

Zaczęły napływać pierwsze zamówienia. Nasze pomysły powoli przebijały się na rynek, zwłaszcza po tym, jak firma Budget Rent-a-Car, która przeszła wtedy na własność Boba i Josie Ansettów, wynajęła nas do zaprojektowania odzieży dla pracowników. Na tym zleceniu nie zarobiliśmy wiele, liczyło się jednak to, że Ansettowie nam uwierzyli. To był prawdziwy przełom na drodze

do stworzenia nowego wizerunku Australii. Mieliśmy wsparcie korporacji gotowej nosić naszą odzież. Nadal czasem zaglądamy do błyszczących katalogów Budgeta, wdzięczni i zdumieni, że Ansettowie na nas postawili. Niedługo potem Nexus, znana marka z Melbourne specjalizująca się w sztuce wzorniczej interioru, zaprosiła nas do konkursu na projekt wykładziny dywanowej dla jednego z budynków publicznych w Górach Śnieżnych. Wygraliśmy ten konkurs – i to znów było dla nas ogromne zaskoczenie.

Nabraliśmy dość wiary w siebie, aby wejść w sprzedaż detaliczną. Pamiętaliśmy jednak, jak na samym starcie sparzyliśmy się boleśnie, przeszacowując możliwości sprzedaży naszych produktów na targach wystawienniczych w Hadze w 1983 roku. Skończyło się na tym, że wylądowaliśmy w garażu na nikomu niepotrzebnej stercie chust i szalów wartych jakieś pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ukręciliśmy sobie wtedy powróz na własną szyję i straciliśmy wiele czasu na wydzwanianie i bieganie od sklepu do sklepu, aby cokolwiek z tego gdzieś upchnąć. Sprzedaż okazała się totalną klapą. Nikt w Australii nas nie chciał, nikt nie kupował niczego, co przypominało twórczość Aborygenów.

Któregoś dnia, w samym środku prezentacji w salonie Davida Jonesa w Adelajdzie, po tym, jak kazano nam czekać niemal godzinę, Tim zwymiotował sokiem pomarańczowym na elegancki jasnoróżowy dywan. Jeśli przedtem moi niedoszli partnerzy wahali się, czy w ogóle mnie wpuścić, po nieszczęśliwym wypadku Tima po prostu wyrzucili mnie za drzwi. W tamtych czasach, ledwie zaczynałam coś jąkać przez telefon, przerywano mi

kategorycznie: „Przykro mi, w tym roku nie wchodzimy w brąz". Tylko gdy wciskałam nogę między drzwi i trzymałam ją tam tak długo, aż pozwolono mi pokazać moje rzeczy – mocne, proste projekty w gamie kolorów australijskiego krajobrazu – ludzie nagle zmieniali nastawienie.

Chlubnym wyjątkiem okazały się linie lotnicze Qantas, które pokazały w katalogu dla pasażerów naszą pierwszą kolekcję jedwabnych i wełnianych szalów. Było to w 1983 roku. Nie mogliśmy wiedzieć, że w przyszłości nawiążemy bardzo bliską współpracę, ale już wtedy ogarniało nas wzruszenie na pasach startowych zagranicznych lotnisk na widok białego kangura na czerwonym ogonie samolotu.

W 1987 roku zdecydowaliśmy się na ryzykowny krok. Z domu w St. Peters przenieśliśmy nasze stoły projektowe do małego biura na obrzeżu centrum handlowego Adelajdy. Zaczynało to wyglądać jak prawdziwy biznes. Siadałam czasem w moim pustym gabinecie, rozglądałam się po nagich ścianach, słuchałam, jak nasza (zatrudniona na ćwierć etatu) sekretarka rozmawia z klientami, i napawałam się posiadaniem punktu dowodzenia poza domem. Ale natarczywe telefony od tracących cierpliwość banków nie pozwalały na myślenie o niebieskich migdałach.

Nabieraliśmy wiatru w żagle. Sprzedawaliśmy nasze wzory producentom ubrań, zastaw stołowych i parasolek. Jechaliśmy na niewielkim procencie od każdej sztuki. Produkcję, magazynowanie, hurt i detal zostawiliśmy w końcu specjalistom. Mogliśmy teraz skupić się na naszej misji – na zapoznawaniu współczesnego świata z estetyką Aborygenów i z ich kulturą.

W budynku, w którym pracowaliśmy, miał też swój gabinet ginekolog, co okazało się szczęśliwym zrządzeniem losu, kiedy w kwietniu 1988 roku usłyszałam, że znowu jestem w ciąży. Miałam do przejścia tylko kilka metrów korytarza, aby co miesiąc sprawdzić, czy wszystko gra. Rok wcześniej poroniłam, więc byliśmy trochę niespokojni. Ale w końcu wszystko poszło gładko i trzy tygodnie przed terminem, w grudniu, urodziłam córeczkę – Julię. Była naprawdę ślicznym dzieckiem, które cierpliwie i pogodnie znosiło chaos naszego rodzinnego życia. Julia urodziła się dokładnie dwieście lat po tym, jak kapitan Cook przybił do australijskich brzegów, wysadzając na ląd anglosaskich przodków jej matki. A niedługo po wyskoczeniu z brzucha zdążyła jeszcze zagrać z nami w jasełkach – i to główną rolę! Parafianie, którzy prawie każdej niedzieli byli świadkami nieokiełznanego entuzjazmu naszych chłopców, teraz ledwie ich rozpoznawali, tak poważne i natchnione miny mieli Tim i James. Była to radośniejsza uroczystość od tej, którą John zapamiętał z lat dzieciństwa. W domu dla chłopców przyszło mu kiedyś grać rolę pastuszka, a on na próżno próbował jednocześnie klęczeć i ukrywać podziurawione podeszwy butów.

Przyjście na świat trzeciego dziecka zbiegło się z decyzją Johna, by ostatecznie porzucić fikcję, jaką był Departament do spraw Aborygenów Australii Południowej, i zająć się doradztwem. Parasol ochronny nad naszymi głowami przestał działać: biznes jeszcze nie przynosił dochodów, a przecież mieliśmy dom, dwóch chłopców i małą dziewczynkę, których trzeba było nakarmić i ubrać. Gdy mój mąż rozważał, czy rzucić pracę, pewien kolega dość pokrętnie tłumaczył mu, że nieodparte wrażenie skoku na

głęboką wodę jest czystym złudzeniem, w rzeczywistości bowiem on tylko ześlizguje się z drabinki. Nie jestem pewna, czy ten facet pływał w tym samym basenie, co my, czułam bowiem, że widoki na przyszłość są raczej marne.

Uratowały nas dwa szczęśliwe przypadki. Pierwszym było zatrudnienie Johna przez Australijski Komitet Olimpijski, który zgłosił kandydaturę Melbourne do organizacji igrzysk w 1996 roku[30]. Kontrakt zawarto na osiemnaście miesięcy, a John miał zabiegać o poparcie dla nas w Afryce. Wybrano go, ponieważ wcześniej przewodniczył delegacji Azji Południowo-Wschodniej i Pacyfiku na drugim spotkaniu World Black and African Festival of Arts and Culture, później zaś koordynował przygotowania Nigerii do udziału w kongresie szefów rządów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w Melbourne. Jego kontakty okazały się bardzo cenne dla Australii. Duże znaczenie miał też fakt, że John był pierwszym aborygeńskim graczem powołanym do piłkarskiej reprezentacji kraju. Drugi raz szczęście uśmiechnęło się do nas, gdy Merle Griffin, fotografka, która wykonała dziecięce fotografie Johna, przelała na nasze konto dziesięć tysięcy dolarów – żebyśmy nie umarli z głodu. Zarobki Johna pomogły nam spłacić długi, a dzięki Merle mieliśmy co jeść przez rok z okładem. Ta cudowna kobieta dała nam czas, którego bardzo potrzebowaliśmy.

John większość czasu spędzał w Nigerii, na Wybrzeżu Kości Słoniowej i w Kongu, toteż dwa następne lata były nieustannym miotaniem się na wszystkie strony, w dodatku z trojgiem dzieci. Studio projektowe nadal działało na krawędzi, choć mogliśmy zatrudnić więcej ludzi. Pracownicy Balarinji, także biali, pochodzili z bardzo różnych środowisk. Była to świadoma

strategia – łączenie artystów i projektantów z pozornie obcych światów w jeden zespół, poszukujący graficznego wyrazu dla tożsamości Australii. Pod okiem Johna, tropiącego każde odstępstwo od źródeł, wkraczaliśmy na nowe terytoria.

Kolacje w naszym domu zawsze były okazją do szczerych rozmów, także o pieniądzach. Każdy mógł otwarcie powiedzieć, co go gryzie. Dzieci dowiadywały się, czemu nie stać nas na drogie zabawki i gadżety, na które mogli sobie pozwolić rodzice ich kolegów. Tim nie skończył jeszcze jedenastu lat, a jednak zaskakiwał mnie swoją dojrzałością. Któregoś wieczoru, gdy znów narzekałam na chroniczny brak gotówki, powiedział, że to normalne, bo przecież budujemy podstawę piramidy. I wyjaśnił nam, że im więcej pieniędzy i wysiłku włożymy teraz w firmę, tym piramida będzie potem wyższa i trwalsza. Wiele razy wracałam potem myślami do tej metafory, zwłaszcza gdy odnosiłam wrażenie, że nie posuwamy się naprzód. Było to dla mnie ostrzeżenie przed kompromisami.

Przypomniałam Timowi jego słowa, gdy po latach sam rozkręcał swój biznes, gdy na własnej skórze odczuł, co to oznacza – całe tygodnie jechania na gotowanej marchewce oraz ideałach, z których nie ma ani centa. I choć za nic w świecie nie pozwolilibyśmy mu pójść na dno, wiem, że twarde życie nauczyło go więcej niż opiekuńczy rodzice.

Bardzo wcześnie zawarliśmy z Johnem układ, w myśl którego zawsze najważniejsze były dzieci. Każdego dnia, pod wieczór, przypominaliśmy sobie, że wszystko robimy ze względu na nie. Tim, James i Julia musieli mieć prawdziwe dzieciństwo – musieli wiedzieć, że poza troskami są też lekcje fletu, skrzypiec

i wiolonczeli, kluby piłkarskie, spotkania z rodziną i przyjaciółmi, podróże z plecakami. Przekrzykiwali się więc na piaszczystych wydmach Coffin Bay na południu Australii i przecinali taflę błękitnych wód oceanu. Całe godziny spędzali w łodziach. Razem z nimi, z rurkami do oddychania, nurkowaliśmy w kanałach u brzegu półwyspu Jork. Zapuszczaliśmy się w najodleglejsze, najbardziej wysunięte na północ okolice parującego i wilgotnego Queenslandu. Przed Bożym Narodzeniem wsiadaliśmy do samolotu, by odwiedzić tasmańską rodzinę. Wspinaliśmy się po górach pośród śnieżycy australijskiego lata. I jak najczęściej robiliśmy wypady nad zatokę, choć podróż na północ trwała niekiedy nawet pięć dni. Julia pokochała te wyprawy jak jej bracia, uwielbiała rozwijać śpiwór pod gołym niebem i jeść pieczone w żarze ogniska ryby. Żal im było porzucać życie w buszu, kiedy przychodził czas powrotu do Adelajdy.

Chciwie chłonęli lekcję buszu, której udzielał im John, niekiedy dosyć bolesną. Obozując kiedyś na plaży odległego zachodu południowej Australii, podziwialiśmy ogromne szerokoskrzydłe płaszczki, wznoszące się i opadające na przybrzeżnej fali. Dzieciaki wychylały się z czółen, przemawiały do nich, wiosłowały cierpliwie ich śladem. Szóstego dnia przywiezione przez nas mięso zaczęło cuchnąć, więc John zapolował na płaszczkę. Pokroił rybę w plasterki, przepłukał w słodkiej wodzie i upiekł. Tim, James i Julia nie chcieli jeść zabitego przez ojca zwierzęcia i zaraz przerzucili się na herbatniki. My, dorośli, tamtego wieczoru wciskaliśmy w siebie płaszczkę na siłę, żeby dzieci coś zrozumiały – jeśli odbierasz życie jakiejś istocie, to tylko po to, by ją zjeść.

Nasza zamrażarka w garażu w Adelajdzie stanowiła nie lada atrakcję dla przyjaciół dzieci – w zależności od pory roku można w niej było znaleźć kolczatkę, żółwia, diugonia lub wombata. Naraziliśmy się kiedyś niemieckiej prasie, zabierając na spotkanie z mediami w eleganckiej restauracji koszyk jaj morskiego żółwia. Smażone białko tych jaj nie ścina się, toteż gdy wjechały na stół, przypominały bardziej ciekły omlet. Myślałam, że powściągliwość dziennikarzy spowodował wygląd jajek, ale później się okazało, że nie – byli źli, bo sądzili, że sami zabraliśmy je żółwiom. John na próżno próbował wytłumaczyć, że to dar serca od jego aborygeńskiej rodziny znad zatoki.

W 1991 roku kontrakt Johna z Melbourne wygasł i musieliśmy znów wziąć się za design. Trudno, kręciliśmy się już na tej karuzeli, a planu B nie było. Kolejny przełom nastąpił na początku roku, gdy jeden z największych japońskich producentów tekstyliów, Nittobo, zamówił u nas kolekcję odzieży damskiej dla domu mody Onward Kashiyama. Młoda projektantka z Melbourne, Kim Chadwick, wówczas na stażu w Nittobo, podsunęła im pomysł wykorzystania sztuki rdzennych Australijczyków i wkrótce potem przyjechała do Adelajdy, by obejrzeć nasze prace. Dogadaliśmy się w pięć minut, polecieliśmy do Japonii i bardzo szybko podpisaliśmy umowę. Ludzie często opowiadają, jak ciężko negocjuje się z małomównymi Japończykami. W sztuce milczenia nikt jednak nie dorówna Aborygenom. Wiedzieliśmy, czym jest cierpliwość, i umieliśmy to wykorzystać.

Terminy podyktowane przez Nittobo były mordercze. Przez ostatnie trzy dni ja i John spaliśmy może sześć godzin. Nasi

ludzie również zarywali noce. Kiedy kurier zabrał wreszcie szkice i mogliśmy się położyć, poczuliśmy się jak pacjent w śpiączce, osuwający się w bezdenną otchłań. Wiedzieliśmy, że zrobiliśmy wszystko, by wykorzystać szansę. Już po kilku tygodniach nasze projekty znalazły się w produkcji. Patrzyliśmy, jak z drukarskich blatów zakładów fabrycznych w Osace spływają kaskadami bele materiałów, istna orgia nasyconych australijskimi kolorami wzorów. Byliśmy zdumieni, bo tuż obok lały się szerokimi strumieniami tkaniny Saint Laurenta. Sukienki, koszule i spódnice ze znakiem Balaranji zajęły miejsce obok takich marek jak Comme des Garçons i Issey Miyake, konkurując z nimi w salonie Isetan w Shinjuku, słynnym centrum handlowym Tokio. Uszczypnęłam się dwa razy, stojąc obok Johna z trzema tuzinami jasnoróżowych róż, zza których nie było widać mojej twarzy. Jakże długą drogę przebyliśmy od tamtego dnia, gdy wyrzucono nas z Davida Jonesa w Adelajdzie.

W naszych japońskich kolekcjach przyszedł czas na stroje kąpielowe, delikatne jedwabne kimona, bawełniane yukaty[31], obszycia mat tatami, ściereczki do czyszczenia okularów z mikrofibry, piżamy, bieliznę, kostiumy dla surferów i nadruki na papierze. Najbardziej ekscytujące było dla nas jednak ogromne zainteresowanie japońskiej prasy. Media chciały dowiedzieć się czegoś więcej o kulturze, która nas inspirowała. Porównywały ją z tradycją ich własnego kraju, poważającego starych ludzi i dawne obyczaje. Dziennikarze nie mogli uwierzyć, że twórczość Aborygenów pochodzi z czasów znacznie odleglejszych niż malowidła naskalne z Lascaux czy egipskie piramidy. A pieśni stworzenia i ścieżki totemicznych przodków, o których im

opowiadaliśmy, przypominały im szintoizm i animizm. Zadawali mnóstwo dociekliwych pytań.

W kontaktach towarzyskich Japończycy nie uznawali braku wzajemności, zabraniała im tego etykieta. Na jedno z przyjęć przynieśliśmy z sobą bumerangi jako prezent dla kierownictwa współpracujących z nami firm. Gdy jednak je rozdaliśmy, podszedł do nas członek zarządu Nittobo, pan Hidenari Shibuya, bardzo zafrasowany. Prezes jednej ze spółek poczuł się zakłopotany drogocennym w jego przekonaniu podarunkiem. Pospieszyłam z wyjaśnieniem, że choć nasze bumerangi są autentyczne i bardzo piękne, mają wartość dość symboliczną. Moje protesty jednak nic nie dały i w formie zadośćuczynienia musieliśmy również przyjąć prezent: prześliczną ceramiczną wazę z delikatnie toczonymi brzegami, raczej elipsowatą niż okrągłą, inkrustowaną płytkami dwudziestokaratowego złota.

Sukces odniesiony w Japonii oczywiście zwrócił uwagę Australijczyków. Kiedy pan Shibuya zabrał nas do swojego kolegi ze szkolnych lat, przeora słynnej buddyjskiej świątyni Kiyomizu-dera w Kioto, czekali tam już ludzie z Film Australia, pragnący nakręcić z nami wywiad na potrzeby dokumentu o Balarinji.

Pan Shibuya okazał się intrygującą postacią. Praca na etacie w Nittobo stanowiła tylko fragment jego urozmaiconego życia. Po godzinach był garncarzem, ogrodnikiem, poetą i entuzjastą wschodnich sztuk walki. Do interesów podchodził w typowy dla Japończyków sposób. Siadaliśmy z nim w cichych alejkach i patrzyliśmy w milczeniu na ogrody zen pełne białych kamyków. Jadaliśmy w regionalnych restauracjach w Tokio, Kioto i Osace, do których wchodziło się po wąskich schodkach – w małych

salkach przypominających sypialnie, ukrytych za niebieskimi zasłonami, gdzie podawano na delikatnej jak skorupka jajka porcelanie. Złote pawilony pośrodku sadzawek pełnych karpi, zapach i kolor kamelii oraz begonii w soczystozielonych ogrodach, powaga szoguńskich twierdz – to wszystko pokazywało, jak harmonijnie można połączyć biznes z estetyką. Zrozumieliśmy, że relacje oparte na pieniądzu kryją w sobie wiele wymiarów komunikacyjnych; trzeba tylko trochę zwolnić, by móc je odkryć. Nie należy też lekceważyć znaczenia osobistych przysług i grzeczności, jakie niezależnie od wszystkiego powinny sobie wyświadczać obie strony. Nauczyliśmy się, że wzajemne zaufanie bardziej sprzyja współpracy handlowej. A John dostrzegł pokrewieństwo japońskiego stylu robienia interesów z aborygeńskim: w obu najważniejszy jest człowiek i czas, by bliżej poznać kontrahenta.

Japońskie podejście do designu wpłynęło na naszą twórczość. Spodobały nam się oszczędność estetyki, umiejętność destylowania każdej myśli, przywiązanie do dzieł ludzkiej ręki. Podziwialiśmy subtelność artystów w dobieraniu i cieniowaniu kolorów, sztukę operowania mocną, czystą barwą, zestawiania w przestrzeni publicznej naturalnych materiałów, takich jak drewno, kamień i bawełna, odzwierciedlania natury – eterycznego piękna kwiatów sakury uchwyconych tuż przed opadnięciem, wypielęgnowanych gałązek drzew bonsai, dymiących gorących źródeł, nazywanych tutaj *onsen*. Japońskie doświadczenie, przynajmniej na powierzchni, wydawało się przejrzystą, czystą formułą. Nie miałam wątpliwości, że pod powierzchnią sprawy nie wyglądają już tak prosto – w grę wchodziły zmieniające się gusty

młodszego pokolenia i napięcia, których każda kultura doświadcza w procesie modernizacji. A jednak tradycję tę wyróżnia ogromna siła przetrwania. Stoi też za nią jedność japońskiego społeczeństwa, uznającego jej wielkość, włączającego ją do codziennego życia.

Pan Shibuya i jego przyjaciel, Tadashi Yamamoto, odwiedzili nas w Australii. John pokazał im Uluru – i widok Świętej Skały był dla nich doznaniem niemalże mistycznym. Tymczasem w Australii nadal mieliśmy pod górkę. Tutejszy rynek akceptował tandetne błyskotki dla turystów, ale nie widział miejsca dla autentycznej sztuki Aborygenów w naszej rzeczywistości. Angielskie kwiaty ogrodowe, zgrabny skandynawski minimalizm, a pomiędzy nimi zalew innych zagranicznych rzeczy – oto, co z marnym skutkiem określało „australijskość".

Widzieliśmy, jak bardzo rodzina Johna pragnie podzielić się swoją kulturą z białymi. Zważywszy na krzywdy, jakie im wyrządzono, ta gotowość była czymś niezwykłym. Stwierdzenie Annie, że Australia jest krajem dla każdego, to wyraz szczególnej wspaniałomyślności ludu Yanyuwa. Annie często mawiała nam prostodusznie, że nie wie, kiedy właściwie nastąpił upadek. Nie rozumiała, dlaczego ludzie osiedlali się w Borrolooli, zamiast zostać na wyspach lub nad rzeką, gdzie żyło się dużo lepiej. Pamiętała jednak, że miało to jakiś związek z opieką społeczną i „białasami, którzy tylko nachodzili ludzi".

Ja też zawsze się zastanawiałam, czemu sprawy przybrały tak zły obrót. Oczywiście znałam fakty – zamiana buszu na miasto zniszczyła tradycyjną duchowość i styl życia. Podróżując po wielu regionach Australii, mogłam się przyjrzeć społecznym

następstwom tego zjawiska. Na tym polegała moja praca dla Departamentu do spraw Aborygenów. Nie rozumiałam jednak, dlaczego w Borrolooli z roku na rok pogłębia się ubóstwo. Zaniedbane miasteczko dosłownie tonęło w nędzy i brudzie. Coś, co miało działać, najwyraźniej nie działało. Naturalnie wszystko zaczęło się od białych osadników, którzy zagarnęli ziemię Aborygenów, i od urzędników, którzy posłali dzieci do szkół dla białych. A jednak nigdy nie zaganiano ludzi przemocą do miast. To zbyt uproszczony obraz tego, co się wydarzyło. Trafniej te zmiany opisała Annie, mówiąc, że najzwyczajniej „naszły" one ludzi, podpełzły zdradziecko pod ich drzwi.

Wspomniane zjawiska dokumentowali pierwsi przybyli na te tereny wysłannicy władz, nauczyciele, mieszkańcy Borrolooli, a także badacze – wybitni antropolodzy, lingwiści, historycy i geografowie. Historia ludu Yanyuwa została ocalona dzięki książkom, pracom naukowym, filmom, notatkom z badań terenowych i wywiadom nagranym na taśmach magnetofonowych. Najstarsze raporty rządowe są naturalnie dość jednostronne – usprawiedliwiają wywłaszczanie i towarzyszące im akty przemocy.

Kiedy w latach sześćdziesiątych uczeni zaczęli wnikliwiej przyglądać się Borrolooli, oddali głos samym Yanyuwa, którzy mogli teraz wypowiedzieć się w swojej sprawie, przedstawić własną wersję wydarzeń. Dla antropologów i historyków, którzy chcieli się dowiedzieć, jak aborygeńska ludność postrzega przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Australii, była to fascynująca wyprawa na nieznane dotąd terytoria. Wielu bezstronnych badaczy włożyło w tę pracę całe serce – na przykład

lingwista i antropolog John Bradley, nieżyjący już językoznawca Jean F. Kirton, antropolog John Avery, geograf Richard Baker oraz zmarła niedawno Alice Moyle, etnomuzykolożka.

Pierwsze wzmianki na temat wspólnot Yanyuwa pochodzą od podróżnika Matthew Flindersa, który w latach 1802–1803 żeglował wzdłuż północnych wybrzeży Australii. To on nazwał ich ojczyste wyspy imieniem sir Edwarda Pellewa, oficera brytyjskiej marynarki. Ludzie z jego załogi opowiadali o „Indianach" podróżujących w czółnach z kory eukaliptusa, o palonych przez nich ogniskach, na których piekło się mięso żółwi. Yanyuwa zresztą też zauważyli Flindersa.

Annie wspomina to, co przekazali jej najstarsi krewni.

> Ten Matthew Plinders – tak się chyba nazywał – przypłynął pierwszy. Tam, gdzie przedtem byli już Makasarczycy. Wiem to, bo słyszałam, wszyscy nasi ludzie mówili. Matthew Plinders tamtędy przepływał. I zobaczył ludzi tylko w szmatkach na przyrodzeniu. Cha, cha. Bez ubrań. Tak.

Kopiec z kamieni na wyspie Observation upamiętnia wizytę Flindersa napisem: „Wzniesiono ku pamięci kapitana Matthew Flindersa. Marynarka Królewska, HMS Investigator, grudzień 1802 roku". Dopłynąwszy do południowo-wschodniego krańca wyspy, której dał nazwę Centre Island, Flinders zacumował przy skale, nieświadom faktu, że wszedł na świętą ziemię Yanyuwa. (Dwóch chłopców z jednego ze Snów próbowało tam upiec pod kamieniami schwytane nietoperze. Ale nietoperze były

przyjaciółmi Tęczowego Węża i za każdym razem, gdy chłopcy podnosili kamień, zwierzęta odlatywały).

W 1845 roku niemiecki podróżnik Ludwig Leichhardt przemierzył pieszo tereny nad McArthur, niedaleko miejsca, w którym wiele lat później powstała Borroloola. Krewni Mussa powiedzieli mu, że Leichhardt przybył z zachodu, z Queenslandu, podążając na północny wschód, w kierunku Ziemi Arnhema. Wywąchali go, zanim jeszcze zobaczyli. Z notatek Leichhardta dowiadujemy się, że podążał on szlakami Aborygenów, które pozwoliły mu przeprawić się przez rzekę w bezpiecznej odległości od ujścia rojącego się od krokodyli i od głębokich przełomów górnego biegu. Leichhardt i jego towarzysze zaginęli w trakcie drugiej wyprawy, w 1848 roku, i nigdy już ich nie odnaleziono. Pogłoski, że pewien mówiący po niemiecku mężczyzna, mieszkający z „czarnymi znad rzeki McArthur, był szwagrem Leichhardta nazwiskiem Classen, nie znalazły na razie potwierdzenia. Mężczyzna ten zginął od kuli w czasie karnej ekspedycji. A droga, którą przed laty podążał Leichhardt, jest dzisiaj trasą samochodową dla turystów.

W pierwszych latach XX wieku rodziny Yanyuwa nadal wędrowały swobodnie między wyspami a kontynentem, podczas gdy na południu plemiona zmagały się z kolonizatorami. Z dzieciństwa w buszu Annie zachowała wspomnienie życia zgodnego z Prawem.

> Dorastałam na wyspach, żadnych białych. Urodziłam się na Vanderlin – my nazywaliśmy ją Wardi. Jestem *jungkayi* dla tej wyspy – strażniczką ziemi i ceremonii od strony matki – bo to miejsce mojego wuja, mojego dziadka i mojej matki. Kiedy byłam

całkiem mała, biegałam po plaży na Centre Island, ale nie tylko, wszędzie, na południowym zachodzie też, w Warnarrwarnarr, bo mój ojciec pochodził z południowego zachodu i jego ojciec też. Jestem *ngimarringki* dla tego miejsca – strażniczką ceremonii od strony ojca. A moja matka jest z Centre Island i North Island. Nazywamy to miejsce Barranyi. Wszystko to nasz kraj. Kraj mojej matki. Kraj mojego dziadka. I pradziadka. Moja dusza wraca na moją ziemię, bo to wszystko kraj naszego dziadka. Mojego *mimi,* ojca mojej matki.

Moja babka wyszła za mężczyznę z ludu z Garrawa. Była kobietą z Garrawa i wszystkie jej dzieci były z Centre Island, z North Island.

Byłam małą dziewczynką, wiesz. Chodziliśmy z miejsca na miejsce. Tak. Wracaliśmy tu po tytoń. Mój ojciec i matka wracali po tytoń. Do Borrolooli. A potem znów na wyspę, tam spaliśmy, czasem też w Manangoorze. Podróżowaliśmy czółnem. Wokół South West Island, Centre Island. Nasz ojciec polował, bo przymieraliśmy głodem. Nie było co jeść. Przedtem mieliśmy jedzenie białych, ale się skończyło. Żywiliśmy się żółwiami. Rybami. Płaszczką. Leśnym miodem. I diugoniem też. Ale wyżerka. Tak się jadało, kiedy byliśmy mali.

Ludzie odprawiali ceremonie. Śpiewali o A-kuridi. Zbijali trumny z pni drzewa. Śpiewali pieśń o A-kuridi, gdy zbijali trumny dla ludzi, co pomarli. Kiedy ktoś umiera, dusza wraca do miejsca przodków razem z trumną, a ślad duszy zostaje w skale. Malowidło na skale. To jest dusza. A-kuridi, ryba Wielkie Usta, sprowadza tam ludzi z Czasu Snu. Wszyscy *jungkayi* i *ngimarringki* tego kraju muszą opiekować się malowidłami.

Splatają linę z drzewa akacji. Zdzierają korę, żeby zrobić linę. Skręcają ją. Środkowa część dobra do zrobienia liny. Ten, kto posadził drzewo na liny – temu poświęcony jest Sen. Rybie A-kuridi. Wszystkiemu, co zostawia. Wszystkiemu, co przyniosła na brzeg. Wielką skałę, nazwę miejsca, kraju, imiona wysp. Przywiązują linę do harpuna na diugonie.

Bielik białobrzuchy jest moją matką. Ma mocny Sen, mocną ceremonię. Kiedy moi ludzie umierają, przyfruwa i wydaje

skrzekliwy dźwięk, woła „ha, kwak!”, bez przerwy. Sen Ptaka i Kamienia. A-kuwaykuwayk – moc jego głosu spływa na cały kraj. Słyszysz go w środku nocy, ale nie widzisz. Ten ptak śpiewem podtrzymuje niebo. Żeby nie spadło. Bo takie jest Prawo ludu, przekazane przez dziadka i moich wujów. To opowieść, której nas uczyli.

Ludzie otrzymują swój znak, rysunek, na ceremonię, dostają je po matce, ojcu, dziadku. Czasem jest to ptak, bielik białobrzuchy – A-karnkarnka. Czasem myśliwy polujący na diugonia – Li-maramaranja.

Jungkayi nie mogą ot tak sobie przemierzać kraju. Muszą rozglądać się dokoła, widzieć wszystko. Od czasu do czasu zatrzymujemy się, łowimy ryby. Rozbijamy obóz.

Nie wolno przeklinać w miejscach, w których Tęczowy Wąż może wciągnąć cię na dno. Ani wymieniać jego imienia, kiedy podróżujesz morzem. Na świętych wyspach nie wolno zabić węża ani jaszczurki, niczego. Wtedy przychodzi wiatr, wiesz, cyklon i takie rzeczy.

Żadnego miodu dzikich pszczół tutaj, na Centre Island, niczego. To jest Prawo. A-Kuwaykuwayk zostawił je namalowane na wayku, czarodziejskich kamieniach, kamiennych jajach, które składał – to on przyniósł Prawo i od tamtej pory nie wolno przywozić miodu na tę wyspę. Nie możesz łamać Prawa. Mamy tylko Yiyan, nasz Sen. Ale pszczoły przylatują – przyfruwają na wyspę i zabierają wszystkie kwiaty, żeby robić miód na South West Island.

Zrywamy liście drzewa *mijirr*. Gotujemy. Pijemy ten napar, kiedy ktoś jest chory, kiedy boli głowa albo oczy.

Zbieraliśmy różne rzeczy w buszu, liście na wino. Tak, zrywaliśmy je. Liście *mararangai*.

Dziadek znajdował pnącza, *ma-murnda*, tak to się nazywało. Jedliśmy korzonki. Czasem trafiał się diugoń. Spaliśmy na posłaniu z liści, piekliśmy wszystko w piecu – a nasz piec to był dół wykopany w ziemi. Korzonki z ogniska dobre, jak ziemniaki, podobne w smaku. Wiem, bo moja babka zbierała.

Ma-mundarrarra, takie ziarna, w smaku jak fasola. Gotowaliśmy je i zjadaliśmy.

Nigdy wtedy nie widzieliśmy pieniędzy, wiesz, dopiero dużo później. Nie było mąki, cukru ani herbaty, niczego. Jedliśmy miód z buszu. Wysysaliśmy plastry. Piliśmy tylko wodę. Miód z gorącą wodą. Nie mieliśmy cukru ani mleka. Wstawaliśmy z rana. Obchodziliśmy okolicę, polowaliśmy, szukaliśmy miodu. Czasem łowiliśmy ryby i kraby. Z kraba najbardziej lubię szczypce.

Możesz zobaczyć je wszystkie, te wyspy, w naszych pieśniach. W pieśni Yanyuwa. Wszystkie są o kraju. Ja jestem pieśniarką, jestem tancerką. Nie wiem, dlaczego młodzi nie potrafią śpiewać. Uczymy ich. Stare kobiety już nie żyją, te, co nam pokazywały, jak wyśpiewać nasze wyspy i wszystkie morskie zwierzęta.

Słowa Annie opłakują przemijanie pieśni jej ziemi: śmierć pokolenia, które te pieśni śpiewało, los młodych ludzi, którzy nie umieją już ich śpiewać. Ale Sen pozostał nienaruszony. Jego moc trwa.

---

[30] Ostatecznie igrzyska odbyły się w 2000 roku w Sydney.

[31] Tradycyjne kimona dawniej noszone przez Japończyków jako niezobowiązujący strój domowy, dzisiaj również podczas wielu świąt i uroczystości.

6
WSPÓŁODCZUWANIE

ngarramilmila
Czuję ciepło w sercu, kiedy współodczuwam.

Kiedy współodczuwam z tobą, moje serce się cieszy.
Kiedy pokazuję ci, co czuję, wiem, co to jest odwaga.

Dzień szósty, środa, 31 maja, 2006 roku

Annie jest zmęczona. Jedna z kobiet woła do niej:

– Dzień dobry, *kukurdi*!

Wiem, że urodziła się w 1930 roku. Ma więc siedemdziesiąt sześć lat. To długa, wyczerpująca podróż dla kogoś w jej wieku. Obowiązki, które tutaj wypełnia, są zapewne wielkim emocjonalnym ciężarem. Kiedy niebo trochę się rozjaśnia, Annie opiera łokieć na posłaniu. Wieczorna Gwiazda nadal wisi na niebie, ale już przyćmiona. Droga Mleczna znika.

– Mamy w sercach smutek, tak, wielki smutek. – Wzdycha. – Dzień dobry, *yuwani* – mówi do mnie, widząc, że poruszyłam się w śpiworze obok niej. – Dobrze spałaś, moja droga?

Siedzimy wokół ogniska, przy śniadaniu. Nastrój oczekiwania narasta. Dzisiaj jest dzień tańca. Kobiety powtarzają jeszcze

pieśni i figury. Przymierzamy opaski na głowy. To ostatnia chwila, żeby wszyć gumkę w spódniczki, w których będziemy tańczyć. Śpiewające ćwiczą z pałeczkami. Ostrożnie wyjmujemy z toreb ozdoby z piór. Niektóre z kobiet skracają sobie czas grą w karty. W spokojniejszych momentach na tej lub innej twarzy znowu pojawia się łza żalu.

Ale śmiech słychać częściej niż płacz w tej wspólnocie – siostrzanej, ale dość odległej od tego, co nazywa się dziś feminizmem. Yanyuwa nie znają nierówności płci, tylko potwierdzony Prawem szacunek dla drugiej istoty we wspólnym świecie. Mężczyźni domyślają się wielu kobiecych sekretów i odwrotnie, ale nie naruszają cudzego Snu swoją dociekliwością.

Annie ma cięty język i cierpkie poczucie humoru. Jej wnuczka z miasta nosi na palcu pierścionek z wielkim oczkiem.

– Znalazłaś męża? – pyta ją *yuwani*.

– Gdzie tam – odpowiada Samantha. – Uciekają przede mną jak przed zarazą. To oczko z bursztynu, nie to, co myślisz. Leżało w ziemi z milion lat.

– To jesteś teraz milionerką? – kpi Annie.

Kobiety zaczynają się przebierać. Pokrywają skórę białą ochrą i olejem. Ogólna bieganina. Pośpiech. Jedna z moich bratanic, *kathakatha* Isa McDinny, mówi mi, że będę tańczyć.

– Nie – wchodzi jej w słowo *baba* Thelma. – To jutro. Dziś wieczorem poćwiczymy.

Zaganiają mnie do malowania uczestniczek ceremonii białą ochrą, która ma zmiękczyć szorstką, rozgrzaną przedpołudniowym słońcem skórę. To święte wzory Snu. Kopiuję rysunki z ciał już pomalowanych kobiet. Thelma prosi mnie,

żebym wzięła z ogniska trochę węgla drzewnego i poprawiła wzory.

– Tylko ich nie poparz! – mówi ze śmiechem.

Razem z Annie zajmuję miejsce na placu ceremonii. Uderzając dłonią o ziemię, *yuwani* pokazuje mi, gdzie usiąść. Patrzymy. Kobiety z innych plemion już tańczą.

– Mocny Sen – szepcze do mnie Annie.

W końcu przychodzi czas kobiet z Borrolooli. Tańczą. Ich gesty są niewymuszone i prawdziwe. Dumne. Mnie też rozpiera duma, czuję smak przynależności, na którą jeszcze nie zapracowałam. Znają swoją kulturę, każdy obrzęd. Silne mocą tajemnic, o których nie opowiadają. Tajemnic, które – jakie to smutne – umrą razem z nimi.

Potem tancerki podchodzą do nas. Wymiana zdań pomiędzy kobietami ma w sobie coś mistycznego. Czuję łzy napływające do oczu, nie umiem ich powstrzymać. Annie wskazuje na mnie, mówiąc:

– Przywitajcie się z moją synową, to jest moja synowa.

Zastanawiam się, co by było, gdyby sytuacja się odwróciła i jakaś kobieta z buszu znalazła się nagle na uroczystości białych – na przykład na koronacji króla Anglii – bez odpowiedniego stroju i bez znajomości kodu kulturowego. Czy okazano by jej pobłażliwość, jakiej ja w tym tygodniu doświadczyłam, zwłaszcza od Annie, królowej buszu, której powierzono czterdzieści tysięcy lat tradycji?

Tutaj, na pustyni, ceremonia jest najważniejsza. Ale znajduje się też czas na karty, odpoczynek na śpiworach, śmiech, rozmowy i wspominanie starych dziejów. Te znużone kobiety czują się

dobrze, gdy są razem, z radością dają i przyjmują, dzielą się wszystkim, co dobre. Jak każe Prawo.

O zmierzchu uczą mnie tańczyć. *Kathakatha* Isa, tancerka, jakich mało, poleca mi zdjąć buty.

– To nie jest żaden nakaz – zapewnia mnie. – Po prostu mogłabyś zwichnąć kostkę.

Pokazuje mi, gdzie stawiać stopy, jak rytmicznie poruszać kolanami, w tym samym czasie wykonując rękoma i ramionami ruch w przeciwnym kierunku. Nic prostszego – pod warunkiem że nie trzeba tego powtórzyć. Kobiety klaszczą, zachęcając mnie do wysiłku. Idzie mi średnio. Kiedy wreszcie wykonuję niezdarnie kilka figur, moja nauczycielka, *kathakatha*, przytula się do mnie policzkiem.

– Mistrzyni tańca Borrolooli! – Wybucha serdecznym śmiechem.

Zachodzące słońce znów jest biszkoptowym przekładańcem. Błękitnym na horyzoncie, z polewą różu.

– Zimna noc – słyszę wokół.

Starzy Aborygeni zwykli mawiać: „Takie chmury, właź do dziury".

Na placu ceremonii wciąż trwają tańce. Siedzimy kołem wokół ognisk, próbując się ogrzać. Jest bardzo zimno.

Moja *yuwani* budzi się często w nocy. Jej ciałem wstrząsa suchy kaszel. Odnajduję w rogu śpiwora latarkę, widzę bowiem, jak przerzuca torebkę w poszukiwaniu maści rozgrzewającej na pierś. Ma zawsze przy sobie pudełko z proszkami, pigułkami na ciśnienie krwi, kroplami do oczu i syropem na kaszel. Jest chora. Pokazuje mi guz, który znów pojawił się na jej nodze. Ilekroć pytam, czy się dobrze czuje, zawsze odpowiada: „Jasne, wszystko

gra”. Wczoraj do obozu przyjechały pielęgniarki. Aborygenki często mają problemy z ciśnieniem. A stąd już tylko krok do zawału, chorób serca i niewydolności nerek.

Leżę na plecach w swoim śpiworze, chłonąc ciszę nocnego nieba, słysząc, jak Annie znów układa się do snu. Jutro będę tańczyć na placu ceremonii. Już przedtem na samą myśl dostawałam gęsiej skórki. A teraz wręcz paraliżuje mnie strach. W tańcu kobiet z Borrolooli jest coś poetyckiego, coś, co odróżnia go od innych. Pieśni są melodyjne, pozostawiają w słuchaczu trwały ślad. Techniczna biegłość pozwala tancerkom nadawać kształt choreografii, która na pierwszy rzut oka wydaje się spontaniczna. W rzeczywistości nie jest dowolna ani przypadkowa. Wszystko zostało starannie obmyślone: ekspresja tułowia, ramion i dłoni. Obecność białej uczennicy z pewnością będzie pewnym zgrzytem, zakłóci czystość obrzędu. Wiem już jednak, że kobietom z mojej rodziny bardziej zależy na bliskości niż doskonałości. Czuję przynależność. *Kina palirra.* Dziękujemy, że jesteś.

Często myślę o tym, że środowiska, z których ja i John się wywodzimy, to dwa zupełnie odrębne światy, choć są częścią jednego kraju. Moi przodkowie, którzy przypłynęli do Australii na statkach skazańców, modlili się w kościołach metodystów, zajmowali się wyszynkiem, zakładali rodziny, wychowywali ładnie ubrane dzieci, kupowali domy i ziemię, robili dobre interesy,

znajdowali pracę w sklepach i fabrykach. Byli kowalami własnego losu. A tymczasem przodków Johna grzebano żywcem, wypędzano z ich ziem, ścigano, zabijano z broni palnej, zmuszano do niewolniczej pracy i poniżano. Ci ludzie nie mogli być kowalami własnego losu, bo im go zwyczajnie ukradziono. Czy dwie tak różne opowieści mogą współtworzyć historię Australii?

W Borrolooli widzieliśmy wciąż to samo: niesprawiedliwość. Historię można czasem zapomnieć i przebaczyć – nie można jednak ignorować jej następstw, zwłaszcza w kraju tak ogromnych możliwości. Bezczynność, brak rozwiązań i opieszałość władz doprowadzały mnie do białej gorączki. Fakt, że rodzina Johna przyjmowała wszystko ze stoicyzmem, był zasmucający. Ale to, że nie pozwoliła się zniszczyć, dawało nadzieję.

Ludzie próbowali odrodzić ducha wspólnoty, gdy spostrzegli, jakie zmiany „naszły" ich rodziny. W 1910 roku policjanci, którzy przybyli do Borrolooli z powodu białych przestępców, zaczęli wydawać żywność starszym i zniedołężniałym Aborygenom. Wielu Yanyuwa przychodziło z buszu po mąkę, cukier, tytoń i herbatę i przyswajało sobie w pomysłowy sposób zdobycze Europejczyków. Ludzie mieszali mąkę z wodą, a potem używali jej do malowania ciał, zamiast wyprawiać się do odległych kamieniołomów, z których czerpali biały pigment.

Obóz Malandarri, na drugim brzegu McArthur, dawał schronienie Aborygenom żyjącym między miastem a buszem. Yanyuwa zawsze uważali Malandarri za miejsce tymczasowego pobytu, za jedno z wielu obozowisk. Ludzie nadal wypuszczali się na swoje rodzinne ziemie, żeby polować, odprawiać ceremonie i spotykać się w rodzinnym gronie, a wracali w dniu wydawania

racji żywnościowych. Dzieci przychodziły na świat w buszu, na brzegu rzeki. *Baba* Thelma wspomina magiczne pieśni uśmierzające ból porodu.

> Stare kobiety, wiesz, miały zawsze jakąś pieśń. Kiedy dziewczyna nie mogła szybko urodzić, zawsze miały pod ręką pieśń. Śpiewały i rozcierały rozgrzanym kamieniem jej plecy. I wtedy od razu wychodziło dziecko. Nic a nic nie bolało.

Dinah zachowała podobne wspomnienia.

> Rodziłam wszystkie dzieci w buszu. Koło Malandarri. Moja matka była położną. Przedtem, kiedy rodziłam syna, kawał chłopa, mój mąż odbierał poród. Naprawdę. Nie bujam. Rodziłam je wszystkie w buszu. Raz, dwa i po krzyku.

Malandarri, gdzie ludzie wznosili prowizoryczne chaty z kory drzew papierowych, zgniecionych puszek po nafcie i drewnianych pali, zajmowało ważne miejsce w życiu kobiet z pokolenia Annie, trochę starszych i trochę młodszych. Wszystkich, które dorastały na ziemiach między wyspami, warzelnią soli w Manangoorze nad Wearyan oraz obozem. W latach osiemdziesiątych, kiedy zaczęliśmy przyjeżdżać w te strony, nie było już samego Malandarri, ale wspomnienie o nim wciąż trwało.

Ojciec *yuwani* Dinah był przywódcą społeczności i nosił przydomek „Władza”. Na pół miejskie życie, nad którym sprawował rządy, nie zniszczyło od razu tradycji; klanowa hierarchia i wpajanie młodym plemiennego obyczaju odgrywały

nadal znaczącą rolę pomimo bliskiego sąsiedztwa europejskich osadników.

Dinah pamięta czasy, gdy jako dziecko chodziła z Malandarri nad rzekę.

> Biegałam nad rzekę. Pływać. Mama krzyczała do mnie, żebym uważała. Nie pływaj tu, nie pływaj tam, bo w wodzie pełno krokodyli. Ale co tam, nie słuchałam. Musiałam pływać. Lubię rzekę.
>
> Chodziłam na polowania. Z mamą. Pokazywała mi w rzece ryby, w buszu warany, „niebieskie języki", takie jaszczurki[32]. Uczyła zbierać miód. A ja płakałam i się darłam.
>
> „Mama, chcę miodu".
>
> „Nie, zostawimy go na później".
>
> „Nie, chcę teraz, jestem głodna".
>
> Musiałam urodzić się gdzieś na wyspie. Nie pamiętam.

(Od innych się dowiedziałam, że przyszła na świat w czółnie, w drodze pomiędzy którąś z wysp a kontynentem. Podobno Yanyuwa nawet w łódce rozpalali ogień, żeby coś ugotować).

> Uczyłyśmy się w buszu do ceremonii. Kobiety pokazywały mi, jak tańczyć. Moja mama dużo tańczyła. Na ceremonii. Mówiła, co i jak, bo ceremonia wielka rzecz. Dobrze mnie uczyła, moja mama. Do ceremonii i *corroboree*. Tańczyć. Tak, to ona mi to wszystko pokazała.
>
> Musisz tańczyć, musisz się uczyć, musisz wiedzieć, co robić w czasie ceremonii, jak tańczyć przed kobietami. Chcę zobaczyć, jak tańczysz, zanim umrę.
>
> Malowałyśmy je. Mamę i resztę kobiet.
>
> Chodziłyśmy z Manangoory aż do Borrolooli. Długa droga. Po drodze dwa noclegi. Dźwigałyśmy koce. Ja też nosiłam, kiedy byłam

mała.

Jemima Miller Wuwarlu przeniosła się do Malandarri, żeby zamieszkać z ciotką i babką. Wspomina:

> Przeprowadziłam się z Manangoory do Borrolooli. Starsi ludzie dostawali tam żywność, gdy przyjeżdżali ci z opieki. Ale ja wolałam życie w buszu. Było mi tam lepiej. Polowało się na warany, żółwie albo scynki. Był miód. Jedliśmy nasiona lilii wodnych. Byliśmy szczęśliwi. Rodzice od maleńkości wszystkiego nas uczyli.
>
> Ale mój wuj nie miał dzieci. Ciotka i dziadek, *mimi*, i babka, bardzo stara, byli zupełnie sami. Często do nich zaglądałam i w końcu się przeniosłam. Mama mieszkała w Manangoorze. Ale ja zostałam z ciocią i wujkiem, na drugim brzegu, w Malandarri.

Tymczasem w buszu nadal odprawiano ceremonie. A-Marndiwa, odprawiany do dzisiaj rytuał inicjacyjny chłopców, należał do najważniejszych i był ściśle związany z utrzymaniem rodzinnej ziemi.

Tak mówi o nim Thelma:

> Surowy zakaz. Nie wolno o tym mówić z mężczyznami. Jest kobieca Sprawa i jest męska Sprawa. My ich nie pytamy. Wiemy, dokąd chodzą. A oni też nas nie pytają i też wiedzą, dokąd chodzimy.
>
> Podczas obrzędu wychodzimy na plac ceremonii. Jest dobrze. My śpiewamy, inne tańczą. Tylko kobiety. Nie widzimy mężczyzn, którzy też tańczą niedaleko, za wzgórzem. Kiedy oni kończą tam, my kończymy tutaj. Ale mężczyźni nie oglądają naszych ceremonii. Tańczymy całą noc. Potem wracamy do obozu i rodzice gotują dla nas. Mężczyźni tańczą całą noc, a potem, nad ranem, gdy jest jeszcze

ciemno, chłopcy przestają być chłopcami. Tylko babcia może ich odwiedzać, nigdy siostra. Bo może być jeszcze krew. To bardzo ważne, to męska rzecz. Jeśli któraś z kobiet zrobi coś zabronionego, umiera. Tańczymy całą noc dla młodych mężczyzn.

Istniały także rytuały przejścia dla kobiet. Annie wspomina swój własny, wyrażając żal, że młode dziewczyny zupełnie z niego zrezygnowały.

Myślę, że chcą, aby uważano je za Europejki. To przykre dla nas wszystkich.

Kiedy stałam się kobietą, mój ojciec zabił dla mnie diugonia, tylko dla mnie. Żeby ludzie wiedzieli, że nie jestem już dziewczynką, wszyscy nasi ludzie. Zaczęłam krwawić, to teraz byłam już kobietą. Koniec małej dziewczynki. I trzeba było przestać się włóczyć. Trzeba było zostać na dłużej w jednym miejscu. Nie mogłam jeść mięsa. Więc starsi ludzie je zjadali. Ojciec zabijał diugonia albo żółwia dla starszych, żeby zjadali je za tę młodą dziewczynę, która pierwszy raz krwawiła. Urządzali święte miejsce i jedli. Nazywamy takie miejsce *marnda marnda*. Kiedy zaczynasz krwawić, całą malują cię na biało, mówiąc, że jesteś już kobietą, że małej dziewczynki już nie ma.

Nie możesz wtedy stawać twarzą w twarz ze swoim bratem. Gdy twój brat nabierze wody, nie możesz jej pić. Sama musisz zejść nad rzekę i sobie nabrać. Wtedy tak. Ale twojej wody brat też nie może pić. Nie. To wielkie Prawo, tak trzeba. Święte Prawo. Ale już nie dzisiaj.

Ceremoniał, który zachował się w sercach i umysłach kobiet takich jak Annie, Thelma albo Dinah, sięga początków życia na kontynencie. Duchowości i fizyczności nie da się od siebie oddzielić – obie te sfery określa święta moc Prawa.

W cywilizacjach europejskich nie ma czegoś podobnego. Prawo zostało ustanowione w Czasie Snu przez totemicznych przodków, którzy przemierzali Australię, wymawiając imiona wzgórz, dolin, drzew, rzek, zwierząt. Przenosili Prawo z miejsca na miejsce, przekazując je starym ludziom.

W Snach pojawiają się węże, strusie emu, słodkowodne krokodyle, barramundi, wszystkie zwierzęta. Rośliny, wiatr, a także gwiazdy. Starsi ludzie wyśpiewują pieśni związane ze ścieżkami ich kraju. To oni są odpowiedzialni za ceremonie. *Nganiyanji barra yarrambawaja jiwini awarala ki Yijandu kujika jilu-manhanji kurdandu narnu-yuwa nyalunga li-rdiyangu li-ngularkaringiu*, czyli opiekują się Prawem, żeby przetrwało dla tych, którzy przyjdą po nich. Taka jest święta zasada życia – wypełniać Prawo i przekazywać je następnemu pokoleniu, tak aby nie zaniedbać dziedzictwa Snu, aby pory roku następowały po sobie w nieodmiennym rytmie, a ludzie żyli w harmonii z samymi sobą, ze zwierzętami i z kosmosem. Podtrzymywanie Prawa przez dziesiątki tysięcy lat dawało aborygeńskim społecznościom poczucie bezpieczeństwa i przewidywalności przyszłości.

Wypełnianie bądź łamanie Prawa ma swoje następstwa. Jeśli podczas przebijania włócznią ryby jej dusza nie zostanie właściwie wyśpiewana, rzeki mogą wyschnąć. Jeśli zabije się harpunem diugonia poza obszarem przeznaczonym dla klanu lub gdy mięsa zwierzęcia nie podzieli się zgodnie z rytuałem, należy oczekiwać surowej kary morza – nieszczęśliwego wypadku łodzi lub sztormu. Jeśli wypalaniem traw zajmują się niepowołani do tego ludzie, może nadejść czas nieurodzaju. Jeśli podczas ceremonii ktoś nosi

na skórze niewłaściwy znak, duch tego miejsca obumrze i ziemia przestanie rodzić.

Ludzie, zwierzęta i przyroda żyją w sieci wzajemnych zależności. Dobre i złe siły wpływają na nasz świat. Dbałość o miejsca Snu, w których przebywają duchy, jest podstawą zachowania fizycznego zdrowia, duchowej równowagi i uczuciowej stabilności. Tożsamość każdej osoby ściśle się wiąże z jej totemicznymi przodkami, z porami roku, z umiejętnością czytania kraju i znajdowania pożywienia, z troską o otoczenie z myślą o następnym roku, następnym pokoleniu, następnym tysiącleciu.

Nie można niczego zmienić w Prawie Snu. Musso powtarzał, że Prawo jest niezmienne, ponieważ to nie ludzie je stworzyli, lecz przodkowie. Ich pieśni wytyczyły mapę kraju, którą Aborygeni zawsze mają przed oczyma, podążając ścieżkami Australii. Choć niektórzy z nas podróżują poza ciałem. Tak przynajmniej twierdził Musso. Przemierzył cały kraj, aby odnaleźć swoje ciało. Czasami wyśpiewanie jednej pieśni wymaga wielu dni i nocy. Symbole Snu, które podczas tych ceremonii wymalowuje się na ciałach, zachowują przy życiu ziemię i sam Sen. Plemiona muszą utrzymywać Prawo w ciągłym działaniu. Wówczas ceremoniał się dopełnia i ziemia staje się mocna. Kraj, ceremonia i życie stanowią nierozerwalną całość. Kiedy człowiek umiera, zabierany jest w podróż powrotną na ziemie swojego Snu.

Ludzie na wiele sposobów przywołują swój Sen. Malowanie magicznych znaków na skale, w piasku lub na skórze wypełnia opowieść nową treścią. Sen także ukazuje się ludzkim oczom – na przykład na Limiyimyili (wyspie Black Craggy) można zobaczyć skałę w kształcie czółna. Należało ono do myśliwych polujących na

diugonia, którzy spadli w przepaść. Jeden z nich próbował wyciągnąć towarzysza przy pomocy liny skręconej z korzeni drzewa *banyan*, ale sam też zniknął w czeluści. W tym miejscu widnieje namalowany czerwoną ochrą znak.

Na wybrzeżu przy West Island żółwie próbowały wydostać się na ląd, żeby złożyć jaja, ale nie był to ich kraj. Rybołów, *jujuju*, który miał w tym miejscu swój Sen – zaatakował je i zabił. Ich skorupy przybrały postać skał uczepionych wysokiego zbocza. *Jujuju* rozrzucił wnętrzności, dając początek kolejnej skalnej formacji. Kamienie na piaszczystej linii brzegu to jaja, które żółwie zaczynały składać, kiedy napaść zmusiła je do ucieczki na morze. Moc przodków jest największa tam, gdzie zachowały się ślady ich obecności. A Sen to jedyny sposób, by zrozumieć historię Aborygenów. Tysiące takich opowieści oplatają kontynent pajęczyną ścieżek stworzenia, siecią ukrytych sił i znaczeń.

Dzięki opowieściom ludzie wiedzą, gdzie szukać pożywienia, jak gotować, do jakich pieśni tańczyć. *Baba* Thelma ze wzruszeniem wspomina prawdy, które przekazali jej dziadkowie i rodzice – jak choćby nakaz dzielenia się z innymi.

> Po śniadaniu chodziliśmy polować z rodzicami. Pokazywali nam, gdzie znaleźć warany, gdzie mieszkają scynki. Znajdowaliśmy je na ziemi, u brzegów rzek. Potem szukaliśmy miodu. Dzikie pszczoły nadlatywały i odfruwały, więc od razu było jasne, gdzie jest gniazdo. Starsi nacinali drzewo i wykrawali plastry. Tak uczyliśmy się od nich. Nasi ludzie nigdy nie brali niczego od białych. Poznawaliśmy tylko własną mowę.
>
> Rozpalaliśmy wielki ogień, gotowaliśmy w popiele. Na górę kładliśmy gałęzie. Przesypywaliśmy węgle, obracaliśmy warana, żeby się upiekł, podsycaliśmy ogień, żeby cały czas się tlił. Tak to

robiliśmy. Potem jedliśmy. Nogę, ogon, łapy. Wyjmowaliśmy kiszki, ale tego nie jedliśmy. Można było za to jeść wątrobę. Dawało się każdemu po kawałku. Przecinało na pół i dzieliło. Jeśli byłaś z kimś, dzieliłaś się waranem. Myśliwi zawsze tak robią i to jest bardzo dobre, chociaż czasem znajdują coś sami i wtedy innym nie dają. Dzielimy się. To dobre dla nas, Aborygenów. Bo jak dajesz, ten drugi cię już nie zapomni. Następnym razem on coś da, jeśli znajdzie. Bo jak obiecane, to obiecane. I taka jest prawda. Nie można jeść, kiedy ktoś nie je i tylko patrzy. To nas zawstydza. Trzeba dawać tym, co niczego nie upolowali.

Nasiona lilii wodnych. Rozgniataliśmy je na miazgę. I orzechy sagowca. Rozbijaliśmy je kijami, otwieraliśmy i wyciągaliśmy środek, kroiliśmy w plasterki, suszyliśmy i kładliśmy do worków, wrzucaliśmy na kilka dni do wody. Żeby wyszła z orzechów trucizna, tak to się robiło. Piekliśmy je w korze drzewa herbacianego, żeby nie przeszły popiołami. I był chleb. Tak przyrządzaliśmy nasiona lilii wodnych i te orzechy sagowca też. Mniam, mniam.

Z kangurem to tak. Kopało się dół, *mungu*, tak to nazywamy. Do środka kładło się kamień, drzewo i kamień, a potem kangura. Potem się go obracało, cały czas obracało. Otwierało brzuch, wyjmowało kiszki i wkładało rozgrzany kamień do środka, wiesz, i to wszystko się piekło. Przykrywaliśmy dół gałęziami drzewa herbacianego, a na wierzch sypaliśmy piasek. Tak robili nasi ludzie.

Musisz iść za nauczycielem, po to są rodzice. Robisz wszystko jak oni, uczysz się, jak znajdować rzeczy, miód, warana. I scynki. A jak waran zagrzebał się w swojej norze i widzisz go na dole, obchodzisz norę, rozwalasz jamę, a potem wołasz: „A, tu jesteś!”. I chwytasz go za ogon i zabijasz. Tak.

Nasi ludzie wbijali nam do głowy wszystko o ceremoniach. Czasem rózgami. Uczyli nas tańczyć na publicznych placach.

„Tańcz. Maluj się. Nie jesteś dzieckiem białych” – powtarzali. Więc tak robiliśmy, bo wiesz, zawsze chcesz uczyć się od swoich. Potem nauczysz własne dzieci, pokażesz im, co i jak. A jak nie, to rózgi. Tak mówili. Szliśmy razem ze starszymi, malowaliśmy się. I tańczyliśmy.

> Młodzi mężczyźni mają też swój taniec. Inaczej klaszczą w dłonie. Kiedy kobieta tańczy na placu, może tylko przebierać nogami. Nie wolno przytupywać – to jest tylko dla młodych mężczyzn.

Ziemie Yanyuwa dostarczały pożywienia na cały rok i wielu leczniczych ziół. Trzeba było tylko wiedzieć, gdzie szukać. Europejczycy nie wiedzieli. Dla nich był to bezlitosny ugór: żar i pył w porze suchej, powódź w porze deszczowej. W przeciwieństwie do nich Aborygeni radzili sobie doskonale, wiedzieli, jak uprawiać ogród natury. Znali wszystkie odmiany roślin. *A-warrangurli* – winorośl rodzącą fioletowe owoce przypominające kształtem winogrona. Owoce pestkowe *ma-wnjurrwnjurr*, które można było jeść prosto z drzewa i które smakowały trochę jak jabłko, a wyglądały jak wysuszona śliwka. *Puyukabuyuka* i *a-kalwakalwa*, które rodziły białe jagody. Figi z drzewa *alawuma*, pełne drobnych ziarenek i kremu, przypominające w smaku ser brie. Miękkie czarne owoce *mayarranja*, lepkie i słodkie jak dżem truskawkowy. Zrywali i jedli *ma-ihaba*, pomarańcze smakujące bardziej jak mango. Owoce „czerwonych kapust", *mujibayi*, zrywali z drzewa niczym jabłka. Ignam (*a-wuyiku*), rosnącą w buszu rzepę (*wanjiya*), leśne pataty (*a-ngardakkur*) i orzechy pandanów (*ma-kurdidi*) obierali i piekli w dogasających ogniskach.

Ma-kurlulu to aborygeńska nazwa drzewa mydlanego. Jego wielkie, szerokie liście gotowano i rozpuszczano w wodzie. Potem służyły do mycia, łagodziły bóle głowy, leczyły owrzodzenia i wysypki. A podgrzana do wrzątku *ma-marla* była lekarstwem na dolegliwości skóry.

Ludzie nie chcieli wybierać pomiędzy życiem osiadłym w Malandarri a pożywieniem z buszu i wypełnioną obrzędami egzystencją, której żądało od nich Prawo. Na początku lat czterdziestych ta chwiejna równowaga załamała się pod wpływem trzech na pozór ze sobą niezwiązanych, w istocie jednak współdziałających przyczyn. Przemysł hodowlany, z jego strategią rozszerzania wpływów aż po daleką północ i zagarniania naturalnych terenów łowieckich Aborygenów, zmuszał ludzi do ucieczki z ich ziem. Dystrybucja żywności, istotna zwłaszcza dla starszych ludzi osiedlających się w Malandarri, uniemożliwiła przekazywanie przez nich nauk młodszym pokoleniom. Trzecim niekorzystnym zjawiskiem i poniekąd skutkiem dwóch pierwszych było przeniesienie obrzędów z buszu do „miasta". Te trzy procesy dały początek nieodwracalnym zmianom.

Europejczycy – policja, a później opieka społeczna – mieli swój interes w tym, by zachęcać ludzi do osiedlania się w Malandarri. Potrzebowali taniej siły roboczej do pomocy na farmach. Zależały od tego losy białej ekspansji na Top End – Górnym Krańcu. A praca dla młodych i strawa dla starych zrobiły swoje.

Dla Aborygenów najważniejsze jest miejsce poczęcia, następnie miejsce urodzenia, a dopiero potem miejsce ceremonii. Ludzie, których dzieci poczęły się i urodziły już w Malandarri lub na farmach, rzadziej zapuszczali się na ziemie Snu. Ceremonie powoli przemieszczały się razem z plemieniem – pod Malandarri.

Skutki nadmiernego zaufania do Europejczyków, które już wkrótce dały o sobie znać, nie były z początku takie oczywiste. Handel otwartych na zmiany Yanyuwa z Makasarczykami dowodził zdolności przejmowania nowych idei przez tych

pierwszych. Europejczycy jednak, w odróżnieniu od Makasarczyków, nie potraktowali Aborygenów jak partnerów. Ich nastawienie i uprzedzenia, wiara w kulturową, religijną i historyczną wyższość białej rasy zmieniły reguły gry.

Jednym z wyjątków był Roger Jose, podobno bratanek George'a Herberta Jose'a, żyjącego w XIX wieku dziekana anglikańskiego z Adelajdy. Roger przyjechał do Borrolooli na mule w 1916 roku, aby pracować przy naprawie dróg i na pobliskich farmach. W 1927 roku sprowadził z Darwin swoją aborygeńską żonę Maggie. Jego przewiązane paskiem długie tuniki i wielkie słomkowe kapelusze, plecione przez Maggie z suszonych liści pandanów, stały się wręcz legendarne. Mieszkał w odwróconym, porośniętym winoroślą kolektorze wody deszczowej i był niezmordowanym obrońcą Aborygenów oraz kustoszem założonej przez siebie biblioteki. Z czasem Roger poślubił również siostrę Maggie, Biddy. Nie miał już chyba więcej żon, bo zwykł powtarzać: „Największym bogactwem człowieka jest skromność jego potrzeb".

W odróżnieniu od Jose'a, większość Europejczyków nieszczególnie się wówczas martwiła losem autochtonów. Tam, gdzie hodowano i wypasano bydło, kwitło niewolnictwo – ludzi posyłano do pracy daleko od domu, w nieznane. Zapłatą był na ogół przydział żywności i tytoniu, niekiedy ubranie i obuwie.

Czasy te dobrze pamięta Annie:

> Byłam już dziewczyną. Czas mi było za mąż. Nie wiem dokładnie, ile lat. Kilkanaście. Dawno temu. Mój mąż zabrał mnie od matki. Długa historia. Długa opowieść. Dość, że znalazłam się na płaskowyżu. Pracowaliśmy tam, na płaskowyżu Barkly. Ja i mąż.

Mój mąż jeździł po całym kraju, zaganiał bydło. Wracał na trochę do Borrolooli, a potem znowu do roboty.

Ale tak naprawdę to mieszkaliśmy w buszu. Wiesz. Konie. Konie do jazdy. Tak. Mój mąż ujeżdżał te bestie, a potem dał mi jednego i też kazał jeździć. No i jeździłam na tych dzikich koniach. Ludzie mówili: „Hej, ty, uważaj, bo jak cię zrzuci, to koniec". Wieszałam się na szyi drania i jeździłam, tak. Byłam koniara, jak się patrzy. Sama się nauczyłam. I na koniu męża też. Ten to był dopiero. Nieraz zrzucał mnie z siodła i wierzgał. Nauczyłam się zeskakiwać. Chwytałam za uzdę, a mój syn Johnny trzymał lejce. Potem to już szło. Sama zsiadałam. Dawałam sobie radę, bo byłam bystra, naprawdę byłam.

Historie z Borrolooli były dla studia Balarinji nieustającą inspiracją. W 1993 roku po raz pierwszy pokazaliśmy naszą kolekcję mody w Paryżu. Podpisaliśmy umowę z firmą Ozart działającą także na Mauritiusie i w Chamonix we Francji. Jak wielu ludzi z francuskimi korzeniami, dyrektor Ozartu, pochodzący z Mauritiusa Jano Couacaud, był zafascynowany sztuką rdzennych Australijczyków i pięknem naszych krajobrazów. Rozumiał też styl studia Balarinji. Zrobił nam świetne fotografie do katalogów, portrety Aborygenów i Europejczyków w Czerwonym Środku Australii i na Wielkiej Rafie Koralowej na północnym wschodzie. Te nagradzane fotografie były dokumentacją historii australijskiej mody, niepokazywanej przedtem za granicą.

Nasze dżinsy, legginsy, koszule, sukienki i T-shirty znajdowały odbiorców w tak odległych od siebie miejscach jak Karaiby, wyspy Pacyfiku i wybrzeże Morza Śródziemnego. Członkowie naszej rodziny z Borrolooli, Roy Hammer, Barry John i Tom Kimon,

pojechali ze mną i Johnem do Francji. Grali na *didgeridoo* na targach wystawienniczych i w paryskich bistrach. W modnych restauracjach pili bordeaux do steku z polędwicy. Wróciliśmy tam z Ozartem rok później, a w 1996 roku pokazaliśmy swoje kolekcje na paryskim pokazie Prêt-à-porter.

Zauważeni w Japonii i w Europie, zastanawialiśmy się, jak z opowieścią o sztuce wzorniczej Aborygenów trafić również do Australijczyków. Niestety, znajdowaliśmy się daleko od głównych rynków wschodniego wybrzeża, Sydney i Melbourne. Nadal zbieraliśmy nagrody tylko w naszym stanie. Marzenie, aby odmienić wizerunek kontynentu, wciąż czekało na urzeczywistnienie.

Na początku 1993 roku, jeszcze przed pierwszym pokazem kolekcji Balarinji w Paryżu, obudziłam się kiedyś w środku nocy i doznałam olśnienia. Wyrwałam ze snu Johna, oznajmiając mu, że musimy pomalować jumbo jeta linii lotniczych Qantas. Późna pora i szalony pomysł sprawiły, że mój mąż zachował powściągliwość. Ziewając, oświadczył, że Qantas – bądź co bądź firma państwowa – nigdy się na to nie zgodzi. I poradził mi iść spać.

Ale mój plan naprawdę miał sens. Qantas był perłą w koronie australijskich marek. Gdyby on się do nas przekonał, uczyniłby to z pewnością cały kraj. Zrobiliśmy zatem szkic i nanieśliśmy go na plakat z wizerunkiem wielkiego plakatu boeinga 747 linii Qantas. Zdecydowaliśmy się na czerwone tło z motywem kangura, totemu Johna. Nie chodziło nam o użycie kadłuba samolotu jako zwykłej powierzchni reklamowej. Wiedzieliśmy, że linie lotnicze w to nie wejdą. Zależało nam na nieznanej dotąd formule, która

stanowiłaby wizualny skrót australijskości, jednocześnie zaś zamykała w sobie istotę tego, czym był Qantas. Potrzebowaliśmy idei, której nie można by się oprzeć.

Nieżyjący już Mick Young, senator z ramienia laburzystów, był w zarządzie Qantasa i znał Johna jeszcze z kampanii na rzecz praw Aborygenów organizowanej w latach sześćdziesiątych. Zgodził się pośredniczyć między nami a szefami linii, którzy zgodzili się na przesłanie im projektu plakatu i makiety. Jednak, jak przewidywał John, nasz pomysł ugrzązł pod stertą kurzu i papierów w którymś z biur Qantasa, przypuszczalnie w Mascot, niedaleko portu lotniczego Sydney. Przez kilka miesięcy łamaliśmy sobie głowę, jak ruszyć sprawę z miejsca, ale zbyt pochłaniała nas codzienna bieganina.

Skorzystaliśmy jednak z kolejnej szansy i zaatakowaliśmy z innej strony. W tamtym czasie John często podróżował w sprawach naszych klientów i rozmaitych agencji rządowych. W maju 1994 roku, w ramach programu lojalnościowego dla stałych klientów, Qantas zafundował nam weekend w hotelu Hyatt w Adelajdzie. Traf chciał, że drugiego ranka znaleźliśmy się w windzie z dyrektorem generalnym Jamesem Strongiem i jego żoną Jeanne-Claude. Kiedy John pod jakimś pretekstem ich zatrzymał, ja pognałam z powrotem do pokoju i porwałam ze stołu plakat naszego projektu. Pokazałam go Jamesowi. Uśmiechnął się, lekko zaskoczony – uprzejmy, ale zdystansowany.

Aż tu nagle po kilku dniach zadzwonił Garry Saunders, szef marketingu Qantasa, oznajmiając, że nasz projekt leży na jego biurku.

– Pamiętacie ten obrazek z aborygeńskim wzorem, który do nas wysłaliście? – zapytał. – No cóż, myślę, że moglibyśmy się temu przyjrzeć. Chciałbym przyjechać do Adelajdy, żeby obgadać sprawę.

Zakryłam dłonią słuchawkę telefonu, wrzasnęłam, ochłonęłam i po chwili odpowiedziałam spokojnym głosem, że w porządku, fajnie byłoby się spotkać. Tydzień wcześniej miałam operację dysku kręgosłupa, ale to, co usłyszałam, zadziałało jak najlepszy środek przeciwbólowy.

Qantas miał się ścigać z samolotem Ansett Airlines podczas pierwszego lotu na nowe lotnisko Kansai w Osace. To miał być pierwszy międzynarodowy lot Ansett i Qantas nie chciał stracić swojej części japońskiego rynku. Garry zapytał, czy nasz projekt dałoby się nagłośnić w japońskich mediach. Zależało mu na przyćmieniu konkurencji. Zapewniliśmy go, że tak, i wpadliśmy na pomysł zabrania na pokład starszyzny z Borrolooli, głównie tancerzy.

Kilka tygodni później malowanie samolotu szło już pełną parą. Naszą makietę poddano obróbce komputerowej i powiększono w skali 1 do 100, tworząc dwukilometrowy pas kalki kreślarskiej. Motywy obrzeżono i nacięto, żeby wykonać szablon. Kalką kreślarską owinięto kadłub najnowszego cudu techniki – latającego w powietrznej flocie Qantasa boeinga 747-400. Przed dwa tygodnie ekipa inżynierów, plastyków i techników w największej tajemnicy od rana do późnej nocy harowała w hangarze 245 lotniska w Sydney, wałkując, pędzlując, spryskując sześciuset litrami wspaniałej, cudownie kryjącej farby powierzchnię samolotu. Zieleń pory deszczowej, błękitnoliliowe

smugi wierzchołków górskich o zmierzchu, żółta ochra piaszczysto-kamienistego kraju, obozowe ogniska i biała ochra malowideł na czarnej skórze – to wszystko rozbłysło gamą kolorów na czerwonym tle. Kangury sunęły nad ścieżkami stworzenia, przecinając rozsiane na brzuszysku samolotu miejsca kultu, powlekając je barwną powłoką Snu. Chcieliśmy, by magiczny sens tego kangura i jego szlaku w podobny sposób pokrył kiedyś mapę naszego kraju.

Sen Wunali (Kangura) pojawił się na pasie startowym 4 września 1994 roku na oczach tłumnie zgromadzonych i oczarowanych reporterów. Robert Tickner, minister do spraw Aborygenów, nazwał go wezwaniem do narodowego pojednania. Australijczycy, niezależnie od wieku i pochodzenia, byli poruszeni, a gdy wzbijaliśmy się do lotu, pisała o nas już cała prasa. Kiedy zaś wieczorem samolot dotknął płyty lotniska Kansai, wiedzieliśmy, że wygraliśmy. Qantas znalazł się na miejscu pół godziny wcześniej niż Ansett, którego pasażerowie natychmiast po wylądowaniu rzucili się fotografować boeinga. Dziennik „Yomiuri Shimbun" (10 milionów nakładu) opublikował zdjęcia z tego wydarzenia, zarabiając w ciągu jednego popołudnia 5 milionów dolarów tylko na reklamach. Sen Wunali stał się najczęściej fotografowanym samolotem świata.

John wiele razy oglądał nagranie z lotu. Przy różnych okazjach powtarzał potem, że było to dla niego jedno z najbardziej emocjonujących przeżyć. Gdy Wunala wyłaniał się z szarego nieba nad Osaką, cały kadr pojaśniał tęczą jego barw. Samolot był jak motyl wydostający się z kokonu. Kiedy dotknął ziemi, ludzie z Borrolooli – Roy, Tom i Barry – wysiedli jako pierwsi.

Wymalowani, przyozdobieni kwiatami, odtańczyli w terminalu uroczysty taniec, wprowadzając w osłupienie dziennikarzy przybyłych na otwarcie. Trudno było uwierzyć, że ta sama Australia, która kiedyś odebrała Johnowi rodzinę i zabroniła mu mówić w jej języku, teraz tryumfalnie pokazywała światu kulturę, z której wyrósł.

John wyznał mi, że gdy tamtego dnia zobaczył nasz samolot, zrobiło mu się słabo z wrażenia.

– Takich uczuć nie doznaje się często – powiedział. – Uniesienie, spokój i świadomość, jak niewiele samemu się znaczy. Tak chyba musi wyglądać szczęście.

Listy, telefony od przyjaciół z całej Australii i z zagranicy utwierdzały nas w przekonaniu, że zrobiliśmy coś dobrego. Życie dostarcza od czasu do czasu takich euforycznych uczuć. A radość z tego, że odtworzyliśmy Sen Wunali, była jednym z nich.

---

[32] Chodzi prawdopodobnie o tilikwy scynkowe, które podobnie jak wiele innych scynek mają duży i niebieski język, często pokazywany w sytuacji zagrożenia i odstraszający napastnika.

7
PRAWDA

ihaanjima
Piękno rodzi się wtedy,
gdy nie wstydzę się swej uczciwości.

Prawda jest strumieniem cicho szemrzącym w moim sercu.
Broniąc uczciwości, poznaję piękno własnej duszy.

Dzień siódmy, czwartek, 1 czerwca 2006 roku

Yuwani budzi się jak zwykle o wschodzie słońca. Znowu słyszę jej nawoływanie.

– Dzisiaj jest ostatni dzień. Dzień dobry! – śpiewa w języku swojego ludu, podnosząc się na materacu, okryta kocami. Nie ma wiatru. Wschodni horyzont jest jak skórka soczystej pomarańczy. W szarawym świetle odcinają się sylwetki drzew. Gwiazdę Poranną nadal widać na niebie.

Poranne obozowe zwyczaje działają na mnie uspokajająco. Podnoszę się. Kobiety, które już siedzą przy ogniskach, wołają do mnie. To ćwiczenie z ich języka.

– Dzień dobry, *baba*! – wołam w odpowiedzi. – Dzień dobry, *manjigarra*, dzień dobry, *yuwani,* dzień dobry, *kathakatha*!

Tylko jeden błąd. *Marrawarra* Edna Pluto – moja kuzynka – poprawia mnie łagodnie, gdy pozdrawiam ją jako szwagierkę.

– W porządku, nie ma sprawy. – Uśmiecha się, przyjmując przeprosiny.

Edna jest ostatnią z żyjących babek Johna, *kukurdi*.

Przestaję przejmować się książką. Zaczynam rozumieć, że mądrości, którą chcę pokazać, nie znajdę w odpowiedziach na moje pytania. Ona ukryta jest w rytuałach, które oglądam, w miłości, we wspólnocie kobiet nacierających się nawzajem ochrą i olejem. Jest utajona w ich mowie, której próba przekładu odsłania nie tylko głębokie człowieczeństwo Aborygenów, lecz także melancholijną wiedzę o dwóch bardzo różnych obliczach Australii, czarnym i białym.

To ma być dzień tryumfu Isy, mojej nauczycielki tańca, która cała promienieje. Ściska mnie mocno i całuje w policzek, gdy bierzemy się za ręce.

– Dobra tancerka – kłamie, dodając mi otuchy.

Sprawdzam oczy w bocznym lusterku samochodu. Są podpuchnięte i przekrwione od pustynnego pyłu. Nabrzmiewają pod powiekami. Rozcieram grubą warstwę kremu z filtrem na twarzy i szyi.

W połowie ranka zaczynamy się spieszyć. Trzeba zdążyć z ostatnią ceremonią, żeby mieć jeszcze czas na spakowanie rzeczy. Kobiety z pustyni są już na placu. *Yuwani* chciałaby posiedzieć z nami, ale jest zmęczona. Kładzie się na materacu.

– Chyba się trochę zdrzemnę – mówi. Minęło już sześć dni od wyjazdu z Borrolooli, z czego prawie dwa spędziłyśmy w drodze. Wstawanie przed świtem, długie godziny rytuału. Przygotowania,

czekanie, ćwiczenia, taniec, snucie opowieści do późnej nocy. Starsze kobiety są znużone. Ale radość z bycia razem, z wypełniania Prawa, bierze górę nad zmęczeniem.

Po obozie rozchodzi się wiadomość, że w torbach z żywnością będą dziś kangurze ogony. Przysmak Aborygenów. Jest dziesiąta trzydzieści. Znów cierpliwe czekanie. Następna partyjka kart. Gracze są nieustępliwi i przebiegli. Małe szachrajki. Myślę o wszystkich rzeczach, które przywiozłam. Czego nie musiałam brać? Kilka koszul na zmianę się przydało. Wojskowy kapelusz z opuszczonym rondem, chroniący twarz przed zwęgleniem, szczoteczka do zębów i pasta – to wszystko tak. Ale reszta? Same śmieci, zbędny kram. Mogłam spokojnie je zostawić w Borrolooli.

Dochodzi już południe, a jeszcze nas nie wzywają. Może trzeba będzie czekać z tańcami aż do wieczora. Wypatruję zmierzchu z utęsknieniem. Po pierwsze – nie mogę już znieść lejącego się z nieba ukropu, a po drugie – wolę tańczyć po ciemku. Wśród innych kobiet świecę jak biały neon w morzu czarnych ciał, stworzonych do tego pustynnego kraju.

Annie śpi spokojnie na swoim materacu, w cieniu obok mnie. Syrop na kaszel chyba działa. *Baba* Rosie odpoczywa po drugiej stronie na brezencie. Zwijam śpiwór w kanapę do siedzenia – co za ulga dla kości i stawów.

To ostatni dzień, więc czas wyjąć ostatnią z moich koszul. Jest biała, ale za kilka chwil będzie czerwona od pyłu. Paznokcie – rozpacz. Czerwony piasek, czerwona ochra i czarne polana w ognisku. Szorowanie nie pomaga. Kurz wdziera się wszędzie. Mam go na wierzchu dłoni i za paznokciami.

Kangurze ogony zajeżdżają w plastikowych torbach. Wyglądają jak bagietki obrośnięte futrem. Przypalamy je nad płomieniami, po czym zawijamy w cynfolię i pieczemy przez pół godziny. Odkładamy ucztę na jutro, na drogę powrotną do domu. Zaledwie kosztujemy kruchego mięsa, prosto z ognia, wyrzuciwszy przypaloną skórę.

Rozmawiam z Thelmą o wyrazach ze słownika Yanyuwa, gdy rozlega się wołanie. Czas na ceremonię. A więc zaraz, nie wieczorem. Znów nakładamy czerwoną ochrę. Malujemy starannie nagie piersi. Farba chłodzi. Związujemy włosy. Czekam z kobietami Nangala, wiedząc, że jestem jedną z nich. To moja skóra. Z trudem hamujemy podeskcytowanie.

Wzywają nas i zaczyna się obrzęd: teraz tańczą i śpiewają kobiety z Borrolooli. Najpierw inna skóra, moja później. Znajomy głos Annie góruje nad innymi. *Baba* Rosie również śpiewa. Ruchy tancerek są subtelne i rytmiczne. Melodia melancholijna, nostalgiczna. Wiem, że jej nie zapomnę.

Teraz kolej Nangala. Moja skóra. *Kathakatha* Linda otacza mnie opieką.

– Patrz cały czas na mnie, *narna* – szepcze.

Jesteśmy bardziej zgrane niż zeszłego wieczoru, gdy ćwiczyłyśmy. Czuję oszołomienie, w moim ciele pulsuje muzyka. Kobiety wypchnęły mnie na środek – nie ukryły gdzieś w tłumie, mimo że tak mało umiem. Mimo że jestem biała. Rytuały. Tajemne. Święte. Symbole. Rekwizyty. „To cię wzmocni” – słyszę słowa Annie, kiedy się poruszam. Ich zaufanie, ich szczodrość mnie zawstydza. Wiem, że nie zasłużyłam.

Później *kathakatha* Isa, moja nauczycielka tańca, mocno mnie przytula.

– Mistrzyni tańca Borrolooli, *narna*.

Inne tancerki na pewno zauważyły błędy, które popełniałam. A jednak entuzjastycznie chwalą mój pierwszy raz. Są uradowane, zadowolone ze mnie. W nagrodę dają mi jeszcze mocniej odczuć, że przynależę.

To ostatni taniec tej nocy. W obozie mieszane nastroje.

– Jedziemy do domu – mówi Annie.

Pytam je, jak to jest. Dobrze wracać do domu?

– Tak – odpowiadają z przekonaniem. – Ale tutaj też dobrze. Za dużo kłamstwa w domu. Picie.

Pytam Annie, jak z tym skończyć. Sprawić, żeby ludzie przestali pić.

– Nie wiem. Wszyscy chleją. – Po chwili wybucha śmiechem. – Sama też nie wylewałam za kołnierz. Mogłam wypić, o rany. A jak wypiłam, to waliłam, że strach. Teraz żuję tylko tytoń. Kaszlę od tego, ale co poradzić, kiedy lubię? – Opowiada mi o pewnym młodym człowieku, który ma poważne problemy z alkoholem. Kiwa głową zasmucona. Po chwili jej twarz znowu rozjaśnia uśmiech. – Ale ja k o c h a m tego chłopca!

Próbuję wyrwać parę chwil, żeby coś napisać. Tutaj, pośrodku pustyni. Nie chcę ani upiększać, ani rozwadniać żadnych przeżyć. Wolę opisywać wszystko, tak jak jest. Tak najlepiej. Obawiam się, że nie zapamiętam wielu szczegółów, że dużo wspomnień uleci.

Kładę się spać wcześnie. Jutro długa droga, a nie ma nikogo, kto mógłby zmienić mnie za kółkiem. Śpiew nie milknie do późnej nocy. Jest jak kołysanie do snu pod piaskową kołdrą czerwonego

pyłu i hebanowego nieba. Budzę się nagle nad ranem. Annie upadła. Próbowała podnieść się z materaca i o coś zawadziła. Chwytam latarkę i pytam, czy wszystko w porządku.

– Nic się nie stało – odpowiada. – To tylko stopy.

Bolą ją odparzenia. Nabawiła się ich, bo kupiła ciasne, niewygodne buty w jakimś sklepiku z używaną odzieżą. Ale przez cały tydzień nie słyszałam z jej ust choćby słowa skargi. Ani od żadnej z kobiet.

Zmiany nad zatoką odcięły ludzi takich jak Annie nie tylko od tradycji, lecz także od udziału w podziale dóbr. W połowie XX wieku zbiorniki wodne były już zanieczyszczone („za dużo rogacizny"), bydło zadeptywało tereny pełne jadalnych nasion i owoców leśnych, niszczyło siedziby słodkowodnych żółwi i innych małych zwierząt. Zbyt częste wypasy sprawiały, że wody brakowało już na początku zimy, a formy powierzchniowe, tak dobrze znane Yanyuwa, zmieniały się nie do poznania na skutek erozji gleb aluwialnych spowodowanej ubytkiem roślinności. Ludzie zmuszeni byli zostawać w mieście, bo w buszu nie mieli już co jeść.

John urodził się w buszu, niedaleko Malandarri, około 1938 roku, w epoce gwałtownych przemian. W tamtych latach zaledwie garstka Europejczyków mieszkała w zatoce. Wśród nich był też irlandzki ojciec Johna, John Moriarty, który wraz z kuzynami,

niejakimi O'Shea, prowadził bar w Borrolooli. W latach 1900–1960 żyło w okolicy od ośmiu do dziesięciu białych. Tymczasem liczba Aborygenów mieszkających w mieście lub na jego obrzeżach wahała się od kilkunastu do kilkuset. Księgi policyjne świadczą o oporach, z jakimi ludzie zgadzali się na służbę w tym miejscu. Jeden z raportów mówi o policjancie, który popełnił samobójstwo, gdy zignorowano jego błagalne prośby o przeniesienie. Dla wszystkich z wyjątkiem Yanyuwa, Gudanji, Marra i Garrawa był to przygnębiający, zapomniany przez ludzi i Boga kraj. Droga do Borrolooli nie prowadziła już nigdzie dalej, poczta przychodziła tylko raz w miesiącu; w porze suchej przywożono ją ciężarówką, w porze deszczowej konno. Działał wprawdzie telegraf, ale telegramy można było przesyłać jedynie alfabetem Morse'a.

Okoliczności przybycia Moriarty'ego seniora z Irlandii do Borrolooli były tyleż niesamowite, co romantyczne. Mój mąż jednak w ogóle nie pamiętał ojca, o którym zresztą Kathleen prawie wcale nie mówiła. Za wszelką cenę chciał go odszukać, ale dopiero w styczniu 1981 roku, ponad dwadzieścia lat po ponownym spotkaniu z matką, odnalazł rodzinę swojego ojca – w hrabstwie Kerry, na surowej, pięknej ziemi południowo-zachodniego wybrzeża Irlandii. Dzięki książce telefonicznej, w której aż roiło się od Moriartych, trafił w końcu na Johna Moriarty'ego, właściciela zakładu pogrzebowego w Castle Gregory.

Przedsiębiorca pogrzebowy nie okazał się wprawdzie ojcem mojego męża, ale wykonał kilka telefonów, po których jego syn Sean zabrał Johna na spotkanie z mieszkającym niedaleko dziewięćdziesięciodwuletnim staruszkiem – Paddym O'Shea. Obaj

mężczyźni sądzili, że mógł on mieć jakiś związek z braćmi O'Shea, którzy przed laty wylądowali w Borrolooli. Paddy rzucił kilka pytań, mierząc Johna badawczym wzrokiem na progu domu, zanim wpuścił go, przemarzniętego już na kość, do środka. Zadowolony z tego, co usłyszał, poczłapał w głąb pokoju, by powrócić po chwili z brązową papierową paczką, którą wyjął z szuflady kredensu. Wewnątrz była trzcinowa wędka na ryby i kołowrotek.

– Razem z twoim ojcem wybrałem się na trzy dni na ryby. Zaraz potem odpłynął do Australii – powiedział. – Ta wędka jest teraz twoja. Twój ojciec zostawił ją tutaj pięćdziesiąt dwa lata temu.

Po powrocie do domu, przy kolacji złożonej z soczystego połcia jagnięciny, ogromnej porcji ziemniaków i bardzo dużej ilości whisky, John Moriarty, opiekun zmarłych, podsunął mojemu Johnowi pomysł zadzwonienia do kolejnego Johna Moriarty'ego – mieszkającego na Racecourse Road w miasteczku Tralee, czterdzieści pięć kilometrów od Castle Gregory. Mężczyzna z Tralee mógł się okazać bratem stryjecznym Johna, czyli synem brata jego ojca imieniem Daniel. John do dziś wspomina absurdalną rozmowę przez telefon, która wyglądała mniej więcej tak:

– Czy to John Moriarty? Tutaj John Moriarty z Australii. Szukam mojego ojca, Johna Moriarty'ego. John Moriarty z Castle Gregory, od którego dzwonię, poradził mi, żebym się z panem skontaktował.

John Moriarty na drugim końcu słuchawki potwierdził, że jego stryj John Moriarty wyjechał przed laty do Australii. Jeszcze tego samego wieczora mój mąż przerzucił w jego domu kilka

pożółkłych fotografii. I znalazł tę, o którą mu chodziło – zdjęcie baru w Borrolooli z Kathleen na werandzie. John Moriarty z Racecourse Road wskazał palcem pochyloną postać atletycznego mężczyzny w tle.

– To mój stryj – oznajmił.

John nie miał już żadnych wątpliwości.

Dwaj panowie J.M. pojechali razem do maleńkiej willi w pobliskim Blennerville, na spotkanie z ich stryjem – Eugene'em Moriartym, bratem Daniela i Johna. Ten powiedział mojemu mężowi, że jego ojciec mieszkał z nim, jeszcze jednym bratem imieniem Joe i rodzicami w domu przy nabrzeżu, zanim wypuścił się na morze. To stamtąd okręty wypływały do Ameryki w dramatycznych czasach głodu ziemniaczanego. Tam też ojciec Johna wsiadł w 1928 roku na statek do Australii po zawodzie miłosnym, który złamał mu serce.

Podobno co tydzień pisał z Australii do matki. Eugene na dowód prawdziwości swoich słów pokazał obu panom J.M. pokój zawalony do połowy wysokości ściany listami. John okazał powściągliwość, nie prosząc o wgląd w korespondencję, a niecałe trzy miesiące później, gdy robiono porządki, te wszystkie listy i kartki pocztowe wylądowały prawdopodobnie na śmietniku. Czy babka Johna dowiedziała się z nich o istnieniu wnuka? John już pewnie nigdy nie zdoła odpowiedzieć na to pytanie. Poprzestał na tym, co odkrył.

Do dziś uśmiecha się na myśl o tym, co też pomyślała jego irlandzka rodzina na widok czarnego krewniaka u drzwi. On w każdym razie był wdzięczny losowi, że ją odnalazł. Z uczuciem ulgi zapadł w najmocniejszy sen swojego życia, kiedy znalazł się

w łóżku w domu Johna Moriarty'ego i jego żony Morny na Racecourse Road. Nareszcie poznał historię ojca.

Związek Johna i Kathleen był sprzeczny z obowiązującym prawem, podobnie jak w pewnym sensie ich dziecko, z obciążającym je jaśniejszym kolorem skóry. Trudno sobie wyobrazić, aby John senior nadal przebywał nad zatoką, kiedy opieka społeczna i Kościół zabierały chłopca na południe. Z aktu zgonu, na jaki natrafił mój mąż, wynika, że zmarł w Brisbane na raka płuc w 1961 roku. W tym roku głośno było o moim mężu w tamtejszej prasie za sprawą meczu piłkarskiego między Australią Południową a stanem Queensland. Czy ojciec widział kiedykolwiek jego zdjęcie lub nazwisko? Meczem w Brisbane żył cały wschód kontynentu.

Starzy ludzie z Borrolooli nadal pamiętają policjantów węszących w okolicy za dziećmi półkrwi. Plemienna siostra Johna, Peggy, była jeszcze maleńka, gdy matka zawinęła ją w tobołek, zaklinając, by nie płakała, kiedy zjawi się policja. Tamtym razem się udało, ale nie następnym. Uprowadzona Peggy dorastała w stanie Wiktoria, a za mąż wyszła na południu. Do Borrolooli wróciła, gdy sama doczekała się dziecka. Jej biały mąż, Trevor, gorąco ją do tego namawiał. Niektóre matki porwanych dzieci podcinały sobie żyły, jak czynią to Aborygenki na „ceremoniach płaczu", czyli na pogrzebach. Ich rozpacz była bezgraniczna. Wiele z nich nigdy nie zobaczyło już swoich dzieci.

W 1942 roku czteroletniego Johna załadowano na przyczepę wojskowej ciężarówki i wywieziono na południe. I choć jedenaście lat później w Alice Springs zobaczył swoją matkę, a w połowie lat

sześćdziesiątych spotkał w Darwin wujka Mussa, do domu wrócił dopiero na początku lat siedemdziesiątych.

Pierwszych osiem lat od porwania John spędził w Mulgoi, u podnóża Gór Błękitnych, jako wychowanek domu misyjnego prowadzonego przez Kościół anglikański. Było to dziwaczne miejsce, osobliwość systemu rządowej edukacji. Sprowadzano tu małe dzieci, które nie znały angielskiego i nie miały pojęcia o życiu poza obozem. W Mulgoi rządziły głód, religia i żelazna dyscyplina. John zabierał nas czasem w tamte okolice. Pokazywał z daleka małą szkołę, gdzie boso chadzał po mrozie, opowiadał też, jak któregoś dnia odkrył, że białe dzieciaki jedzą zupełnie inny chleb – nie tak twardy i wysuszony jak skorupy, które wygrzebywał ze śmietników. Trwała wojna i nie starczało pieniędzy na żywienie i ubieranie dzieci z północy. Buty z dziurawymi podeszwami i brak bielizny sprawiały, że John marzł zimą w górach jeszcze bardziej.

Nauka miała wykorzenić z umysłów wychowanków starą kulturę i pozwolić im przyjąć Jezusa Chrystusa. John jednak uważa, że Aborygenów nigdy nie opuszcza religijne uniesienie i z upływem lat, jak wielu innych, przestał zauważać konflikt pomiędzy chrześcijaństwem a własnym dziedzictwem. Kościół jednak nie znał podobnej tolerancji i jak najsurowiej zabraniał używania plemiennej mowy oraz obyczajów. Mógł jednak równie dobrze zakazać dzieciom oddychania. Wychowankowie starali się nie zapomnieć języka wyniesionego z domu i w sekrecie strugali z drewna małe oszczepy. Próbowali polować, łowić ryby, zbierać jagody i korzenie roślin. Czasem jakiś kamień dosięgał królika albo ptaka, kiedy przymierali głodem.

Podczas jednej z wycieczek w tamte strony siedzieliśmy przy ognisku u podnóża Mount Wilson, a John, ostrząc grot drewnianej włóczni, wspominał swoje dzieciństwo. Opisywał nam zawody w miotaniu oszczepami, które w tajemnicy przeprowadzali starsi chłopcy. Musieli oni wystawiać się na cel stępionych grotów i starać się je odeprzeć własną bronią. Wtedy właśnie biorący udział w zmaganiach siedmio- albo ośmioletni John został ranny. Był bardzo z siebie dumny, bo nie został pokonany na polu walki. Trafił go zabłąkany oszczep, kiedy wracał na swoje miejsce. Blizna na czole została mu do dziś.

W Mulgoi było trochę dzieci z Borrolooli i znad Roper, jak choćby prawie dorosłe dziewczęta ze stron Johna, które kształcono na kucharki i gospodynie. W otoczeniu chłopców z powodzeniem odgrywały role opiekuńczych matek, dodawały wszystkim otuchy, godzinami snuły opowieści o rodzinach, z którymi je rozłączono. Nie pozwalały zapomnieć młodszym, skąd pochodzą, pięknie śpiewały w kościele i pomagały Johnowi przetrwać. Podobnie zresztą jak jego inne przyjaciółki – kury, którymi się opiekował. Ptaki pozwalały mu brać się na ręce, głaskać i przytulać. Czasem znosiły jajka na jego dłoni.

Mali chłopcy spali w kamiennej piwnicy, bo zabrakło dla nich miejsca na plebanii wybudowanej przez skazańców obok kościoła św. Tomasza. John pamięta, że była zimna, wilgotna i przerażająca. Dzieciom powiedziano, że trzymano w niej i torturowano ludzi skutych łańcuchami. Pod sklepieniem nadal wisiał nieobrobiony blok piaskowca, z którego na głowy więźniów sączyły się krople wody. Pewnej nocy, w całkowitej ciemności, John usłyszał odgłos podkutych ćwiekami butów. Ktoś chodził po

najdalszej części piwnicy, gdzie spał jego krewniak Boofa. Uniósł się przerażony na posłaniu, zamierając w bezruchu. Czuł wstyd, że strach nie pozwala mu wyjść z łóżka. Nad ranem z ulgą stwierdził, że Boofa jest cały i zdrowy.

Kiedy miał dziewięć czy może dziesięć lat, przeniesiono go z dwoma młodszymi chłopcami wyżej w góry, na porośniętą drzewami liściastymi Mount Wilson. John dobrze wspomina kilka miesięcy spędzonych w domu wielebnego Harry'ego Dormera i jego żony. W przestronnej kuchni pani Dormer odkrył nieznane mu dotąd rozkosze kulinarne – pieczeń, masło, placek z jeżynami i ze śmietaną, maliny i słodkie bułeczki z pszennej mąki. Zachwycała go górska przyroda – czarne węże, ptaki, a także maleńkie światełka, czyli robaczki świętojańskie. Lepił bałwana i bił się z kolegami na śnieżki. Ale szczęście nie trwało długo i wkrótce musiał wrócić do domu misyjnego. Tęsknił za Mount Wilson tak, jak wcześniej za zatoką. I choć miał dopiero dziesięć lat, zrozumiał, że pani Dormer go pokochała. On odwzajemniał to uczucie. Nigdy zresztą jej nie zapomniał – był na pogrzebie żony pastora w Sydney w 2008 roku.

Niedługo po powrocie z plebanii na Mount Wilson nagle wszystko znowu się zmieniło. Kościół w Mulgoi był w coraz trudniejszej sytuacji finansowej, więc w styczniu 1949 roku dzieci załadowano na pociąg i wywieziono z Sydney. Dziewczęta skierowano do sierocińca w Alice Springs. Chłopców wysłano do domu św. Franciszka w Semaphore w Adelajdzie, ośrodka zbudowanego przez anglikańskiego duchownego, ojca Percy'ego McDonalda Smitha. John był zdruzgotany, gdy się dowiedział, że musi opuścić góry, gdyż powoli zaczął oswajać się z nowym

życiem. Do dziś pamięta, jak ostatni raz wychylił się z okna przedziału na dworcu w Sydney, żegnając najlepszego przyjaciela Briana Walkera i jego brata Kena, którzy przyjechali do miasta, by zobaczyć odjazd pociągu. Tęsknił za Brianem i za dziewczętami z kościelnego chóru. Ich głosów brakowało mu potem równie mocno jak matki i babki, o których kazano mu zapomnieć. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek je usłyszy.

W Adelajdzie John dostał pierwszą w życiu bieliznę i szlafrok. A także pierwsze smagnięcia gumowym wężem, gdy poranny dzwonek spędzał chłopców na dół na śniadanie. Po raz pierwszy mył się w gorącej wodzie i w brzuchu nie było już tak pusto. Na miejscu znajdowała się spora grupa dzieci z Alice Springs, posłanych na naukę do domu św. Franciszka przez rodziców. Zaczęły się walki chłopców o miejsce w hierarchii. Johnowi udało się rozwalić kilka nosów, sam też jednak otrzymywał cięgi. Na szczęście miał po swojej stronie kilku starszych chłopców, na przykład Wally'ego McArthura z Borrolooli. Zawsze zgłaszał się na ochotnika do pracy w kuchni, bo to oznaczało możliwość podjadania resztek.

W domu tym mieszkała również teściowa ojca Smitha, pani Almond. Nie poruszała się o własnych siłach i miała znaczną nadwagę. Od czasu do czasu chłopcy musieli ją nosić z pokoju do pokoju albo po schodach. Któregoś dnia upuścili staruszkę na podłogę. Chichocząc, uciekli, nieco się obawiając skutków tego występku. Pani Almond, leżąc już na ziemi, bezskutecznie próbowała dosięgnąć ich swoją laską. John twierdzi, że nie ma powodów, by skarżyć się na ojca Smitha. Wielebny dobrze go traktował. Ojciec Taylor, który przyszedł po nim, był natomiast

okrutny i nadużywał gumowego węża, a z kolei jego następca – ojciec Sherwin – kupował dzieciakom ubrania z demobilu i ubierał jak żołnierzy. Jakby tego było mało, kazał im stawać na baczność i przeprowadzał musztrę. John uważa, że miał nierówno pod sufitem.

Dzieci wysłane do szkoły przez rodziców dostawały kieszonkowe i jeździły na wakacje. Niejedno mogło pochwalić się rowerem – w przeciwieństwie do chłopców z Mulgoi, którzy w ogóle nie wiedzieli, czym są pieniądze, do szkoły i z powrotem musieli biegać prawie pięć kilometrów i byli zdani na łaskę i niełaskę opieki społecznej. Patrzyli z zazdrością, jak koledzy wracają na Boże Narodzenie do domów, a sami spędzali ferie, włócząc się po plaży w Semaphore i ganiając po wydmach. Z rzadka doświadczali czyjejś życzliwości – jak choćby nauczyciela, pana Nelsona, który kiedyś w tajemnicy opłacił Johnowi wycieczkę, widząc, że chłopak nie ma czterech szylingów na autobus. Zabrał go też pewnego razu na obiad do swoich rodziców w Mallali.

John już wtedy odnosił sukcesy sportowe – w rugby, krykiecie i piłce nożnej. Ale jego miłość do Henry'ego Lawsona[33], „Banja" Patersona[34] i Szekspira nie miała znaczenia, bo po podstawówce prawie siłą zawleczono go do technikum. Aborygeńscy uczniowie mogli tylko marzyć o lepszej edukacji. John zrealizował te marzenia dopiero dużo później.

Na drugim końcu kraju świat Yanyuwa zmieniał się nie do poznania. Hodowla bydła i wojna zmuszały ludzi do migracji. Karczowanie lasów na wybrzeżu i w górnym biegu rzek – tłumaczone względami bezpieczeństwa – zmuszało ludzi do porzucania rodzinnej ziemi i rozdzielało z bliskimi. Ci, którzy

pozostali w regionie, żyli i pracowali pomiędzy buszem a Borroloolą, próbując po prostu przetrwać.

Annie pamięta nieustanne wyprawy do Borrolooli, a potem czas, gdy pod koniec lat czterdziestych na stałe tam zamieszkała. Jej życie wyglądało podobnie jak życie matki Johna i innych młodych ludzi na tych terenach.

> Prasowałam i prałam ubrania, w pralce, wszystko. Znałam się na robocie. Prałam dla tego białego gościa, znaczy policjanta. To on sprowadził nas do Borrolooli. W Robinson też pracowaliśmy. Przy zmywaniu naczyń i tak dalej. Byłam gospodynią. Wiedziałam, co i jak. Robiłam wszystko. Nakrywałam do stołu. My to umiemy, mamy do tego dryg. Jak trzeba, nakrywałam. Tak jak biali lubią. Teraz z tym już koniec. Ale zostaliśmy w Borrolooli.
>
> Za dużo dzieci. Mój pierwszy to był Johnny Isaac. A potem zaraz Irene. Irene wyszła za białasa. A dalej to już ciurkiem, Anne, Eunice. I Michael. Jedno się utopiło. Darcy, tak się nazywało. To był bardzo duży chłopak, ale chorował. A potem przyszła powódź. Fala go zabrała. Mam Michaela, Davida Isaaca. Kogo jeszcze? Louise. Wszystkie urodziłam w buszu. Wszystkie. W buszu je miałam. Nie w Darwin, nie w szpitalu. W święta zapuszczaliśmy się na wyspy, na ceremonie, do Bing Bong, wszędzie. Jak wróciliśmy tu, do Borrolooli, kiedy zajechali ci od zasiłków, to już więcej nie wędrowaliśmy. Ci z opieki społecznej nas tu zatrzymali. Bo to oni posłali nas na farmy. Taka prawda.

W najlepszym okresie dla przemysłu hodowlanego, który przypadł na przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych, policja i opieka społeczna przywoziły ciężarówkami na początku pory suchej robotników z Malandarri – na farmy i pastwiska. Prawie

każdy jechał w strony, gdzie wypasano bydło. Zostawali tylko starcy, chorzy i kobiety w zagrożonej ciąży.

Mimo że było ciężko – panowały wyzysk, niesprawiedliwość, przemoc – Yanyuwa wspominają „bydlęce czasy" jako względnie szczęśliwe. Zwłaszcza mężczyźni, dla których ta praca oznaczała często wykorzystanie nabytych w buszu umiejętności, a nawet pewną niezależność. Byli stworzeni do tego, aby tropić zwierzęta po śladach, szukać wody. Bez ich wiedzy i doświadczenia Europejczycy i ich stada marnie by skończyli. Dziedzictwo „bydlęcych czasów" zachowało się do dziś w brawurowych popisach jeźdźców w kowbojskich kapeluszach. Raz do roku, w sierpniu, można ich podziwiać na rodeo w Borrolooli.

Rozpalanie ognia bez zapałek, jedynie dzięki sznurkowi i kawałkowi drewna, czy sztuka splatania końskiej uzdy z kory drzewa, kiedy brakowało skóry – takie zdolności Aborygenów były nieocenione dla ranczerów. Czarni poganiacze bydła dogadywali się bez trudu z innymi pracownikami, Europejczykami i Chińczykami. O wiele lepiej niż z „białą" władzą.

Jednak kobiety, które towarzyszyły niekiedy mężom na wypasach, z mieszanymi uczuciami mówią o tamtym okresie. Niektóre gorzko zapamiętały dni, kiedy na półdzikich koniach jeździły z dziećmi przytroczonymi rzemieniem do piersi. Sadzały je na drzewach, gdy musiały zaganiać wierzgające byki. Większość kobiet pozostawała jednak na ranczach. Gdy mężczyźni uganiali się za bydłem, one wychowywały dzieci, sprzątały, prały i gotowały dla Europejczyków. Często padały też ofiarą seksualnej przemocy ze strony białych.

Thelma ciężko pracowała razem ze swoim mężem.

Na farmie nad McArthur sprzątałam, czasem gotowałam dla poganiaczy. Urodziłam tam troje dzieci. Debrę i dwóch synów. Rolanda i tego drugiego, co umarł razem z Debrą. Wszyscy byli stamtąd, a Ian urodził się chyba w Borrolooli. Wróciliśmy tutaj, bo za długo to już trwało.

Mój mąż też był poganiaczem. Wstawałam bardzo wcześnie, przed świtem, gotowałam dla wszystkich. Budziłyśmy ich dzwonkiem na śniadanie, a potem siodłali konie i odjeżdżali. Ciężkie to było życie. Jechali po bydło, długa droga, wracali na wieczór. Zabierali z sobą coś na obiad. Tak.

Prałyśmy dla zarządcy i jego żony. Ubrania, prześcieradła. Potem wieszałyśmy na sznurze. I wracałyśmy do domu. Miłe miejsce. Było łóżko, śpiwór z kocem. Dobre jedzenie. Czasem coś upolowali dla nas, kiedy byli w drodze. Zostawiali nam trochę mięsa. Ciągle zaganiali bydło. Czasem jeździłam konno cały dzień. Aż do wieczora. Cały czas na koniu. I z powrotem dopiero późnym popołudniem. Wtedy koniec, trzeba było coś ugotować.

Mężczyźni mieli więcej okazji, by uczestniczyć w duchowych praktykach, które nadal podejmowano w obozach w głębi buszu. Choć wielu z nich nie miało już żadnych związków ze swoją ziemią, wieczorami słuchali przy ognisku opowieści z nigdy nienapisanej księgi Snów. Snuli je starzy ludzie, przez których ziemie poganiacze przejeżdżali. Zarządcy nie mieli na ogół nic przeciwko temu, by ludzie brali kilka dni wolnego – na tę czy inną ceremonię. Mężczyźni zaś, zawsze w drodze, byli niekiedy kimś w rodzaju posłańców. Tego od nich oczekiwano. Przekazywania wiadomości z obozu do obozu. A jako poganiacze bydła, cieszyli się szacunkiem swoich, jakby nadal byli myśliwymi.

W 1948 roku zlikwidowano komisariat policji w Borrolooli. Pojawił się za to urzędnik opieki społecznej, który wydzielał

żywność. Od tej pory już nie tylko staruszkowie otrzymywali swój przydział, lecz także cała społeczność. Lista artykułów rozszerzyła się – obejmowała oprócz mąki, cukru i herbaty również soloną wołowinę, ziemniaki, płatki owsiane, mydło i koce. A wstrzymywanie racji było stosowane jako narzędzie nadzoru i karania – na przykład gdy dzieci chodziły brudne albo ktoś obraził powagę urzędu.

Ten paternalizm miał upokarzać. Polityka rządowa nie pozostawiała w tym względzie żadnych niejasności. Reżim opieki społecznej uregulował życie lokalnej społeczności. Syrena albo dzwon przed wschodem słońca obwieszczały początek dnia i na ich wezwanie ludzie rzucali się do wioseł, by z Malandarri przedostać się na „białą stronę" rzeki, do Borrolooli, i niezwłocznie zakasać rękawy: mężczyźni zajmowali się ogrodnictwem, kobiety gotowaniem i sprzątaniem. Żona urzędnika uczyła szwaczki i kucharki. Matkom pokazywano, jak karmić dzieci butelką. Zniechęcano też czarną ludność do przestrzegania Prawa. Zwyczaje Aborygenów uważano za przeszkodę na drodze do asymilacji, szczególnie jeśli zajmowały czas, który można by przeznaczyć na pracę.

Annie była świadkiem i ofiarą brutalnej przemocy stosowanej przez niektórych zarządców.

> Pracowaliśmy w Eve Downs. Ciężko było, mieliśmy kłopoty. Musieliśmy się wynosić. Nie wiem, jak się nazywali ci ludzie. Zapomniałam. Nazwiska tych białych facetów, rozumiesz. Zawistni ludzie. Źli ludzie, tam na farmie w Eve Downs. Zarządca łoił skórę chłopakom, mojemu mężowi i reszcie. Poszliśmy do sądu, do Tennant Creek. Policjanci nas zabrali. I ci z opieki. Pojechaliśmy do Darwin.

> Kawał miasta. Potem wsadziliśmy tego człowieka do więzienia. Bo za bardzo kąsał. No i wylądował w pudle.

Angielskie słowo *cheeky*, którym Annie określiła zarządcę, nie oznacza w jej ustach „zgrywusa” ani „rozrabiaki” – należy je tłumaczyć jako „jadowity” albo właśnie „zły”. A opisany przez nią incydent nie wydarzył się na przełomie stuleci, w czasach walk kolonizatorów z tubylcami, ale w 1956 roku, w cywilizowanym kraju. Był to rok, w którym przyszłam na świat w spokojnej średniozamożnej rodzinie. Był to również rok, w którym na XVI Igrzyskach Olimpijskich w Melbourne Australia z dumą obwieszczała światu swoje pojednanie. Dla Yanyuwa i Garrawa, w tym również dla Annie, był to jednak rok przełomowy, czas odwagi. Tych ludzi na farmach w Eve Downs smagano do krwi i poniżano. Annie się obawiała, że zostaną zastrzeleni i zakopani w jakimś dole, a naiwnym powie się, że odeszli do buszu. Uciekli przed prześladowcami, a w końcu przestępstwo zostało ukarane i Europejczycy musieli pogodzić się z tym, że nie będzie im już wolno skuwać łańcuchami i pętać sznurem ludzi. A Aborygeni zrozumieli, że nie muszą się godzić na takie traktowanie.

Misjonarze pojawili się w Borrolooli późno, bo dopiero w latach pięćdziesiątych, ale natychmiast zaczęli tępić ludową obrzędowość. Między nimi a urzędem opieki społecznej wytworzyło się coś w rodzaju współzawodnictwa. Misjonarze uważali, że urzędnicy za bardzo spoufalają się z miejscowymi, i zarzucali niektórym przejmowanie „pogańskich obyczajów” lub tolerowanie świętokradztwa.

W pogardzie dla aranżowanych aborygeńskich małżeństw, szczególnie gdy były poligamiczne lub zawierane między starszymi mężczyznami a młodymi dziewczętami, misjonarze udzielali błogosławieństwa związkom niezgodnym z systemem skór, podkopując tym samym autorytet starszyzny. Młodzi ludzie znajdowali w Kościele sprzymierzeńca, który za nic miał tradycyjne formy życia.

Jedną ze zbuntowanych była Thelma.

> Wyszłam za mąż w Borrolooli. Nie ta skóra. On był Bangarrinji, a ja Nangala. Kiedy miał wracać na wypas, przyszedł po mnie i razem pojechaliśmy nad McArthur. Wszyscy tak robili, nie tylko ja.

Aby utrudnić międzyrasowe związki, misjonarze często nalegali, aby udający się na farmy młodzi mężczyźni brali z sobą czarną dziewczynę jako żonę.

Wierzyli, że uda im się zniechęcić Aborygenów do odprawiania swoich ceremonii. Annie wspomina, jak mówili jej: „Nie tańcz. A te śpiewy? Ohyda", na co ona odpowiadała niezmiennie: „Przecież nie jesteśmy biali".

> Tak im mówiłam: „Mamy prawo śpiewać na swoich *corroboree*, bo jesteśmy czarni. Wy macie własne, których nie rozumiemy, ale się do nich nie wtrącamy".

Ceremonie odbywały się nadal, tyle że bez wiedzy misjonarzy, w ukryciu, w Malandarri. Annie dostrzegała wiele sprzeczności w nauczaniu Kościoła. Abraham był obrzezany, dlaczego więc biali

chcą zatrzymać te praktyki wśród Yanyuwa? I dlaczego wolno mieć tylko jedną żonę, skoro w Biblii roi się od wielożennych mężczyzn?

W młodości ignorowała również nawoływania Kościoła do abstynencji.

> Kiedy piłam, dostawałam szału, u nas mówią na to *mordu*. Taka prawda. Piłam wszystko, co mi wpadło w ręce. Prawdziwy rum. Naprawdę mocny. Nigdy nie piliśmy piwa, tych szczyn. Dopiero teraz. Przedtem tylko mocne rzeczy. Rozwalałyśmy wszystko, napierdalałyśmy wszystkich. Waliłyśmy białasów. Byłam dobra w boksowaniu. Wszystkie kobiety się mnie bały. Facetów też grzmociłam, mówię ci. Pałką. *Nulla nulla*, tak to się nazywało. No. Potrafiłam wpaść w szał, kiedy byłam młoda. Nie bujam.
>
> Wszczynałam bójki z białasami w barze. Tym z opieki też się obrywało. I policjantom. Wywieźli mnie stamtąd, kiedy powiedziałam, że wygrzmocę wszystkich naokoło. „Dobra, dobra – tak powiedzieli – wiemy, że potrafisz dołożyć. Ale i tak pojedziesz z nami". Zabrali mnie na cmentarz i zostawili. Wróciłam na piechotę. Szłam i szłam. Po drodze mieszkał jeden biały, Gibson mu było. Poczęstował mnie herbatą, kiedy szłam do domu. Tak było. Naprawdę.

Thelma potwierdza jej relację.

> Wszyscy pili. Zostawiali dzieci, wiesz. Płakały za nimi, głodne. Pełno było tych pijaków na ulicach. Strasznie wyglądali. Nie wiedzieli, gdzie są, co robią. Ona – Annie – ta to była najgorsza. Policja zabrała ją na cmentarz, daleko. Tam ją wysadzili. Ale wróciła. Ha... nawet po drodze coś upolowała. Przyniosła cały worek jaszczurek, wiesz, tych z błękitną pręgą.

Thelma wspomina czas dzieciństwa, przymus zostawania w mieście ze względu na przydziały żywności.

Byłam na farmie nad McArthur. Tam się urodziłam, ale dorastałam w Borrolooli. Mama mnie sprowadziła. A mama i macocha miały jednego męża, mojego tatę. Tak to było. Wszyscy starsi mężczyźni z tych stron mieli po dwie albo trzy żony. Tak było i już.

Pamiętam, że przepływaliśmy rzekę, po drugiej stronie była szkoła. Przewozili nas łódkami na tamtą stronę, a potem nabrzeżem szliśmy do szkoły. Do tej misyjnej. Tam, gdzie teraz jest kościół. Tam była szkoła. Przyjechał jeden misjonarz z Sydney, pan Pattermore. Z żoną. Uczyli nas czytać i pisać. To były dobre czasy, nikt nie pił.

Nie warto było wyjeżdżać z miasta. Za daleko, żeby wracać na piątek, po przydział. Wszyscy czekali. Starzy, młodzi ludzie, wszyscy. Pracowaliśmy w Borrolooli. Kobiety sprzątały, niektóre miały pracę poza kuchnią, pokojówki, wiesz, pomagały w domach. Ci z opieki uczyli nas gotować, podawać do stołu, nakrywać.

Pilnowałam kóz. Na placu przy dawnym komisariacie. Były ze mną dwie kobiety. W sobotę i niedzielę miały wolne. Dzieci zaganiały kozy, czasem na nich jeździły. Jeden taki z opieki wychłostał nas, mnie i jeszcze jedną, może Jemimę, nie pamiętam. Bo dosiadałyśmy kóz i piłyśmy kozie mleko. Zawsze tak robiłyśmy. Każdej soboty i niedzieli.

Jemima też pamięta małżeństwo Pattermore'ów.

Przyjechałam do Borrolooli. Chodziłam tam do szkoły. Wtedy, kiedy nauczycielami byli państwo Pattermore. Mieli dwie dziewczynki, Joy i Dorothy. I chłopca, David mu było. Wszyscy troje urodzili się w domu. Ta pani Pattermore nigdy nie jeździła do szpitala w Darwin. Miała szwagierkę z Sydney, co była u niej za

pielęgniarkę. Jak przyszło rodzić, to była położną. Pomagała jeszcze jedna starsza pani.

Ja urodziłam dwoje dzieci w buszu i czworo na porodówce. W buszu było lepiej. Bo tam było nasze życie. Nie wiedziałyśmy, co to szpital.

Ta szczególna równowaga utrzymywała się przez lata. W buszu rodziny próbowały zachować niektóre ze zwyczajów, ale nić tradycji była już nadwątlona. Polityka Kościoła i opieki społecznej zrobiła swoje.

---

[33] Henry Lawson (1867–1922) – prozaik i poeta. Obok „Banja” Patersona jest najlepiej znanym australijskim twórcą okresu kolonialnego.

[34] Andrew Barton „Banjo” Paterson – australijski poeta buszu i dziennikarz.

8
ŻAŁOBA

jarna-rarrinji ngililiji
Jestem coś warta tylko wtedy, gdy potrafię opłakiwać.

Czas łez, czas żałoby.
Kiedy płaczę za kimś, poznaję ukrytą w moim sercu dobroć.

Dzień ósmy, piątek, 2 czerwca 2006 roku

Myślałam, że zaraz po świcie ruszymy w drogę, ale jest jeszcze trochę rzeczy do zrobienia. Musimy poczekać godzinę albo dwie w chłodnym powietrzu poranka. Potem te, które po raz pierwszy przeszły przez ceremoniał, poddają się nacieraniu czerwoną ochrą. Dla ochrony. Żeby moc obrzędu nie sprowadziła na nie choroby. Trwa uprzątanie placu. Na wszystkich samochodach odciska się ślady dłoni pomalowanych czerwoną ochrą. Mają chronić każdą z opuszczających święte miejsce kobiet. Nakładamy na głowy czerwone opaski z wełny – odpowiednik dawnych plecionek z ludzkich włosów. Opowiadam o tym, bo to żadna tajemnica, wkrótce i tak wszyscy zobaczą nas na drodze.

Dwadzieścia pięć terenówek z napędem na cztery koła i busik powoli wykręcają z placu ceremonii. Obserwuję wszystkie ciernie

i patyki, żeby znów nie złapać gumy. Wreszcie wydostajemy się na żwirowaną drogę, zachowując odległość między pojazdami, by uniknąć gęstych chmur czerwonego pyłu wzniecanych przez jadące przodem auta. Jedziemy wolno. Cichy śpiew wypełnia nasz samochód.

Wszystkie cztery wgryzamy się łapczywie w pieczone kangurze ogony. Chce nam się jeść, a mięso jest smaczne i soczyste. Thelma obiera je dla mnie z osmalonej sierści.

Pierwszy postój wypada przy boisku krykietowym w Kalkaringi. Ponad sto osób czeka już na placu, plecami do nas, kobiety po jednej stronie, mężczyźni po drugiej. Zatrzymujemy się za nimi. Musimy dopilnować, aby po ceremonii Prawo zostało z powrotem przyjęte przez wspólnotę. Chodzimy między ludźmi, śpiewamy, nadal mamy pomalowane ciała. Dotykamy głów i ramion siedzących liściastymi gałązkami. Mężczyźni odchodzą, a kobiety razem z dziećmi ruszają w naszą stronę. Ściskamy sobie dłonie. Z ich oczu i uśmiechów bije ciepło. Znów zawstydza mnie głębia tych więzi, ważniejszych dla nich niż wszystkie troski i strapienia. Prawie wszyscy na boisku w Kalkaringi – kobiety ceremoniału i ci, którzy je witają – żyją na granicy nędzy.

Jedziemy już wiele godzin. Moje pasażerki drzemią. Są zmęczone. *Yuwani* nagle się budzi i pokazuje mi palcem kwitnące żółte krzewy przy drodze.

– Widzisz te żółte kwiaty? Wiesz, co one znaczą? Że w morzu jest tłusty żółw i dużo zwierząt. Diugoń, ryby, tłuste mniam, mniam.

Pory roku biegną jedna po drugiej, od stworzenia, od pierwszego Snu. Wszystkie rzeczy są z sobą powiązane.

Równowaga.

Pod wieczór znów przystajemy. Rozbijamy obóz w tym samym miejscu, co poprzednio, przy torach. Rozładowujemy samochody, zapalamy ogniska. Po tej stronie trakcji nie zostało już dużo drewna. Biorę latarkę i wychodzę na drogę, w stronę auta kobiet z Tennant Creek, które ruszyły na poszukiwania.

– Hej, *mimi*! – woła za mną głośno Caroline. – Dokąd się wybierasz?

– Poszukać drewna – odpowiadam.

– Z kobietami z tego wozu?

– Tak.

– Uparłaś się, niech ci będzie – mówi, ostrzegając mnie jednak, że to trochę niebezpieczne. Niedobry czas, tak krótko po ceremonii. Kobiety Yanyuwa dzień i noc mają mnie na oku.

To ostatnia noc w buszu. Annie pokazuje mi, gdzie rozłożyć plandekę. Nasza trzynastka z Borrolooli zasypia w kręgu wokół ogniska. Znajoma ciemność nieba jest wciąż tą samą kopułą czerni, która przez osiem nocy była moim dachem. Ja też chcę do domu. Nie mogę się doczekać spotkania z Johnem, rozmowy z dzieciakami. To już jutro.

Lata dziewięćdziesiąte upływały nam coraz szybciej w Adelajdzie. Dzieci rosły, dostarczając rodzicom nowych zmartwień i nowych radości. Ich upodobania bardzo się różniły,

łączyło je tylko jedno – zapał. Tim przyglądał się w parku narodowym myszoworom[35], grał na flecie i *didgeridoo* w szkolnej orkiestrze jazzowej. Animował także komputerowo statki kosmiczne. James śpiewał czystym sopranem chłopięcym, grał na skrzypcach swojego walijskiego dziadka i strzelał bramki w drużynie futbolowej. Julia tańczyła w różowej spódniczce baletowej, biegała i brała lekcje wiolonczeli. Mieli wolne od trosk dzieciństwo. John nie pragnął wiele – chciał tylko widzieć, jak każdego wieczoru cała zmęczona trójka zasypia bezpiecznie w swoich łóżkach. A dla mnie macierzyństwo było urzeczywistnieniem marzeń. Uwielbiałam patrzeć – już wtedy – jak dzieci stają się niezależne, jak chodzą własnymi ścieżkami.

Sen Wunali, nasz pierwszy samolot, wzbudził taki zachwyt, że już w listopadzie 1995 roku, na siedemdziesiąte piąte urodziny linii Qantas, zaprojektowaliśmy drugi – Nalanji, co oznacza „nasze miejsce", Australię. Na kadłubie samolotu żółwie i ryby przemierzały błękitne i turkusowe wody północnych raf. Obozy na brzegu morza rozświetlały czerwieniami i żółcieniami tło deszczowych lasów. Roy, Barry i Tom z Borrolooli znowu byli na pokładzie podczas pierwszego lotu, dołączył do nas także Musso. Cierpiał wtedy na zaawansowaną niewydolność nerek i musiał zrezygnować z udziału w poprzednim projekcie. Tym razem jednak Qantas zabrał w podróż specjalistę urologa, doktora Davida Pugsleya – specjalnie dla naszego Mussa. Kiedy Nalanji przelatywał nad Longreach w stanie Queensland, wuj Johna pochylił się ku oknu i zachłannie patrzył na pejzaż, który przesuwał się pod skrzydłami samolotu. Choć nigdy dotąd nie leciał nad Australią, znał te okolice jak własną kieszeń. Wskazał

nam, którędy przepędzał bydło i gdzie przed trzydziestu laty pogrzebał z innymi mężczyznami pewnego poganiacza, składając jego ciało w trumnie z pnia drzewa.

Szósty zmysł Mussa szybko przestał mnie zdumiewać. Podróżując nad zatokę w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, czułam się, jakbym przechodziła na drugą stronę lustra. Jakbym doświadczała tego, co antropolog i językoznawca John Bradley ujął następująco w swoim poetyckim opisie ziemi Yanyuwa: „Wszystko jest tu nasycone znaczeniem, obecnością duchów – czasem łaskawych ludziom i dobrotliwych, innym razem groźnych i złowieszczych, a zawsze nieobliczalnych". Było to życie w innym wymiarze, który z czasem stał się dla mnie oczywisty. Słuchałam podań, w których prawdziwość nie wątpiłam. Historii o duszach opuszczających ciała, aby wędrować przez kontynent, o porozumiewaniu się na odległość, o rozmowach z dalekimi światami: rzeczywistymi i nadprzyrodzonymi.

W młodości John silnie odczuwał działanie nadnaturalnych mocy w swoim życiu. Nawet zaczął się obawiać o własną poczytalność. Na początku lat siedemdziesiątych rozbił samochód w Brown Mountain, niedaleko Canberry. Hamulce jego auta zawiodły – tak samo jak we śnie, który od lat go nawiedzał. Kiedy natomiast mieszkaliśmy w Melbourne, jeszcze przed narodzinami Tima, i spaliśmy na pożyczonym materacu, często budził mnie w nocy krzyk narzeczonego. „Już dobrze, już dobrze!" – wołał przez sen. W tym powracającym śnie spadałam z paki furgonetki. Dokładnie taki sam samochód John zobaczył potem w Borrolooli, kiedy pierwszy raz pojechaliśmy nad zatokę z Timem. Powiedziałam, że za nic w świecie nie wsiądę do żadnej

furgonetki. Ale podczas naszego następnego pobytu nad zatoką mąż oznajmił, że zagrożenie minęło i jestem już bezpieczna.

Musso opowiedział nam, co go spotkało, gdy wędkował u ujścia McArthur. Znajdował się przy samym brzegu, między namorzynami, kiedy silnik motorówki nagle zgasł. Z warsztatami było w Borrolooli raczej krucho, a awarie zdarzały się często. Czekaliśmy niekiedy cały dzień przy brzegu rzeki, aż ktoś się zjawi i zabierze nas na zaplanowaną wyprawę. W pogotowiu mieliśmy klucze francuskie i kanistry z benzyną. Tego dnia jednak silnik łodzi Mussa był na chodzie, aż nagle zamilkł.

Nadleciał wtedy jakiś mały ptaszek i usiadł na gałęzi namorzynu. Musso powiedział do niego: „Znasz mnie. To ziemia mojej matki. Dbam o tę ziemię. I chciałbym teraz odpalić łódź". Próbował i próbował, ale na próżno. Powoli zapadał mrok i zaczynała się pora przypływu. Musso się obawiał, że całą noc spędzi w przybrzeżnym mule. Bez przerwy powtarzał ptaszkowi, kim byli jego matka, wujek i dziadek. Zapewniał, że zawsze dbał o ziemię, śpiewał pieśni. I wciąż mu przypominał: „Znasz mnie". I to uradowało ptaka.

– Poznał mnie. Zrozumiał, że to moja ziemia. Silnik zaskoczył, gdy przyszedł przypływ. Zupełnie nagle.

Sens tego krótkiego „znasz mnie" ciągle towarzyszył mnie i Johnowi w zatoce. Często, gdy wybieraliśmy miejsce nad rzeką, nagle leciał jakiś kamyk, ciszę przerywał jakiś dźwięk, ktoś wołał w tutejszej mowie. Ludzie mówili, jak się nazywają, kim są dla tej ziemi. Okazywali w ten sposób szacunek duchom. Niektórzy zaczynali śpiewać pieśni Snu miejsca, w którym się znajdowali.

Po śmierci męża Annie wiedziała, że on jest cały czas obok, w świecie duchów.

> Cień mojego męża zawsze podchodzi blisko, kiedy siedzę sobie na ziemi, jak w tej chwili. Oglądam się za siebie i nikogo nie ma, ale dobrze wiem, że to on. Po prostu wiem. Tak. Prowadzi mnie za rękę.

W zatoce zdarzało się wiele niewytłumaczalnych zjawisk. Podczas jednego z naszych pobytów nad zatoką wuj Johna, Roy Hammer, wracał z Robinson, osady oddalonej o sto czterdzieści kilometrów. Czekaliśmy na niego do późnej nocy, żeby z samego rana wyruszyć razem na wycieczkę. Ale nie wracał. Kiedy w połowie ranka dotarł w końcu do Borrolooli, powitał nas w kiepskim nastroju, oznajmiając, że ścigały go światła Min Min. W połowie drogi, gdy zjeżdżał w stronę mostu nad strumieniem, zobaczył złe światła. Był już bardzo zmęczony i chciał zatrzymać wóz, żeby się zdrzemnąć. Wiedział jednak, że gdy zaśnie, światła go zabiją. Błagał, by zostawiły go w spokoju, tłumacząc, że wraca na swoją ziemię, ale nie usłuchały, uporczywie wieszając się drzwi auta. Kiedy dodając gazu, wjechał na most, poszła mu opona. Wiedział, że narazi się na niebezpieczeństwo, jeśli przystanie, jechał więc dalej na flaku. Gdy wyhamował przed domem, zobaczyliśmy, że z koła został tylko poszarpany metalowy strzęp. Światła przestały go ścigać, kiedy wjechał w granice Borrolooli.

Jemima wspomina magiczne pieśni ze swojej młodości:

> Starzy ludzie mieli śpiew, żeby zatrzymać krokodyla. To mężczyźni tak śpiewali. Starzy ludzie. I dla węży też mieli pieśń. Kąsały, ale

> starzy ludzie mieli na to pieśń.

Thelma natomiast pamięta pieśni miłości:

> Wszystkie znałyśmy miłosne pieśni, ale nie śpiewałyśmy ich, gdy mężczyźni byli blisko. Nie można ich było śpiewać przy rodzinie, żeby chłopy nie powariowały.

John wciąż powtarza, że uciął mi kiedyś ukradkiem kosmyk włosów, a potem, śpiewając, rzucił na mnie miłosny czar.

W Borrolooli często sami czuliśmy działanie tajemniczych sił. Pewnego razu, gdy chłopcy byli już dorośli, płynęliśmy motorówką plemiennego brata Johna, Sama, po zalanych słońcem wodach zatoki. Było gorące popołudnie. Sam poprosił Jamesa, żeby rozglądał się za diugoniami. Zatoczyliśmy krąg wokół miejsca, w którym, jak twierdził Sam, można je czasem dostrzec. I rzeczywiście po chwili z morza wynurzył się łeb diugonia. A potem następny. Byliśmy otoczeni. Naliczyliśmy jakieś dwadzieścia zwierzaków. Kiwając głową, Sam oznajmił naszemu Jamesowi Jawarrawarralowi, diugoniowi, że jego bracia przypłynęli go zobaczyć. Zapewnił nas, że nigdy nie widział tylu diugoni naraz. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że przypłynęły powitać swojego krewniaka.

W połowie lat dziewięćdziesiątych postawiliśmy mały domek w Coorong, na wietrznym skrawku wybrzeża południowej Australii. Atmosferę tej części kraju świetnie pokazuje film *Chłopiec z burzy*[36], ekranizacja powieści dla dzieci Colina Thiele' a *Storm Boy*: smukłe wydmy, nacierające z furią na plażę fale

i majestatyczne pelikany. Dom wyglądał jak mauretański zamek z piasku, z dwiema sypialniami i z grubo otynkowanym murem – falującym jak skrzydła podrywającej się do lotu mewy. Na cyplu wrzynającym się w zatokę byliśmy wystawieni na sztormowe wiatry, po których następowała łagodna cisza księżycowych nocy. Całymi dniami nie spotykaliśmy tu żywej duszy, spędzając czas na zbieraniu sercówek na podmywanych falą plażach i pracując przy kolekcjach. Któregoś Bożego Narodzenia popłynęliśmy małym katamaranem na pobliską lagunę z dziećmi leniwie wyciągniętymi na trapezie łodzi. Było słonecznie, wiała tylko bryza. Przedzierając się przez wydmy, natrafiliśmy na ludzki szkielet, prawdopodobnie bardzo stary. Zostawiliśmy go tam, gdzie leżał, ostrożnie wycofując się z powrotem, na wypadek gdyby ruchome piaski miały znów wyrzucić jakieś kości. Ledwie znaleźliśmy się w łodzi, rozszalała się straszna wichura i niebo pokryło się groźną powłoką fioletowych chmur. Gdy gnaliśmy między lagunami w stronę domu, zaroiło się wokół nas od delfinów o dziwnej brązowoczarnej skórze. Ludzie z plemienia Ngarrindjeri, którzy mieszkają tu od wieków, powiedzieli nam, że nigdy nie natrafili w Coorong na delfina.

Niekiedy do obu domów, na południu i północy, wzywały nas smutne okoliczności. We wrześniu 1994 roku zmarł na Tasmanii mój ojciec. Dostał udaru podczas operacji żylaków. Choć miał cukrzycę i chorował na serce, był pod opieką lekarza i długo cieszył się dobrą formą. Jego śmierć nami wstrząsnęła, choć nie można powiedzieć, żeby lekarze nas nie ostrzegali. Kilka miesięcy później, po Bożym Narodzeniu, odeszła matka Johna. Ludzie ze szpitala nie bardzo wiedzieli, co było przyczyną jej nagłego zgonu.

Sepsa spowodowana infekcją zębów i problemy z sercem – to wszystko, czego John się dowiedział w szpitalu w Darwin, kiedy siedział przy jej łóżku.

Mój tata i mama Johna byli już dobrze po siedemdziesiątce. Na pogrzeb ojca zjechała się cała rodzina. Naszą rozpacz łagodziła nieco cicha ceremonia złożenia jego prochów w parku pamięci, gdzie chciał spocząć, obok miejsca czekającego na moją matkę. Kathleen natomiast pogrzebano na cmentarzu miejskim w Borrolooli, daleko od świętego miejsca na wyspach, dokąd powinny powrócić kości zmarłej – jak nakazywało Prawo.

Wspólnie przeżywaliśmy żałobę, ale również wtedy musieliśmy sobie przypomnieć, że dla mojej rodziny i dla rodziny Johna wciąż istnieją dwie różne Australie.

Kathleen i ludzie z jej pokolenia utracili prawo do miejsc pochówku na wyspach sir Edwarda Pellewa w marcu 1978 roku, gdy ówczesny komisarz do spraw Aborygenów, sędzia Toohey, stwierdził, iż „domniemani właściciele nie dowiedli, że tereny te są dziedzictwem ich przodków". Sędzia jednak nie dotarł do duchowych opiekunów określonych miejsc na wyspach. Jego wypowiedź związana była z pierwszym w Australii pozwem dotyczącym przejęcia tak zwanych niczyich terenów znajdujących się w jurysdykcji Korony[37]. Rozprawie przewodniczył mianowany przez rząd komisarz działający z mocy ustawy, która weszła w życie w 1976 roku jako nowy Aboriginal Land Rights Act.

Sąd uznał, że na święte tereny ludu Yanyuwa, w tym miejsca grzebania zmarłych, może przyjechać każdy – także inwestor. Nad ziemiami kultu zawisła groźba profanacji. Był to cios zadany

tradycji odprowadzania umarłych plemienia do ich duchowych domostw.

Zażenowanie mieszało się z niedowierzaniem. Ludzie byli rozczarowani wyrokiem. Jak można nie uznać ich prawa do miejsc, których historia sięga Czasu Snu? W 1979 roku Yanyuwa złożyli drugi pozew w sprawie ziemi Warnarrwarnarr-Barranyi, domagając się zwrotu terenów. Adwokaci argumentowali, że wcześniej nie zasięgnięto opinii właściwych przedstawicieli społeczności, a tym z niewystarczającą znajomością angielskiego nie pozwolono skorzystać z tłumaczy. Tym razem zasądzono korzystny wyrok, który zachęcił Yanyuwa do gorącej obrony ich kultury.

Władze Terytorium Północnego robiły jednak wszystko, aby ograniczyć prawa Aborygenów – na przykład tworząc nowe miasto Pellew (ustawa z 1976 roku wykluczała możliwość domagania się zwrotu ziem w granicach miast). Wystawiano na aukcje tereny pod domy letniskowe i próbowano zawierać ze stowarzyszeniami Aborygenów umowy na dzierżawę z prawem pierwokupu (żeby wyeliminować możliwość przyszłych pozwów). Rozmaite grupy interesów również nie pozostawały bezczynne – szczególnie właściciele kopalni w Mount Isa, którzy potrzebowali portu przeładunkowego na Centre Island.

A jednak sprawiedliwości stało się zadość i siedemnaście lat później, po najdłuższym w historii Australii procesie dotyczącym egzekucji postanowień ustawy z 1976 roku, ziemia zaczęła przechodzić w ręce Yanyuwa. Sędzia Gray potwierdził, że są oni jej prawowitymi właścicielami. Wyrok sędziego Tooheya, oparty na fałszywym przeświadczeniu, że Aborygeni nie są uczuciowo

związani z wyspami, zdążył jednak wyrządzić wiele złego. Yanyuwa przez dwadzieścia lat tkwili na spornym terytorium – pomiędzy światem obrzędów a społeczeństwem białych.

Rząd federalny powoli wypełniał sentencję wyroku sędziego Graya. Całkiem niedawno, w 2007 roku, Aborygenom zwrócono Centre Island. Zwrot terenów jednak wcale się jeszcze nie skończył.

Niezwykle istotnym źródłem informacji podczas apelacji z 1979 roku była Annie, która następująco mówi o wyspach:

> Martwimy się bardzo o nasz kraj, wiesz. Jeśli biali chcą tu przyjść, muszą spytać *ngimarrinngki* i *jungkayi*. Niedobrze, że budują domy na naszej wyspie. Bo to przecież ziemia naszego Snu. Przychodzą i nie pytają, a przecież trzeba spytać *ngimarringki* i *jungkayi*. Dbamy o nasz kraj, bo tu jest Sen. Nie wolno tego niszczyć. Bo to też kraj naszych ceremonii. Naprawdę mocny kraj. Duże święte miejsce. Gdy ludzie umierają, składamy ich do trumny z pnia drzewa i dusza wraca na swoje miejsce.

Trumnę z pnia drzewa zabierano do ziemi matki zmarłego albo do miejsca jego urodzenia. O pochówku decydował albo *jungkayi*, strażnik ziemi od strony matki, albo *ngimarringki*, strażnik ziemi od strony ojca. Niekiedy ciało zawijano w korę drzewa do czasu przygotowania ceremonii, w trakcie której składano je w wydrążonym pniu. Kamienie z wzorami Snu zmarłej osoby przenoszono na miejsce pochówku razem z trumną. Stanowiły one jedyny ślad po zmarłych, opierający się działaniu czasu jeszcze długo po zwietrzeniu drzewa i przegniciu kości. Członkowie rodziny nieboszczyka malowali na skórze znaki umieszczane na

kamieniu. Musieli je mieć na sobie podczas pogrzebu. Śpiewali wtedy pieśni Snu, pomalowani ochrą. Jeśli po śmierci ludzie nie wracali na swoje miejsce, ziemia traciła soki. Mogło zabraknąć pożywienia, następstwo pór roku ulegało zakłóceniu. Kiedy zaczęto grzebać ludzi na cmentarzu publicznym w mieście, nakazana Prawem więź z ziemią sprowadzała się często do przeniesienia na tradycyjne tereny pochówku jedynie pustych drzewnych trumien. Albo do wzniesienia na ziemi zmarłego drewnianego słupa pogrzebowego. Obrzędowość wystawiona była na coraz trudniejsze próby. Wpływowe grupy stosowały podstępy białego prawa, by zawłaszczyć czarną ziemię należącą do umarłych. Czy, zaślepione chciwością i pychą, rozumiały, co odbierają Aborygenom?

Dla kobiet z pokolenia Annie życie w zgodzie ze zwyczajami przodków jest jeszcze teraźniejszością. Ale wiadomo, że ten świat odchodzi. *Yuwani* widzi, że biali pomiatają ich tradycją, dostrzega różnice, które dzielą.

> Biali ludzie nie rozumieją nas, wiesz. Mmm. Tak myślę. Próbuję im wytłumaczyć, o co nam chodzi, rozmawiam. Ale czasem sama już nie wiem. Może nie umiem myśleć tak jak oni?
>
> Biali ludzie przyjeżdżają do naszego kraju, biegają w kółko, depczą ziemię. Nasi nigdy nie chodzą tak jak oni. U nas wszyscy chodzą razem, jedną drogą, w jeden sposób. I razem opowiadają o swoim miejscu. Zawsze w jeden sposób. To nasze miejsce. Nasza ziemia. Nie pchamy się na inną. Nie chcemy tam chodzić. Starzy ludzie umierali za takie rzeczy, za tę ziemię.
>
> Mieliśmy czółna, wiesz. I nasz brzeg, mój, mojego ojca, ziemię i morze, żeby polować na żółwia i diugonia. A tamten brzeg należy do innych ludzi. Jak na mapie. My tu, oni tam.

Było nam dobrze, jak żyliśmy sami, spokojnie. Żaden obcy się nie kręcił. Mogliśmy żyć po swojemu. Tak było za dawnych dni, wiemy to od starych ludzi.

Chciwość niedobra rzecz. *Warrki*. Nie dajesz nic drugiemu. Biali zazdroszczą nam ziemi. Wszystko zabierają. Podoba im się, to biorą. Czarnuchy pilnują swego, tak mówią. Może to i prawda, co mówią. Że nie chcemy im dać tego, co mamy, bo to dobre. Tak mówią. Biali ludzie. Machałam ręką i zapominałam. Ale teraz to jestem wkurzona.

Wkurza mnie, bo nie dotrzymują słowa. Za dużo gadania, za dużo kłamstw. Białasy opowiadają różne rzeczy, przedtem ludzie tak nigdy nie mówili. To wszystko mówią biali ludzie, kłamliwi ludzie. „Damy wam to, damy wam tamto". I co? Nic. Tylko obiecują. Jeśli nie mogą dać tego, co obiecali, zapominamy, nie ma sprawy. Nie gniewamy się. Nie. Jest, jak jest.

Thelma również dostrzega przepaść pomiędzy dwoma światami. W jednym strzeże się własności, w drugim toleruje się grabieże. W jednym szanuje się zwyczaje, w drugim pozwala się je szargać.

Biali nie chcą zrozumieć. My, Aborygeni, chodziliśmy do ich szkół i rozumiemy ich zwyczaje. Kiedy zjeżdżają się turyści, od razu wiemy – no tak, to biali. Przyjeżdżają na ryby. Nie mówimy im, że to nasza ziemia, milczymy. Nie przeganiamy ich, niech sobie mają. Chcą łowić, w porządku. Bo to dla nich ważne, wiemy to ze szkół. Ze szkoły białych ludzi, wiesz. Rozumiemy ludzi. Tych z Europy też.

Ale my myślimy po swojemu. Czasem zastanawiam się, może to dobrze pozwolić im tu być, ale kiedy my idziemy do ich miast i chcemy coś robić, no wiesz, na przykład rozbić obóz, biali każą nam się wynosić. U nas jest inaczej. Jeśli ludzie zapraszają, to czemu nie, idziemy, ale na siłę się nie wpraszamy, mamy swoje. Jeśli szczerze

zapraszają, idziemy. Jeśli chcą, żebyśmy przyszli, możemy iść. Do tych europejskich ludzi. Ale czekamy, aż zaproszą.

Prawo należy do rodziców naszych rodziców. Biali nie rozumieją. Dostaliśmy je od naszych dziadów. I poniesiemy je dalej. Oni mówią, że powinniśmy żyć jak Europejczycy, ale my mamy nasze własne Prawo, według niego chcemy żyć. Nieważne, że chodziliśmy do ich szkół, i tak zostaniemy przy swoim. Wiesz. Prawo Aborygenów to bardzo mocna rzecz. Mamy je po dziadkach i ojcach. Mówimy o nim ludziom. Nawet tym z Europy, żeby wiedzieli. Ale nie rozumieją. „To bzdury, kobieto, daj sobie spokój", ciągle to słyszę. Ale to nie bzdury, bo to święta rzecz Aborygenów, ich rzecz. My słuchamy i szanujemy, co mówią biali. Kiedy opowiadają dobre rzeczy. Ale musimy pilnować swego. Nie stracić tego, nieść. Tak jak nasi dziadowie, ojcowie, co schodzili się na zgromadzenia, żeby być razem, i nie zaniedbywali ceremonii.

To ważne, kiedy ludzie się schodzili, nasi ludzie. Żeby być razem, śpiewać na ceremonii. Mieli mnóstwo różnych pieśni. Na ceremonię śmierci, kiedy ludzie umierali. Zabierali potem czaszkę do kraju, z którego pochodzili ci, co pomarli. Cała nasza rodzina tak robiła. I my też będziemy.

Determinacja, z jaką kobiety Prawa przechowują wspomnienia z dawnych czasów, jest czymś szczególnie wartym podkreślenia, biorąc pod uwagę fakt, w jakiej nędzy i zależności żyły przez ostatnie czterdzieści lat.

Zatrudnienie w przemyśle hodowlanym skończyło się, gdy biznes załamały susze i regulacje dotyczące płac minimalnych. Tylko nieliczni opuszczający farmy robotnicy wracali w swoje strony – zresztą tak naprawdę nie było już do czego wracać. Podtrzymujący obyczaje starzy ludzie opuszczali busz, przenosząc

się do miast, a młodych wysyłano do pracy w różne zakątki kraju, daleko poza granice plemiennych ziem.

Ludzie masowo napływali do Borrolooli. Także ci, którzy pojechali z Malandarri do miasta, kiedy obóz w buszu na drugim brzegu rzeki nie był już w stanie utrzymać wszystkich „zasiedziałych". Inni wracali z warzelni soli w Manangoorze. Wszystkim im odcięto drogę do ich dawnych miejsc, gdy ziemię Malandarri rozparcelowano i zaoferowano Europejczykom, a kontrolę nad Manangoorą przejęli hodowcy bydła.

Plemiona mieszały się i tłoczyły na niewielkim skrawku ziemi, nie dając sobie szansy na polubowne załatwianie sporów, które dawniej, w czasach wyraźnych granic, łagodzono poprzez obrzęd pojednania. A biali administratorzy umiejętnie manipulowali tymi konfliktami.

Władze robiły, co mogły, aby przyspieszyć rozkład więzi. Ziemie plemienne oddawano w dzierżawę właścicielom farm, co w praktyce oznaczało poddzierżawę na rzecz kopalni. Miasto Borroloola bez ceregieli zagarniało ziemie Yanyuwa, lekceważąc skomplikowany układ obrzędowych zależności i naruszając kruchą polityczną równowagę. Najazdy turystów pustoszących łowiska plemion dopełniały obrazu. Europejskie szkoły i szpitale zastępowały naukę i medycynę Aborygenów.

W latach siedemdziesiątych ludzie czuli się tu jak w pułapce, zepchnięci na skraj przepaści. Nic dziwnego, że popadli w całkowite uzależnienie od białych, alkoholizm i ubóstwo. Nie wiedzieli, jaki ruch wykonać, w przyszłość czy w przeszłość, bo miasto Borroloola nie miało ani sposobów, ani woli, by im coś zaofiarować. Panowało niemal stuprocentowe bezrobocie,

a samowystarczalność życia w buszu dawno przeszła do historii. Obowiązywał stary schemat, przećwiczony już na całym świecie przez europejski kolonializm – ekonomicznej dominacji, wywłaszczania autochtonów, marginalizowania ich w społeczeństwie, unicestwiania źródeł tradycyjnej wiedzy. Przedwczesne zgony, szalejące epidemie, hazard, picie i narkotyki – to wszystko, na co mogli liczyć Yanyuwa.

Rząd federalny i władze Terytorium Północnego przejęły obowiązki urzędów pomocy społecznej, kiedy w 1973 roku powstał pierwszy Departament do spraw Aborygenów. Miejscowym podobała się zmiana polityki państwa – odtąd ludzie mieli sami o sobie stanowić. Ale zdaniem krytyków idei samorządności położenie Yanyuwa uległo pogorszeniu, gdyż pomysł ten pojawił się o trzy pokolenia za wcześnie. Nadmiernie rozbudzono oczekiwania ludzi. Postawienie ich w sytuacji, w której musieli radzić sobie zupełnie sami, było błędem.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych straciliśmy Mussa i Williego, ojczyma Johna. Przy życiu zostali tylko nieliczni ze starszych. Większość cierpiała na niewydolność nerek, cukrzycę i choroby serca. Powroty nad zatokę coraz dotkliwiej uświadamiały nam rozmiary strat.

Johnowi ciążyła świadomość, że przez lata spędzone z dala od bliskich w wielkim mieście – przez lata walki z rozmaitymi uprzedzeniami i pokonywania barier – jego własna rodzina musiała cierpliwie znosić wszelkie ograniczenia. Z bosonogiego urwisa, który kopał szmaciankę na boisku domu św. Franciszka, stał się graczem reprezentacji stanu, powoływanym do drużyny narodowej, przymierzanym nawet do składów klubów Everton

i Arsenal. Starszy od większości kolegów, kilka lat pracował jako tokarz i mechanik, a potem dostał się na studia i uzyskał dyplom z historii i politologii. Był pierwszym aborygeńskim studentem w stanie, który ukończył uniwersytet. Zdezelowanym volkswagenem przemierzył Australię, aby namawiać ludzi do udziału w referendum 1967 roku. Dzięki temu, że ogromna większość powiedziała „tak" – tak przytłaczająca jak nigdy wcześniej ani później – Aborygeni zdobyli prawo głosu. A jeżdżąc po świecie jako stypendysta Churchill Fellowship, John zrozumiał, że naruszanie praw obywatelskich rdzennej ludności wszędzie wygląda podobnie. Tak zaczęła się jego walka na rzecz pokrzywdzonych. Mało kto równie żarliwie jak on bronił sprawy Aborygenów.

Na początku XXI wieku nadal dużo podróżowaliśmy. Pojechaliśmy z dziećmi na kraniec Ziemi Arnhema, na wybrzeże turkusowomlecznego Morza Arafura, obozowaliśmy w czerwonych wąwozach wzdłuż Gibb River Road, między położonymi na zachodzie Broome i Kununurrą. Podczas największego styczniowego żaru wybraliśmy się do Uluru z przystankiem w upalnym, obleganym przez komary mieście Coober Pedy[38]. Ta droga przez kraj była dla naszych dzieci otrzeźwiającym doświadczeniem. Przywilej wygodnego łóżka, trzech posiłków dziennie i rozmaitych możliwości, jakie daje przyjazna szkoła, kontrastował z nędzą, z której obrazem musiały się zmierzyć nad zatoką. Alkohol, bijatyki, baraki z dzieciarnią zasypiającą gdzie popadnie, byle schronić się przed nocą. A w środku – tętno Prawa, które wynosiło to życie ponad brud i ubóstwo materialnego świata

Borrolooli. Więź naszych dzieci z tradycją dawała im poczucie sensu i przynależności.

W końcu osiągnęliśmy to, do czego przez lata dążyliśmy – swoją własną, rozpoznawalną w świecie designu markę. W 1997 roku przenieśliśmy się z Adelajdy do Sydney, uznając, że potrzebny nam rozmach wschodniego wybrzeża. Z okazji nowego tysiąclecia miasto postanowiło udekorować flagami ulice centrum biznesowego. Radni poprosili nas o umieszczenie na nich rdzennych motywów. Żadne australijskie miasto nigdy się przedtem na to nie zdobyło. Plakaty naszego projektu pojawiły się również na otwarciu stadionu olimpijskiego w Sydney, a wzory studia Balarinji w roku olimpijskim promowały Australię w pięćdziesięciu miastach Stanów Zjednoczonych. Cała nasza rodzina razem z tłumem na stadionie i resztą kraju poderwała się z miejsc i zaryczała, gdy Cathy Freeman poniosła nas wszystkich na swoich szczupłych ramionach do upragnionego złota w biegu na czterysta metrów. Balarinji było pierwszym sponsorem Cathy.

Na kilka miesięcy przed rozpoczęciem igrzysk, zimnego 28 maja 2000 roku, inny projekt Balarinji znalazł się na sztandarach Marszu Pojednania – trzystu tysięcy ludzi, którzy przeszli przez Harbour Bridge w Sydney. Byliśmy twarzą tych, którzy domagali się przeprosin za krzywdy wyrządzone skradzionym pokoleniom, trzeba było jednak następnych ośmiu lat i zmiany gabinetu, żeby je wymusić. Kiedy wreszcie te pamiętne słowa padły, w lutym 2008 roku, cała nasza rodzina była w gmachu parlamentu w Canberze. John nie krył wzruszenia i satysfakcji, ale jak wielu innych zadawał sobie pytanie: „Co dalej?”. Zastanawiał się, co zrobi rząd, aby zabliźnić rany. Ja natomiast myślałam o ludziach

rozsianych po całym kraju, cierpiących ból wykluczenia, cierpliwie znoszących pogardę i obojętność. Odebrano im wszystko poza rodzinnymi więziami, choć i one rozpadały się na ich oczach. Słowo „przepraszamy” zbyt długo więzło w gardłach rządzących.

Tymczasem pokazaliśmy nasze kolekcje producentom porcelany w Luksemburgu, a w Nowym Jorku – linię patchworków. Spotkaliśmy się z Maorysami w Nowej Zelandii, z Indianami w Smithsonian Institute w Waszyngtonie i na ziemiach plemienia Pekotóww Connecticut. Z okazji swoich czterdziestych urodzin Australian Ballet zamówił u nas projekt strojów dla tancerek. Wyobrażające Sen Emu jasnobrązowe spódniczki obszyliśmy błyszczącymi dżetami przedstawiającymi krople deszczu. Pierzasta, skropiona deszczem chmura nad klasycznym czarnym tiulem symbolizowała ścieżki stworzenia i ceremonii. Stanik usialiśmy białymi cekinami, imitującymi ochrę malowideł, którymi pokrywano ciała przed *corroboree*. Z kolei w projekcie dla thinkpadów IBM użyliśmy stali nierdzewnej – tradycję zestawiliśmy z nowoczesną technologią. I nadal współpracowaliśmy z Qantasem, przenosząc do wnętrz samolotów Sen Wunali. Wirriyarra ze studia Balarinji, czyli „nasz dom”, jest wzorem tkaniny, z której linie lotnicze do dziś szyją ubrania dla swoich pracowników, tych w przestworzach i tych na ziemi. Widząc, jak tysiące ludzi noszą te stroje i dobrze się w nich czują, wiemy, że jesteśmy u siebie, wśród przyjaciół.

Zajęci współpracą z międzynarodową i australijską klientelą, ledwie zauważyliśmy, kiedy nadszedł kolejny przełom. W październiku 2006 roku nasza przyjaciółka i partnerka w interesach, Liz Gibbons z Art Gallery of New South Wales,

dowiedziała się, że Willie Williams, człowiek odpowiadający za efekty wizualne U2, chce wybrać aborygeński motyw jako oprawę jednej z piosenek podczas trasy koncertowej Vertigo. Williams powiedział jej, że Bono ma zwyczaj nawiązywać do tradycji kraju, w którym występuje. Po kilku wymienionych mailach i telefonach, dosłownie na kilka dni przed pierwszym koncertem, rzuciliśmy się w wir pracy. Od rana do nocy siedzieliśmy w studiu Tima Indigraph, animując komputerowo sekwencję obrazów Balarinji. W dniu koncertu w Brisbane nie mogliśmy doczekać się chwili, gdy na ekranach za plecami najsłynniejszej kapeli świata eksplodują kolory naszych grafik i animacje studia Indigraph. Gdy się w końcu pojawiły, ogarnęło nas podniecenie. To było jednak nic w porównaniu z tym, co nastąpiło później. Z siedemdziesięciu pięciu tysięcy australijskich gardeł wydobył się ryk entuzjazmu, kiedy obrazy ukazujące ich samych i ich kraj rozświetliły scenę, podczas gdy Bono śpiewał kultowy, proroczy hymn *Walk On*[39].

Ale to nie wszystko. Czekała nas jeszcze niespodzianka. Na tydzień przed ukończeniem grafik Tim podsunął Williemu Williamsowi myśl, że mógłby zagrać z U2 na *didgeridoo*. Willie tylko kwaśno się uśmiechnął, ale w niedzielę przed południem, na dwa dni przed koncertem, zadzwonił do Tima, prosząc go, by nastroił się w tonacji Cis-dur i natychmiast walił do Brisbane – Bono chciał przesłuchać naszego syna. Tak oto we wtorkowy wieczór Tim zagrał z zespołem ostatni kawałek. Wykonał go potem jeszcze siedem razy, na wszystkich koncertach Vertigo Tour. Był jedynym artystą, który wystąpił gościnnie z U2 podczas całej trasy.

– Powitajmy Tima Moriarty'ego! – ryknął Bono. – Jego ojciec należy do starszyzny australijskiego plemienia, a dziadek pochodził z małego irlandzkiego miasta, niedaleko mojego domu!

Zdawało się, że historia zatoczyła tej nocy wielki świetlisty krąg.

---

[35] Myszowór, zwany także myszą workowatą, to mały mięsożerny torbacz należący do niełazowatych, występujący niemal w całej Australii.

[36] Powieść i film opowiadają o przyjaźni chłopca z południowego wybrzeża Australii i pelikana.

[37] *Terra nullius* – tak w historii Europy określano terytoria pozornie niczyje, usprawiedliwiając podboje i rzezie. Termin ten sankcjonował również brytyjski najazd na Australię, a wyszedł z użycia dopiero w 1992 roku, kiedy oficjalnie potwierdzone zostały prawa Aborygenów do ich ziemi.

[38] Coober Pedy – miasto w Australii Południowej, znane z upałów. Większość ludności zajmuje podziemne mieszkania, które chronią przed gorącem.

[39] Piosenka ta, pochodząca z wydanego w 2001 roku albumu *All That You Can't Leave Behind* i poświęcona birmańskiej opozycjonistce Aung San Suu Kyi, zyskała nowe znaczenie po ataku terrorystycznym na World Trade Center.

9
RODZINA

li-malarnngu
Rodzina to kraj mojej duszy.

Rodzina jest pieśnią życia.
Prowadzi mnie przez kraj mojego przeznaczenia.

Dzień dziewiąty, sobota, 3 czerwca 2006 roku

Dzisiaj jemy na śniadanie co popadnie. Płatki i trochę mleka w proszku. Potem porządny łyk ciepłej herbaty z garnuszka. Wszystkim pilno już w drogę.

Robię jeszcze kilka zdjęć. Nadal nie jestem pewna, czy mój aparat działa. Mam nadzieję, że zdołam utrwalić chociaż twarze – z radością chłonące ciszę buszu. Twarze kobiet zadowolonych z wypełnienia Prawa.

Jedziemy Szosą Stuarta w stronę rozwidlenia. To miejsce pożegnań. Niektóre auta skręcają na południe, do Tennant Creek i Alice Springs. *Baba* Thelma pyta, ile mamy benzyny. Odpowiadam, że trzy czwarte baku. Mówi, że trzeba zatankować. Zbyt wiele nocy spędziła na poboczu drogi.

Docieramy do Daly Waters, do stacji benzynowej. Stąd skręcimy już na szosę, która zaprowadzi nas do domu. Siedzimy na trawie i jemy tosty. Annie zaczyna śpiewać obrzędową pieśń. Żal jej się z nią rozstawać.

– Ej! – woła w jej stronę Thelma Dixon. – Za dużo tu białasów!

– Mam to gdzieś – odpowiada Annie.

Wszystkie wybuchamy śmiechem. Reszta dołącza do śpiewaczki. Wspólnota to wspólnota. Za plecami Annie głośno i z mozołem pracuje silnik walca kładącego asfalt. Dwa światy powoli znowu zlewają się w jeden.

Mimi Caroline wraca z baru.

– Gapią się, cholerne białasy – mówi.

Jest zła. Chyba nie czuje się dobrze w tym miejscu. Caroline ma piękną twarz i naturalny wdzięk. Gdyby tylko ci biali faceci pożerali ją wzrokiem ze względu na urodę, ale gdzie tam. Wyraźnie widzę, jak z głupimi uśmieszkami wpatrują się w gromadkę czarnoskórych kobiet w czerwonych opaskach, siedzących na gołej ziemi.

Idę do baru, żeby kupić coś do picia. Zaczepia mnie mały chłopiec stojący przy drzwiach.

– Czy te czarne mnie zjedzą, jak podejdę?

Uśmiecham się i pytam, skąd ten pomysł.

Pokazuje palcem starszego mężczyznę tankującego benzynę. Może dziadka.

– On powiedział, że mnie zjedzą.

Pytam chłopca, czy go zapoznać z innymi kobietami.

– Nie – odpowiada. – Boję się.

– To moja rodzina – mówię.

– Ma pani może ładowarkę do takiego telefonu?

Wyjmuje z kieszeni motorolę. Nie wiem, czy jest prawdziwa, czy to tylko zabawka. Pytam, jak mu na imię.

– Brandon – oznajmia.

– Ile masz lat?

– Siedem.

– A skąd jesteś, Brandon?

– Z Busseltonu.

Mówię mu, że ma jeszcze daleko do domu.

Pół godziny później, gdy wracam do samochodu, chłopiec podchodzi jednak do Annie.

– Jak się masz, chłopaczku? – pyta go z uśmiechem *yuwani*.

– Jak ona się nazywa? – Brandon pokazuje palcem Thelmę.

– To pani Douglas – oświadczam. – Przywitasz się?

– Dzień dobry, pani Douglas.

No i proszę, Brandon. Jakoś cię nie zjadła. Nic ci nie grozi. Ani twojej rodzinie z Busseltonu.

Opuszczamy Daly Waters, kierując się na Heartbreak, ostatni przystanek przed Borroloolą. Mijamy dwa psy dingo z błyszczącą złotawą sierścią. Siedzą po obu stronach drogi, wypatrując zdobyczy.

– Mąż i żona – zauważa Thelma.

Trzymetrowy *bubunarra*, pyton czarnogłowy, pełznie przez szosę, kilka metrów przed maską naszego samochodu. Setki różowo-szarych kakadu wzlatują stadami znad pobocza. Czarny wąż spręża się, gotów do natarcia na podwozie nadjeżdżającego z naprzeciwka auta. Rozmawiamy o skorpionach, które

znalazłyśmy pod plandekami podczas zwijania obozu. To ziemia dla twardych ludzi.

Na postoju w Heartbreak, przy Cape Crawford, są już tylko cztery samochody. Z resztą, po dopełnieniu obrzędu pożegnania, rozstałyśmy się po drodze. Borroloola to najbardziej oddalona ze wspólnot. Na autach wciąż widnieją odciski naszych palców. Na głowach nadal mamy czerwone opaski. To znak przynależności, symbol Prawa, ochrona przed potężnymi mocami Snu.

Annie, Dinah i Thelma śpiewają cicho, gdy przemierzamy ostatnie kilometry autostrady. Zjeżdżam na czerwony żwir przy brzegu drogi, żeby przepuścić pędzące z hukiem ciężarówki.

Zatrzymujemy samochody na obrzeżu Borrolooli. Kobiety głośno zastanawiają się, co robić. Annie chce jechać prosto do obozu Yanyuwa. Kłopot w tym, że nikt nie wie, że przyjeżdżamy. Walec drogowy zerwał podziemne kable i w całym mieście wysiadły telefony. Kobiety martwią się, że nikt nie będzie gotów. Ich obowiązkiem było powiadomienie ludzi o powrocie. Zapowiedzenie dnia i godziny przyjazdu. Tak każe Prawo. Inaczej naraża się wspólnotę na choroby.

Po krótkim namyśle jedziemy w stronę boiska piłkarskiego. To tam powinni zebrać się ludzie, żeby nas powitać, tak jak to było w Kalkaringi. Ale nikogo z naszych nie ma. Zamiast tego mecz futbolu australijskiego. Przeważnie bosi czarni chłopcy, szybcy jak błyskawica, kilku w butach i dwóch albo trzech białych. Sędzia biega po boisku, a pod drzewami siedzą widzowie.

Annie nie ma ochoty czekać.

– Żadnego szacunku – prycha. – Śmieją nam się w nos.

– Nie możemy wracać do domu – sprzeciwia się *kathakatha* Nancy. – Bo przyjdzie śmierć i choroba.

Na zgodę znów rozlega się pieśń. Dźwięki wylewają się przez niedomknięte okna samochodów. Trudno, trzeba wypełnić Prawo do końca. Kilku gapiów, usłyszawszy śpiew, spogląda w stronę aut. A mecz piłkarski toczy się w najlepsze.

Jedziemy jednak w stronę miasta. Annie wygląda, sprawdzając, czy ktoś czeka.

– Nikogo nie ma? – pyta i trudno powiedzieć, czego w jej głosie więcej: pytania czy oskarżenia.

Zatrzymujemy się przed domem Dinah. Annie wychodzi z auta i siada na ziemi, trzymając pałeczki do wystukiwania rytmu. Przysiadamy obok niej, a gdy zaczyna śpiewać, klaszczemy i wystukujemy rytm.

Wreszcie jacyś ludzie pojawiają się w drzwiach domów, jedna z kobiet trzyma na biodrze dziecko. Zaczyna się wymiana uścisków dłoni. Nieustannie napływają nowi. To już prawdziwa rzeka ludzi. Śpiewy nie milkną. Mężczyźni odwracają wzrok od twarzy kobiet. Starcy, chłopcy, dziewczęta, małe dzieciaki. Wszyscy podchodzą, by powitać krewne wracające z ceremonii.

Nagle widzę, jak Annie chwyta dłoń jednego z młodych mężczyzn. Chłopak ma na sobie T-shirt z Eminemem. Jego oczy patrzą gdzieś w przestrzeń. Takie Prawo. *Yuwani* uśmiecha się, łzy spływają jej po policzkach. Bierze się jednak szybko w garść. Potem mówi do mnie:

– Przyszli, czekali. Jednak szanują Prawo.

Jest szczęśliwa. Przeszło setka Yanyuwa zeszła się, by uroczyście otworzyć drzwi kobietom ceremonii. Odtwarzacze DVD,

kaseciaki chłopaków, nawet picie, wszystko idzie na bok. Na kilka chwil ta mała społeczność znów się jednoczy.

Potem jedziemy do obozu Garrawa, gdzie tylko jedna rodzina podchodzi, aby uścisnąć nam dłonie. Kobieta, mężczyzna i dziecko. A jednak śpiewamy, jakby witały nas tysiące ludzi.

Moje towarzyszki są zadowolone, że wypełniły swoją powinność. Teraz mogą wrócić do domu.

Jadę z powrotem do baru z jedzeniem na wynos na przedmieściu. Kilka godzin wcześniej stał tam samochód Johna. Miałam nadzieję, że mąż mnie zobaczył i że pojedzie za nami do obozu. Ale na parkingu nie ma już wozu. Jestem rozczarowana i trochę mi niemiło. Tęskniłam za nim, a poza tym zaczynam odczuwać ciężar dwóch dni za kierownicą i tygodnia pełnego przeżyć. Powoli zachodzi słońce i złości mnie myśl o godzinie samotnej jazdy do kopalni. Muszę oddać samochód. Jestem jednak pewna, że nie zdołam zmienić koła, jeśli jedna z zapasowych opon, które założyłyśmy w drodze, nawali, a telefony nie działają. Przypuszczam, że John odjechał, sądząc, że spędzimy następną noc poza Borroloolą. Mało prawdopodobne, że będzie mnie szukał. Czuję się nieszczęśliwa.

Jadę tak szybko, jak tylko można w zapadającym zmroku, ale gdy docieram do kopalni, jest już ciemno. Cała jestem w czerwonej ochrze i czerwonym pyle. Strażnik mruczy coś obelżywego na temat „brudu” na karoserii. Zaczynam tłumaczyć, że to obrzędowa farba, ale po chwili daję spokój. Potem skręcam nie tam, gdzie trzeba, zawracam i wreszcie odnajduję drogę do hangaru. U wejścia stoi John. Ogarnia mnie radość na jego

widok, z wyrzutem pytam jednak, dlaczego nie czekał w mieście. Mówię mu, że padam z nóg.

– Powiedziały, że nie mogę cię zobaczyć. Co miałem robić? Musiałem zawrócić.

Kobiety znowu pomyślały o naszym bezpieczeństwie, moim i Johna. Mąż twierdzi, że wyglądam na spokojną, odmienioną i szczęśliwą. Dziękuję mu za to, że pomógł mi zrozumieć, co naprawdę znaczy miłość dla Yanyuwa. Opowiadam, jak kobiety wciąż opłakują jego stracone lata. Kiwa głową i też jest bliski łez.

– Są takie kochane – mówi.

Dzień dziesiąty, niedziela, 4 czerwca 2006 roku

Minął tydzień ceremonii. Myślami jestem znów przy książce. Podczas tych siedmiu dni niewiele było czasu na pytania. A w drodze do domu wszystkie byłyśmy zmęczone. Złe drogi zmuszały mnie do skupienia na jeździe. Po powrocie potrzebowałyśmy też trochę czasu, żeby ochłonąć. Podzielić się tym tygodniem z innymi. Przetrawić emocje.

Wiem na pewno, że gdyby nie ten tydzień, nie byłoby sensu pisać żadnej książki. Przypadek sprawił – a może przeznaczenie? – że znalazłam się w Borrolooli właśnie przed ceremonią. Że mogłam poczuć duchową więź tych kobiet, usłyszeć ich nawoływanie o świcie, dzielić z nimi rytuał, wsłuchiwać się w sugestywny, nasycony znaczeniami język.

Annie zgodziła się na jeszcze jedno spotkanie. Można będzie pogadać o książce, zrobić trochę zdjęć. Razem z Johnem podejmuję ją obiadem. Są też Thelma, Dinah, Elizabeth, Rosie i Jemima.

– Jem powoli, *yuwani*. Zęby już nie te – usprawiedliwia się Annie.

– Nie ma sprawy – pocieszam ją i rozkrawam awokado. – Spróbuj tego. To miękkie. Będzie ci smakować, zobaczysz.

Smakuje jej. Nigdy przedtem nie próbowała. Elizabeth też zajada z apetytem. Pyta mnie, jak wyhodować owoc. Mówię, żeby w dwa boki pestki wbiła patyczki – mogą być wykałaczki – i zanurzyła pestkę w szklance wody, tak, żeby patyczki opierały się o brzegi naczynia. Pestka powinna być zanurzona w wodzie tylko do połowy, szpicem ku górze. Gdy pojawią się korzonki, trzeba przesadzić pestkę do doniczki. Po kilku tygodniach z ziemi wyjdzie kiełek roślinki.

Kobiety grzeją się na słońcu. Ja siadam w cieniu, żeby się ochłodzić. John odjeżdża, nie chcąc przeszkadzać nam w rozmowie.

Zastanawiam się, o co zapytać. Kulturowa przepaść jest tak wielka, kobiety są tak małomówne, że nie wiem, od czego zacząć. Miłość, prawda, cel, przynależność, współodczuwanie... to rzeczy najważniejsze, które wszyscy rozumiemy. Rozprawiamy o szczęściu, smutku, opłakiwaniu bliskich i pieniądzach. Właśnie o to chciałam pytać.

> Naszym największym szczęściem są wnuki, bo rodzice w ogóle się nimi nie zajmują. Kochamy je, nie zależy nam na pieniądzach – urodziliśmy się bez nich, teraz też nie mamy żadnych i umrzemy, nie widząc ich na oczy. Gorzej, że nie będzie komu zostawić Snu, bo nasze dzieci nie potrafią słuchać.

To, że dzieci nie potrafią „słuchać”, że nie są ciekawe kraju wokół nich i kraju w ich umysłach, zamyka im drogę do szczęścia. To zasmuca kobiety. Ale zostają jeszcze wnuki.

Biografie kobiet Prawa Yanyuwa są przykładem na to, jak to, co ogólne, splata się z tym, co jednostkowe. Być może klęska, jaką poniósł Departament do spraw Aborygenów, byłaby łatwiejsza do zniesienia, gdyby nie wpływała na życie bliskich nam osób – takich jak Annie, Thelma, Dinah czy Jemima. Mimo że reszta Australii nigdy ich nie usłyszała, głośno domagają się lepszej przyszłości. Thelma mówi, że chodzi jej o wnuki, bo życie ich synów i córek zostało zniszczone przez alkohol i brak nadziei.

> Dzisiaj wszystko się zmieniło, wiesz. Jak Europejczycy piją, to nie szukają zwady, nie pchają się do bitki. A nasi, jak wypiją, od razu biorą się za łby. Piją ten alkohol białych i rozrabiają. Niedobrze. Tak, chlanie to bardzo zła rzecz dla wspólnoty. Widzimy, że nie umieją zająć się dziećmi, że nie gotują dla nich i dzieciaki chodzą spać głodne. Nie wiedzą, jak posyłać je do szkół. Bardzo niedobrze. Dziadkowie namawiają do nauki, a to przecież sprawa rodziców. Dzieci nie mają już rodziców. Źle.
>
> Dziadkowie opiekują się wnukami, bo ojcowie i matki ciągle piją. I nie wracają, żeby dać dzieciakom jeść. Ani obiadu, ani kolacji. Bo do rana siedzą w barze. Cały czas zajmujemy się dziećmi. Chodzimy przy nich, gotujemy, zabieramy do obozów. Nie chcą zostawać z matką ani z ojcem, bo to dziadkowie się nimi opiekują, dziadkowie są dla nich najważniejsi, tak myślę.
>
> Trzymamy się razem, my i wnuki, bo do tych barów przychodzą też ludzie, co to zabijają za byle co, wiesz. Mogą uderzyć dziecko. No więc robimy za ojców i za matki. Jesteśmy rodziną, bo u nas wszyscy są razem. Widziałaś zresztą. Zawsze razem. Wnuki, pierwsza rzecz

w naszym życiu. Jeśli cierpią przez ojca albo matkę, bierzemy je do siebie. I zostają z nami. Tak.

Jemima zgadza się z nią całkowicie.

Bo my kochamy nasze wnuki, syna i córkę też. Każdego. Dla nich wszystkich nasza miłość. I dla innych też.

Nie chodzi jej tylko o najbliższych krewnych. Związki skóry zespalają całą społeczność, bez względu na pokrewieństwo. W jedną rodzinę łączą też Yanyuwa ich przywiązanie do ziemi, wspólnie przemierzane ścieżki ceremonii, pieśń i rytuał.

Thelma uważa, że uczenie się zwyczajów Aborygenów i Europejczyków może iść w parze. Nie ma też nic przeciwko zmianom, dzięki którym ludzie sami będą decydować o swoim życiu.

Tak, to dobrze, że jeżdżą na treningi i do szkół, że grają w futbol. Cieszymy się, że uczą się od innych.

Dla nas najważniejsze, żeby chodzić do buszu, na polowanie, na ryby. To jak święto. Przywozimy trochę ryb dla naszych wnuków, synów i córek.

Mamy gdzie mieszkać, ale czasem jest z nami rodzina, a ona też powinna mieć swój dom, osobny. To źle dla ludzi, kiedy się tłoczą. Są też dzieci. I wnuki. Nie ma dosyć miejsca. Przydałby się większy dom. Niektórzy z nas mają, ale inni nie. Nie mieli nigdy domu. Annie na przykład. Nie ma domu. A w naszym przecieka woda, wszędzie, rury pękają. Źle dla ludzi. Bardzo źle.

Nie mamy nikogo, żadnej silnej władzy, mocnych ludzi, takich, co zawiozą dzieci do szkoły, dopilnują. Mówimy, że trzeba iść do szkoły,

a one idą pół drogi i wracają. I od razu nad rzekę! Uciekają, wiesz, nie lubią szkoły. Ze dwóch albo trzech mężczyzn powinno zabierać je do szkoły, przypilnować. Byłoby dla nas lepiej, gdyby były w szkole. Łatwiej dla nas, starych, rozumiesz. Nie chcemy, żeby cały dzień siedziały w obozie, próżnowały, dziczały. Od tego są rodzice, żeby je nauczyć czytać i pisać, mówić dobrze po angielsku. Przypilnować. Posłać do szkół. A tak bieda. Źle dla dzieci. Namawiamy naszych młodych mężczyzn, żeby stali twardo za dzieciakami, posyłali do szkół. Żeby nauczyły się różnych rzeczy jak my.

Alkohol zła rzecz. Kupują go i od razu biorą się za łby. Próbują się, kto lepszy. A potem idą do szpitala, smutno nam, ale to ich wina. Biją kobiety, bardzo zła rzecz. A dzieci płaczą, wszędzie je słychać, bo matki i ojcowie robią takie rzeczy. Niedobrze, bardzo niedobrze. I nie ma mocnego, co by wstał i powiedział, że źle, jak piją. Wstał i powiedział przed wszystkimi. Całą prawdę. Nam, kobietom, to się nie podoba. Dzieciaki włóczą się po mieście, więc musimy je nakarmić, wiesz. Żal dzieci. Wszystko nie tak.

Annie ujmuje to prościej:

Chodzi o to, że żyjemy w świecie białych. Tak to widzę, koniec, kropka.

Thelma uważa, że młodzi w ich wspólnocie są głusi na słowa starszych.

My nie pijemy i nie lubimy tych, co piją, bo marnują pieniądze, które są dla dzieci. Tak to wygląda. Zabierają wszystkie pieniądze, które rząd daje im na dzieci. Wydają na alkohol. Niektórzy mają dużo dzieci, mogliby kupić dużo jedzenia, żeby nie chodziły głodne. Ale wolą wydać na picie. A to pieniądze dzieci, rodzice muszą być dla

dzieci, wiesz. Tego byśmy chciały. Żeby pilnowali pieniędzy i kupowali różne rzeczy dzieciom. Dużo jedzenia, żeby wystarczyło do piątku albo nawet do poniedziałku. Nie wiem, dlaczego muszą ciągle pić. Nie możemy ich powstrzymać. Bo wtedy mówią: „To nasza sprawa. Nie wtrącajcie się". Tak mówią.

Nie możemy im przemówić do rozumu. Powiedzieć, co dobre, a co złe. Nie słuchają. Zawsze słyszymy: „To nasze życie", „Nie będziecie nam mówiły, co mamy robić". I koniec. Dobrze by było, gdyby pracowali. A tak co? Biorą pieniądze i tego samego dnia już są nawaleni albo następnego. A my chcemy, żeby pracowali, zamiast cały czas pić. Tego chcemy. Powinni pomagać starym ludziom, w obozie, budować szałasy, żeby maluchy miały cień. Dzieci, wiesz, powinny mieć też boisko do gry w piłkę.

Ale cały czas to samo. Picie i szarpanina. Tłucze taki żonę, żona ląduje w szpitalu. Biją się z innymi gościami, myślą, że potrafią lepiej przyłożyć, a wszystko przez alkohol. Chcą być ważni. Czasem im mówimy: „Odpuść". I co? Ciągle to samo: „To jest moje życie". Bez przerwy, szkoda słów.

Jemima opowiada o bijatykach w barze, zanim zamknięto hotel. Uważa, że to lepiej, że teraz ludzie mogą kupować tylko piwo na wynos, w sklepie. Któregoś dnia z przerażeniem zauważyłam, że żółte kartony z puszkami na półkach spożywczaka mają napis PLEMIENNA DUMA. W jakim chorym umyśle mogło się ulęgnąć coś podobnego?

Lepiej teraz, jak hotel zamknięty. Duża zmiana. Sklep otwierają o dwunastej, a alkohol sprzedają tylko do szesnastej. Potem koniec. Zamykają. Naprawdę dobrze. Bo kiedy kupują alkohol w sklepie, to nie ma hałasów i bójek. Najwyżej mąż i żona wezmą się za łby i to wszystko. Można naprawdę pospać, bo w nocy cisza. Dobrze, że

zamknęli bar. Bo jak znowu otworzą, ludzie będą pić w barze, a wtedy łatwo o bijatykę. W barze zawsze łatwiej.

My tam nie chodzimy. To nie dla nas. Ale inni zachodzą, żeby pilnować dzieci. Chłopaków i dziewczyn. I zaczynają się lać. Wszyscy okładają się, czym popadnie, przeklinają, cały naród klnie. Strach słuchać.

Zawieszenie działalności baru nic jednak nie dało. Dyrektor miejscowej szkoły stwierdził w swoim sprawozdaniu, że w pierwszych trzech miesiącach 2009 roku w Borrolooli sprzedano osiemdziesiąt tysięcy litrów piwa. W ten sposób przepito pieniądze wyasygnowane przez rząd w ramach narodowego pakietu na rzecz pobudzenia przedsiębiorczości i stworzenia nowych miejsc pracy. Osiemdziesiąt tysięcy dolarów kosztowało naprawienie szkód powstałych na skutek aktów wandalizmu. Sto pięćdziesiąt tysięcy wydano na bariery odgradzające lokalną społeczność od intruzów.

Jemima chce, żeby kształcono dzieci. Żeby dano im szansę znalezienia pracy i stworzono perspektywy na przyszłość. Chce jakiegoś wyjścia z sytuacji, w której ludzie nie widzą sensu życia.

Dobrze by było, żeby moje wnuki pracowały, codziennie chodziły do szkół i uczyły się tych rzeczy białych ludzi, wiesz. A potem szły na studia, żeby wiedzieć jeszcze więcej, żeby pomóc ludziom z plemienia. Powtarzam swoim wnukom, że szkoła jest najważniejsza, trzeba codziennie być w szkole, żeby uczyć się czytać i pisać. Wtedy wie się o wszystkim, poznaje się prawo białych. Ale trzeba chodzić do szkoły, a później na uniwersytet, codziennie.

Bo jak wrócą z tych szkół i uniwersytetów, będą mogły odpowiadać na pytania tych z rządu, kiedy tu przyjadą. Jak u nas jest i w ogóle.

Tak jak córka Amy, ta, co umarła. Tylko ona potrafiła odpowiadać na pytania, co nam biali ludzie zadawali. Potrzebujemy takich, co objaśniają słowa białych starszyźnie. Ale do tego daleko. Nie mamy młodych na uniwersytetach. Tylko w Kormilda College. A przecież mogą iść dalej, na studia, do Darwin, Brisbane i Melbourne. Ale nie idą, bo po szkole zaczynają pić. Za dużo alkoholu. Ludzie stąd nie zatrudniają młodych. Cała młodzież pije, bo nie ma pracy. Można by kształcić młodych ludzi. Na murarzy albo mechaników. Po szkole wracaliby tu, nauczeni, jak trzeba, a potem dalej się uczyli. Na uniwersytetach. Dobrze się wyuczyli, żeby nam pomagać.

Martwi się, że tak wielu ludzi z jej społeczności choruje.

Umierają wcześnie. My w buszu chorowaliśmy tylko na grypę. I na nic innego. Ale teraz, kiedy jedzą te rzeczy białych ludzi, wszyscy chorzy. Jak człowiek umiera, doktor nie powie ci dlaczego. „Nie wiem, co zaszkodziło pani synowi" – tak mówią, wiesz. „Pani syn coś tam miał" – mówią. I nie wiesz, co się stało. Nie mówią nam. Nie wiemy, na co zachorował. Nie mówią matkom.

Nawet lekarze nie mówią ludziom. Nie powiedzą ci, co masz w środku. Jak wracasz z rentgena, lekarz patrzy i nie mówi, co jest nie tak. Ty nie musisz wiedzieć. Przedtem nikt nie chodził do szpitala. Żyliśmy długo na tym, co było w buszu, zdrowo żyliśmy. Nic nas nie bolało, nie mieliśmy żadnych chorób.

Jemima chciałaby znów mieszkać w buszu, ale wie, że to niemożliwe.

Podobało mi się życie w buszu. Tam mi było lepiej. Spokojnie, cicho. Dużo radości. Dobrze było w buszu, bo rodzice nas uczyli. W mieście głośno, ludzie krzyczą, piją od rana do wieczora. Nie

wysiedzisz minuty w ciszy, hałas, za dużo samolotów, samochodów, maszyn grających, pijani w autach jeżdżą w kółko, tam i z powrotem. Dobrze byłoby nam w buszu. Usiąść i patrzeć, jak skaczą kangury. W buszu życie lepsze. Ale nie ma jak pojechać. Nie mamy wozu ani czółna. My, kobiety, też wiosłowałyśmy. A teraz nie mamy nic.

Thelma opisuje zanik dawnych obyczajów.

Śpiewali dla nas. Wszyscy nasi starsi. Mieli pieśń.

Uczyliśmy się od starych ludzi i chcemy uczyć młodych. Ale nie chcą słuchać, wiesz, nie szanują nas. Nie szanują, to znaczy, że nie chcą być z nami, unikają nas. Nie wiedzą, o czym śpiewamy. Ale jak Europejczycy tańczą, to nogi same im się rwą. Disco. Tylko to znają. Ale nasze *corroboree*, wspólne tańce, kiedy śpiewamy na obozach, to nie, gdzie tam. Nikt nie przyjdzie, smutne, bardzo smutne. Jaka to by była dla nas radość, gdyby przyszli i zobaczyli, jak śpiewamy. Źle, że nie uczą się swoich zwyczajów, tylko tych europejskich. Bo mogą uczyć się jednych i drugich, nie? Tego chcemy. No ale swoje zwyczaje, nie cudze, muszą pokazać dzieciom.

Annie wie, że ona sama się starzeje i że świat ich wnuków nie będzie dobrym światem.

Nikt mnie nie przestraszy. Bo jestem twarda kobieta, mocna. Zawsze byłam silna, od samego urodzenia.

Dobry był człowiek, mój mąż. We wszystkim mi pomagał. W naszym obozie zawsze porządek, żadnych śmieci. Wszystko doczyszczone, mąż dbał. W Wardawadali mieszkaliśmy na farmie, w bydlęcych czasach. Noszę w sercu mojego męża. Bo on był dobry dla mnie. Mmm. A co się naharował. Zrobił nam szałas, wiesz,

w starym obozie w Malandarri, żebyśmy mogli mieszkać. I czółno. Sam zrobił. Mocne, takie jak teraz w Sydney, co mówią na nie kajaki. Robiliśmy je w górze rzeki. On był z ostatnich, co je robili, a potem koniec. Ostatnią łódź zrobił. Dużo narodu je robiło, te czółna. Ale wszyscy pomarli. Potem to tylko już mój mąż. Ostatnią zrobił. Mmm. Nikt teraz nie umie. Mój mąż był dobry do roboty. Naprawdę.

A teraz co? Nic nie mogę sama zrobić. Takie moje życie. Czekam tylko, aż dzieciaki zrobią za mnie wszystko, widziałaś sama. Tak. Moje wnuki, córka Johnny'ego i wnuki od córki mojej córki. Carly, Jay Jay, Melita, wszystkie. Nie dam rady ponazywać. Za dużo ich. Dobre dzieciaki. Przynoszą mi herbatę i jedzenie do łóżka. Słaba jestem na stare lata. Nie wiem. Czasem daję radę. Czasem nie.

Wszystkie moje dzieciaki rozjechały się do szkół. Co do jednego. W czas opieki, kiedy przyszli ci z zasiłkami. Nikt nie został. Rozjechali się w różne miejsca. Do Darwin, do Kormilda College. A wnuki nie słuchają. Co innego moje kobiety. Mówię, że robimy to i to, to rzucają wszystko i od razu robią. A ja się cieszę. To ja decyduję o ziemi, bo ja jestem szefową. Ale za tymi młodymi to się nie dojdzie.

Trzydzieści lat temu było w regionie dwustu ludzi mówiących w języku Yanyuwa. Dzisiaj jest ich może dziesięciu, może trochę więcej. Nietrudno sobie wyobrazić, co stanie się z językiem, kiedy ci ostatni umrą. Zginie, jak ponad trzy czwarte z około trzystu narzeczy używanych w całej Australii w czasie, gdy na kontynent przybyli Brytyjczycy. Dzieci nie palą się do życia według starego obyczaju i ze słów Annie wynika, że jedynie średnie pokolenie, które ma dziś od czterdziestu do pięćdziesięciu lat, wie jeszcze co nieco o życiu w buszu, o tym, co można znaleźć i upolować na

plemiennych ziemiach. Z duchowego dziedzictwa Snu zachowało jednak tylko kilka oderwanych słów.

Ludzie opuścili swój dawny świat, nie potrafili się jednak włączyć w główny nurt australijskiego życia. Pogrzebali stare, nie odnajdując się w nowym. Pod koniec pierwszego dziesięciolecia XXI wieku to podwójne wykluczenie doprowadziło do dramatycznych dysproporcji widocznych we wszystkich statystykach. Nie istnieje coś takiego jak jedna „ludność aborygeńska". Rozwarstwienie dotyka wszystkich. Wszędzie można też znaleźć ludzi, którym się powiodło. Najniższy wspólny mianownik jest jednak dość przygnębiający.

Aborygeni z odległych terytoriów umierają młodo, średnio siedemnaście lat wcześniej niż inni Australijczycy. Mężczyźni dożywają przeciętnie sześćdziesięciu, kobiety sześćdziesięciu ośmiu lat. Sytuacja w miastach jest tylko nieznacznie lepsza. Według Światowej Organizacji Zdrowia to największa na świecie dysproporcja w krajach posiadających ludność rdzenną i napływową. Umieralność czarnych noworodków jest trzy razy większa niż białych. Aborygeni dwa razy częściej mają zawał serca i trzy razy częściej cukrzycę w wieku trzydziestu i czterdziestu lat. Przechodzą choroby zakaźne dwanaście razy częściej niż reszta społeczeństwa. I to wszystko pomimo tego, że na ich leczenie wydaje się osiemnaście procent więcej – nieco ponad trzy miliardy dolarów rocznie.

Podgrzewana alkoholem przemoc, którą opisuje Thelma, jest czymś powszechnym. Jedna czwarta Aborygenów pada ofiarą gwałtów i rozbojów, jedna piąta ma kogoś z rodziny w więzieniu. Prawdopodobieństwo, że Aborygen wejdzie w konflikt z prawem,

jest dwadzieścia razy większe niż w przypadku białego. Ponad czterdzieści procent rodzin w odległych regionach kraju mieszka w przeludnionych domach, w warunkach zagrażających zdrowiu. Z dwu- i trzypokojowych mieszkań, w których żyje więcej niż dziesięć osób, osiemdziesiąt procent należy do Aborygenów.

Bezrobocie wśród rdzennej ludności jest trzy razy wyższe, a dochody rodzin, w których ktoś pracuje, są o czterdzieści pięć procent niższe od średniej krajowej. W raporcie *National Assessment Program in Literacy and Numeracy* z 2008 roku czytamy, że tylko co trzeci aborygeński ośmiolatek spełnia kryteria minimalnego standardu edukacyjnego dla australijskiego dziecka. Statystyki obejmują miasta, można zatem założyć, że w buszu statystyki będą jeszcze gorsze. Analfabetyzm szerzy się wśród nastolatków, a z tych, którzy kończą szkołę średnią, tylko nieliczni dostają się na studia. W ten sposób utrwala się społeczna i ekonomiczna nierówność. Annie, Thelma i Jemima, domagając się lepszej przyszłości dla wnuków, wiedzą, co robią. Rozwiązanie problemów tego pokolenia już wkrótce stanie się palącą kwestią: czterdzieści procent wszystkich Aborygenów nie ukończyło piętnastego roku życia. Obecnie liczba dzieci do czterech lat jest dwukrotnie wyższa w tych społecznościach od liczby ich białych rówieśników. A wskaźnik urodzeń dwukrotnie przewyższa średnią krajową.

Ze spisu ludności z 2006 roku wynika, że w Australii żyje niewiele ponad pięćset tysięcy autochtonów – to dwa i pół procent w skali kraju. Siedemdziesiąt procent mieszka poza dużymi miastami, często na granicy ubóstwa. Od dziesięcioleci trwa debata na ich temat – o sytuacji Aborygenów dyskutują

biurokraci, politycy, agencje doradztwa publicznego, urzędy opieki społecznej, ekolodzy, rady właścicieli ziemskich, prawnicy, organizacje humanitarne, Kościoły, ludzie biznesu i cała reszta. A jednak w buszu niewiele widać zmian na lepsze. Stagnacja albo regres – oto, co się bardziej rzuca w oczy.

Niektórzy Aborygeni w ogóle nie znają swoich korzeni. Inni jeszcze coś pamiętają, ale nie żyją według starych zwyczajów. Kraj Snu trzeba przewędrować, nie wystarczy abstrakcyjna wiedza. W zasypanie tej przepaści pokolenie Annie przestaje wierzyć. Przepaści oddzielającej czas prawdziwej wspólnoty od czasu wnuków nierozumiejących opowieści dziadków. Ci młodzi Australijczycy, zawieszeni w pustce oddzielającej dwa światy, mają niepewną przyszłość. Są straconym pokoleniem, czekającym, aż kraj ich wezwie.

Aborygeni powtarzają, że chodzi im przede wszystkim o ziemię. Ale co zmieni jej odzyskanie? Czy pozwoli zachować prawa do resztek czegoś, co pozostało z tradycji i nieustannie na naszych oczach się rozpada? Czy raczej pozwoli na ekonomiczne współuczestnictwo, pokonywanie barier związanych z długotrwałym procesem ubezwłasnowolniania przez instytucje opieki społecznej? Australijskie sądy żądają świadectw znajomości rytuałów i tytułów własności do plemiennych ziem. Yanuywa mają słuszne powody przypuszczać, że jest to farsa, którą biali mogą odgrywać jeszcze bardzo długo: dwieście lat polityki wywłaszczania dawno zatarło większość dowodów, które można by przedstawić. Sprawiedliwość społeczna przemawia za tymi ludźmi, których więzi z ziemią są faktem historycznym, tak jak, niestety, faktami są też upływ czasu i blaknące wspomnienia.

A co począć z wielkimi obszarami Australii, na których język i tradycyjna kultura prawie wyginęły? To, że ludzie żyją dzisiaj inaczej, nie oznacza, że przestali być Aborygenami. Przed zdającą test dojrzałości Australią staje zadanie postawienia najważniejszych pytań. Jedno z nich brzmi: czy jesteśmy zdolni współodczuwać z tymi ludźmi, uznać ich tożsamość?

Zwykli Australijczycy coraz częściej chcą szukać odpowiedzi. Żałują, że wcześniej nie doszło do pojednania, że przeprosiny przyszły tak późno, są otwarci na dialog.

Rozziew między „nimi" a „nami", spowodowany przez kolonialną przeszłość, w której, jak poetycko i powściągliwie ujmują to Yanyuwa, nie udało nam się porozumieć, w której jedna strona nie mówiła językiem drugiej, nadal istnieje. Jeszcze nie naprawiliśmy dawnych krzywd, a już popełniamy nowe. Rząd nie bardzo wie, co robić, a poprawność polityczna po obu stronach rasowego muru utrudnia porozumienie. Koalicje się zmieniają i ci, co dotąd byli sojusznikami, nie muszą nimi być w przyszłości: niektórzy ekolodzy, zwolennicy parków narodowych na ziemi i na wodzie, chcieliby odebrać Aborygenom ich ziemię, jak przedtem ranczerzy. Zależność od opieki społecznej trwa, odpowiedzialność rozmywa się w usprawiedliwieniach i wymówkach.

Jedyne rozwiązanie to równowaga pragmatyzmu i empatii – akceptacja rdzennej kultury w każdej postaci, ponieważ tożsamości nie da się oddzielić od poczucia własnej wartości, a także wypracowanie narzędzi, które pozwolą Aborygenom włączyć się w główny nurt australijskiego życia. Zadbajmy o równy dostęp dzieci do edukacji, stawiajmy sobie ambitne cele. I, rzecz najważniejsza, zabierzmy w podróż ku przyszłości

każdego z synów i córek Australii, jakby od tego zależało życie nas wszystkich.

10
PRZEBACZANIE

wunthanbayarra
Wybaczam ci i to czyni mnie wolną.

Pogodzenie z tobą
wycisza moje myśli i uspokaja duszę.

Kilka miesięcy po pobycie nad zatoką w 2006 roku umówiłam się na kawę z Johnem Bradleyem, żeby porozmawiać o książce. Do tej rozmowy wracaliśmy zresztą jeszcze dwukrotnie.

Ci, którzy tu przyjeżdżają, albo zostają, albo zawsze już będą wracać. John Bradley miał niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy w 1980 roku przybył do Borrolooli jako nauczyciel szkoły podstawowej. Ponieważ jego koledzy z pracy trzymali się razem, John zaczął wędrować z rodzinami Yanyuwa, odwiedzać wyspy i miejsca w dorzeczu rzeki. Jego dziennik posłużył mu za punkt wyjścia do badań nad językiem i topografią plemienia. Na początku lat dziewięćdziesiątych Bradley opracował razem z Jeanem Kirtonem słownik Yanyuwa. Jako antropolog reprezentował Northern Land Council podczas drugiego procesu o zwrot ziem Warnarrwarsnarr-Baranyi (Borroloola).

Biegle mówił ich językiem, mógł więc zadawać ludziom pytania tak, aby rozumieli. Do dziś utrzymuje z nimi serdeczne związki. Dzięki przenikliwemu umysłowi, empatii i wrażliwości poznał wiele tajemnic tego świata.

Czułam, że rozmawiając z Johnem, posunę się naprzód w wyjaśnieniu tego, co niewytłumaczalne: niezwykłej siły ducha Aborygenek, którą mogłam podziwiać podczas tygodnia ceremonii.

To, jak postrzegały swój świat, widać było tam, na pustyni, w bezwarunkowej miłości, jaką dawały, w radości, z jaką przyjmowały najskromniejsze podarunki od życia. W zdolności przebaczania. Czy gdy ubóstwo odziera nas ze wszystkiego, odnajdujemy swoją naturalną dobroć – w dzieleniu się, w zaraźliwym śmiechu? Nie, to musi być coś więcej, bo bieda może przecież i wzmocnić, i zniszczyć człowieka.

Po tygodniu ceremonii stało się dla mnie jasne, że prostota, z jaką te kobiety cieszą się życiem, jest następstwem skomplikowanych i długotrwałych duchowych ćwiczeń. Tej pogody uczą rytuały pieśni i tańca, sztuka, astrologia, opowieści, symbole i język sprzed czterdziestu tysięcy lat. Obraz ginącego już świata, który podczas ostatniego dwudziestopięciolecia zaledwie zaczęłam poznawać. Świata, który nowoczesne społeczeństwo już wkrótce – po zaledwie dwustu latach kontaktów – na zawsze zetrze z powierzchni ziemi.

Kręgi życia są dla tych kobiet jak warstwy cebuli. Przy jej obieraniu, krąg za kręgiem, z niedoskonałej natury wyłania się harmonijna wizja wszechświata. Porządek prawdy i uczucia, który wybacza błędy i daje szczęście nawet w miejscach, w których ludzie rzadko mają powody do radości. Ci, których

pozbawiono rzeczy na pozór niezbędnych do przeżycia, nie szczędzą sobie dowodów miłości.

Kobiety Yanyuwa są małomówne. Z tygodnia ceremonii wyniosłam jednak wrażenie, że ich język jest wiernym odbiciem tej fascynującej duchowości, której doświadczyłam. John Bradley potwierdził moje podejrzenia, podobnie jak Annie i Thelma, kiedy rok po rytuale siedziałyśmy razem w okolicy górnego biegu McArthur. Rozmawiałyśmy wtedy o rzeczach, które nas łączą, niezależnie od miejsca urodzenia. O współodczuwaniu – *ngarramilmila*, które w ich mowie oznacza odwagę okazywania uczuć, żar serca. O sensie – *ngalki*, smaku pożywienia, dźwięku pieśni, pocie drugiego człowieka, imieniu określającym skórę. O prawdzie – *ihaanjima* – byciu szczerym wobec samego siebie, o wewnętrznym pięknie, które znajduję, kiedy nie wstydzę się swojej uczciwości. O dawaniu – *ngulhu* – rozumieniu rodzinnych powinności, ofiarowywaniu siebie innym. Bycie szczodrym to nic szczególnego, jest tylko wypełnianiem własnych obowiązków. I wreszcie rozmawiałyśmy o czymś, co wspólnie przeżyłyśmy podczas tygodnia ceremonii – o celu, *anyngkarrinjarra ki-awarawu*, słuchaniu kraju, widzeniu rzeczy takimi, jakie są.

„Gdy znajduję spokojne miejsce w swoich myślach, wiem, dokąd iść".

Annie mówi:

> Jesteśmy szczęśliwe, bo tak było od pierwszego dnia naszego życia. Teraz mówią o nas *bardi-bardi* – starsze kobitki. Nie wołają nas po imieniu, tylko *bardi-bardi*. Dobrze nam z tym, starość nam nie przeszkadza. Wiemy, dokąd idziemy. I bez tego wiem, że się starzeję. Nie ma sprawy, starość to starość. Nie ma powrotu do młodości.

Mamy mądrość, to się liczy. Kiedy coś mówimy, to nie po próżnicy, wszystkie korzystamy.

Jemima potwierdza.

Starzejemy się, ale nie jest źle.

My również nie narzekaliśmy. Nam też było dobrze z rodziną i biznesem, które „się starzały". Dzieci pracowały w Balarinji w niepełnym wymiarze godzin – Tim w dziale projektów i animacji, James w księgowości, Julia w public relations. Nie zapominali o swoim dziedzictwie, ale chcieli też coś osiągnąć. Pragnęliśmy dla nich jednego i drugiego.

Tim Baniyan w wieku dwudziestu siedmiu lat był już twórcą wielu projektów, które zrealizował dla swojego studia animacji komputerowej. Jako dziecko rysował niezliczone sceny niczym z *Gwiezdnych wojen*, pokrywał papier robotami i orbitującymi miastami. Ale gdy przygotowywał demo swojego pierwszego filmu, sięgnął po magiczne opowieści z Borrolooli. James Jawarrawarral w wieku dwudziestu pięciu lat pracował i w turystyce, i jako informatyk, a nawet miał za sobą posadę wokalisty na jednym ze statków wycieczkowych w Europie. Z powodzeniem łączył miłość do podróży ze studiami ekonomicznymi na Uniwersytecie

w Sydney, a zdecydował się ostatecznie na specjalizację w zarządzaniu finansami przedsiębiorstwa. Julia Marrayalu przebiła się do pierwszej trzydziestki australijskich tenisistek i była (po Evonne Goolagong-Cawley) drugą Aborygenką w światowym rankingu. Grając zawodowo, kontynuowała studia na Uniwersytecie Nowej Anglii. Byliśmy dumni z wytrwałości, elastyczności, otwartości i pracowitości naszych dzieci. Nie zrażając się trudnościami, ścigały swoje marzenia.

John zaangażował się w działalność polityczną na rzecz Aborygenów. Nigdy nie żałował tego, czego podjął się przed czterdziestoma latami, i nie oglądał się na innych. Najważniejsze były dla niego niezależność i uczciwość.

Ja dalej pracowałam w firmie projektowej, która zabrała nas wszystkich w tę cudowną podróż. Początki nie były wesołe – szkicowanie na kuchennym stole, bieda i widmo głodu, od których ratowali nas sąsiedzi i ich ogródek warzywny. Coś, co powstało z osobistej potrzeby upamiętnienia dziedzictwa naszych dzieci, zmieniło się z czasem w zawodową ambicję zdefiniowania niepowtarzalności australijskiej tożsamości. Nasze prace znalazły się w zbiorach National Museum of Australia, National Gallery of Australia, Sydney's Powerhouse Museum, Flinders University Art Museum, a także Centrum Grafiki Współczesnej w japońskiej Fukushimie. Stworzyliśmy małżeństwo, rodzinę i przedsiębiorstwo, osiągając poczucie bezpieczeństwa i możliwości odległe o lata świetlne od nędzy i poniżenia, które zgotowano Johnowi w jego dzieciństwie.

Na początku sierpnia 2008 roku odebraliśmy niespodziewanie telefon z Borrolooli. Zmarła nagle nasza Annie. Myśleliśmy, że

będzie żyła wiecznie, niestrudzenie przemierzając ścieżki Prawa. W Barrolooli szalała grypa, może staruszka rozminęła się z lekarzem przyjmującym tylko przez dwa tygodnie w miesiącu? Tak czy inaczej, zabrało ją zapalenie płuc. Dla społeczności, w której starzy ludzie tak często chorują, brak stałej opieki medycznej to okrucieństwo. Trudno sobie wyobrazić, że przez tydzień nie ma na miejscu lekarza, a potem zamiast tego z Adelajdy przyjeżdża na następne czternaście dni jakiś inny z Sydney.

Lecimy nad zatokę w czwartek wieczorem. Samolot jest większy niż kiedyś, bo trwają intensywne prace nad powiększeniem terenów odkrywkowych. Zwyczaje się jednak nie zmieniły. Stewardesa jak zwykle rozdaje buteleczki z alkoholem.

– Jedna czy dwie? – pyta górników udających się do pracy. Palce ułożone w znak zwycięstwa obwieszczają, że dwie. Jak zwykle. – Do tego jedna cola czy dwie?

Wracając z barku, stewardesa przeżuwa coś niedbale, może usuwa językiem okruchy orzeszków, tych samych, które chrupią pasażerowie. Jest ładna, a to, co robi językiem, tylko odrobinę dwuznaczne. Lecimy nowym samolotem i widać, że linie dbają o swoich klientów. Na dalekiej północy można się teraz dorobić. Zwłaszcza jeśli jest się mężczyzną bez rodziny na głowie.

Kiedy podchodzimy do lądowania, płonący zachód słońca powoli przechodzi w odcień sinego fioletu. Widzę odblask świateł kopalni od strony portu, nad którym się zniżamy, a potem zapada ciemność.

– Jak się państwo zorientowali, jesteśmy już na miejscu – oznajmia z uśmiechem stewardesa.

Zimny a-Mardu, jak Annie nazywała południowy wiatr, przetacza leniwie kłęby powietrza. To jakby czuła obecność jej duszy, która na zawsze zostanie nad zatoką, nawet jeśli kopalnia, miasto i turyści są ślepi na wielkość tej starej kobiety i na tragedię jej odchodzenia. Obszary, na których dożywała swoich dni i na które teraz powraca, nie dla każdego są dostępne.

Zatrzymujemy się u Peggy, niegdyś dziewczynki ukrytej w tobołku przed policjantami, i jej męża Trevora. Po wielu latach Peggy postanowiła wrócić do Borrolooli. Teraz oboje poszli na piechotę do Katherine, kilka godzin drogi na południe, żeby zorganizować jakiś wóz. Ich przyjaciel Frank zgodził się odebrać nas z lotniska. Jak zawsze, czujemy się otoczeni troskliwą opieką. W Borrolooli nie ma taksówek, a jedyna wypożyczalnia samochodów jest zamknięta. Frank zawozi nas do domu Peggy i Trevora na skraju Borrolooli. To miejsce nazywane przez tutejszych „końcem", położone na wzgórzach niedaleko miejskich obozowisk plemion Yanyuwa, Marra i Garrawa. Krzewy bugenwilli i plumerii rozsiadły się po obu stronach drucianego ogrodzenia wkopanego w ziemię. Co za ulga wskoczyć do śpiwora po całym dniu podróży, który zaczął się o czwartej trzydzieści rano. Podróż nad zatokę, nawet samolotem, nadal zabiera wiele czasu.

Żal mi naszych dzieci. Straciły jeszcze jedną babcię. Coraz mniej powiązań z krajem ojca.

Rano budzi nas śpiew ptaków, słońce grzeje po chłodnej nocy. Pogrzeb ma się odbyć przy kościółku obok drogi wjazdowej do Borrolooli. Ale o wyznaczonym czasie – o dziesiątej – nikogo

jeszcze nie ma. Jeden ze starszych nie dotarł – kłopoty z łodzią. Musimy czekać.

– Potrwa to godzinę, może dwie – mówi pastor. – To okazja, żeby rozejrzeć się po Borrolooli. – Wzrusza lekko ramionami z miłym uśmiechem.

Zawracamy w stronę obozu Yanyuwa. I wtedy, wstrząśnięci, dowiadujemy się, że w tym samym tygodniu odszedł również Roy Hammer. Rak płuc. W kilka dni społeczność straciła dwoje starszych, szefów ceremonii kobiet i mężczyzn. Wiem, że strata Roya to dla Johna wielki cios. Zaledwie parę tygodni temu dotarły do nas wieści, że jest śmiertelnie chory, a teraz już go nie ma. Człowieka o niespotykanych przymiotach ducha, dopiero po sześćdziesiątce, który uwielbiał swoje wnuki i najmłodszą córeczkę. Uczył je tańców plemienia Marra, uczył kochać morze i busz. Przewodził też nocnym patrolom zgarniającym pijaków z baru w Borrolooli. Chętnie dawał się zapraszać na stek, gdy przyjeżdżaliśmy. Ale jadł tylko kawałek. Resztę zabierał dla dzieciaków. Podczas wycieczek do Francji i Japonii zawsze nas zaskakiwał bystrością i zmysłem obserwacji. W domu przechowywał kilka zmiętych, wielokrotnie wyjmowanych z szuflad fotografii z tych podróży. Wspomnienia ze świata spoza zatoki, o który się otarł i który polubił.

Jak gdyby nie dość było nieszczęść, w obozie Yanyuwa umiera Thelma. Kroplówki z morfiny pomagają jej znieść ból. Lekarze mówią, że to rak wątroby i niewydolność nerek, ale ludzie nie wierzą. Skarżą się, że nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. Dziennik „The Australian” donosi, że w obozie zmarło w jednym miesiącu pięć osób. Opisując plagę pogrzebów w Borrolooli, reporter

ironicznie pyta czytelników, jak sądzą, ilu bliskich żegna rocznie, nie miesięcznie, przeciętny biały mieszkaniec Australii.

Thelma jest wychudzona, skurczyła się i postarzała. Drzemie na swoim posłaniu. Czuwa przy niej mąż William. Z czułością się nią opiekuje. Kobieta odchodzi cicho, bez słowa skargi, w otoczeniu całej rodziny. Córki i synowe niańczą dzieci, siedząc na ziemi przed telewizorem w pokoju obok. Podchodzimy i całujemy Thelmę w czoło, zapewniając, że zawsze jest w naszych sercach, że przynosimy jej miłość naszych dzieci. Wymizerowany, wątły szkielecik jest już tylko cieniem bystrej, energicznej kobiety z tygodnia ceremonii sprzed zaledwie dwóch lat, bladym wspomnieniem dni nad brzegami Wearyan, nocy, gdy pod rozgwieżdżonym niebem zawijałyśmy się w śpiwory. William śledzi każdy ruch żony.

I znów otwiera się świeża rana – wspominam moją matkę, która zmarła dwa lata temu. W 2001 roku opuściła Tasmanię – miała wówczas osiemdziesiąt lat – żeby zamieszkać z nami w Sydney. Kiedy w 1994 zmarł mój ojciec, długo walczyła z samotnością i strachem w swoim dużym domu, zanim wreszcie chwyciła za słuchawkę, oznajmiając, że przyjeżdża. Wtedy okazjonalne wypady samolotem na „kontynent” zastąpiła codzienna zażyłość. Choć wcześniej też byłyśmy sobie bardzo bliskie, nasze życie biegło równolegle. Teraz na nowo odkryłyśmy radość bycia razem. Wspominam te ostatnie lata jako dar. Mama była naszą bohaterką w walce z rakiem, którego pokonała. Zmarła tuż po zwycięstwie, na zupełnie inną chorobę. Żegnaliśmy ją pocałunkami, maleńką i wychudzoną, przykutą do łóżka siódmego piętra miejskiego szpitala, kiedy jej wciąż silne palce

dotykały nas ostatni raz. Ściągniętą bólem twarz rozjaśnił uśmiech, gdy zdołała wymówić nasze imiona. Spokój mojej matki, pogodzenie z tym, co przyniósł los, i z nieuchronnym końcem, kazały nam wszystkim pochylić w milczeniu głowy. To, na co patrzyliśmy, było bardziej nauką życia niż umierania. Tutaj, przy łóżku Thelmy, czuję mamę blisko siebie. Rytuały odchodzenia są zawsze takie same, nie znają kolorów skóry.

Na sąsiedniej ulicy wnuczka Annie mocuje sztuczne kwiaty na „karawanie" – białym samochodzie z napędem na cztery koła. Dzieciaki ganiają się po podwórku. Krewni i przyjaciele z Darwin, Melbourne, Sydney, Canberry i wielu innych miast wspominają tę, którą utracili. Badacze uniwersyteccy, którzy współpracowali z Annie, największą z kobiet Prawa, również przyjechali, by ją pożegnać. Rozmawiamy o społecznym niedowładzie tego miasta, o zaniedbaniach w opiece zdrowotnej, o arogancji biurokratów, lokalnych i rządowych. Dzielimy się niewesołymi myślami o upadku tradycji i braku zachodniej edukacji, niemożności utrzymania dzieci w szkołach. Wyczuwam u ludzi niepokój, złość i przygnębienie, że jest tak źle i że tak niewiele udało się zrobić.

W południe wracamy do kościoła, który wypełnia teraz tłum zgromadzonych. Wiele osób trzyma w dłoniach gałązki kwiatów. Niektóre przyniosły wieńce. Rówieśnice Annie, Rosie Noble a-Makadurnamara i Jemima, stoją przy drzwiach. Trzymamy się razem. John składa wyrazy współczucia Rosie, duchowej siostrze i przyjaciółce zmarłej. Teraz, gdy Annie odeszła, jest dla wszystkich „starą panią". Nie wymawia się jej imienia. Takie Prawo. John prosi Rosie i Jemimę, by zaopiekowały się nami teraz, gdy zabrakło kolejnej matki. Rosie mocno nas przytula.

Urywanym szeptem dzieli się swoim bólem. Ile opowieści bezpowrotnie odeszło. Zapewnia, że będzie o nas dbała. Tęskni za swoją siostrą, starą panią. Wyciera kciukiem cisnące się do oczu łzy. Rosie i Jemima. Jakie piękne i dobre są ich twarze.

Ludzie tłoczą się w kościele. Zaczyna się śpiew, bliscy starej pani dotykają trumny, przywierają czołami do drewnianego wieka. Trzeba płakać. Kochali tę kobietę i ona też ich kochała. Jej wnuczka rozpacza. Mąż stoi za nią, podtrzymuje ją, żeby nie upadła. On również płacze. Trumna ugina się pod ciężarem kwiatów. Każdy chce okazać szacunek zmarłej. John Bradley żegna ją w imieniu żałobników – po angielsku i w yanyuwa. Jest jednym z ostatnich mówiących w tym języku, a opracowany przez niego słownik może połączy kiedyś plemię z jego utraconą mową.

Uczony sugestywnie opowiada o tym, jak Annie przybliżała białym ludziom mądrości buszu. Mówi o jej nieugiętej woli i odwadze przeciwstawiania się przemianom. Nie próbuje ukryć, jak bardzo jest przejęty. Jego drżący głos rozbrzmiewa w ciszy kościoła.

> Osiemdziesiąt lat temu na Vanderlin urodziła się kobieta – ta sama, którą dziś wspominamy, którą przyszliśmy pożegnać. Urodziła się na północno-wschodnim wybrzeżu Vanderlin, w miejscu nazywanym Wardi. Nie istnieje angielska nazwa tego miejsca.
>
> Stara pani, którą dziś chowamy, dorastała na wyspach, pływała czółnem do Manankurry, Bing Bong, Wyspy Kangurzej i Borrolooli. Była dumną kobietą morza, która zawsze mówiła o swojej miłości do kraju przodków. Płakała, ilekroć ujrzała wzlatującego bielika białobrzuchego, Sen swojej matki.
>
> Przemierzyła ze starymi ludźmi cały kraj, uczyła się Prawa, poznawała imiona kraju, Sny, ceremonie, pieśni stworzenia. Uczyła

się polować i rozumieć. W Manankurze znalazła męża, mężczyznę z dawnych czasów, którego również dziś wspominamy. Walczył o nią bumerangiem z innym mężczyzną z dawnych czasów i złamał mu rękę. Wzięli ślub i pracowali na farmach w Manankurze, Green Bank i Seven Emus, wędrując za bydłem z miejsca na miejsce. Tam urodziły się ich pierwsze dzieci.

Stara pani nie lękała się świata białych ludzi, przeciwnie, chciała go poznać. Pragnęła jednak, by ten biały świat poważał ją i jej Prawo. Na takich staraniach upłynęła większość jej długiego życia. Znam wielu białych, których uczyła, niektórzy są tu z nami. Szczodrze udzielała swoich nauk, ale surowy był z niej nauczyciel. My też uczyliśmy ją świata białych ludzi. Nieraz rozśmieszała nas do łez. Taka była stara pani. Umiała się śmiać.

Kiedy z nią pracowałem, czasem mówiłem: „Może jesteś już zmęczona, *bardi-bardi*, może chcesz odpocząć". Na co ona: „Nie, nie, muszę zostawić to wszystko moim dzieciom, wnukom i prawnukom. Powinny wiedzieć, skąd przychodzą". Była dla nich najważniejsza, a one dla niej. A teraz odeszła.

Wszyscy, jak tu jesteśmy, pytamy: co się stało? Jak to się mogło stać? Jeszcze kilka tygodni temu była zdrowa, silna, była tu z nami, rozmawiała o różnych rzeczach, dzieliła się swoją wiedzą. I nagle zabrali ją na zachód, do Katherine, a potem do Darwin – i z tego zachodu nie wróciła już żywa.

Posłuchajcie mnie, mówię do was wszystkich! Wszyscy jesteście moją rodziną. Zmieniłem swoją mowę, odkąd nauczyłem się tej. Stara pani mówiła w języku ludu Yanyuwa, w języku dawnych czasów. Była kobietą, której dusza przyszła z morza. Nikt na świecie nie wiedział więcej ani o morzu, ani o ziemi. Była twarda, niosła Prawo, które należało do jej przodków. Dorastała wśród starych i doświadczonych ludzi, którzy posiedli mądrość. I powiadam wam, nie było lepszego ucznia, a potem nauczyciela. Taka była stara pani, którą dziś żegnamy.

Umiała śpiewać i tańczyć, wszystko w ten sposób wyrażała, wszystkie tajemne i święte rzeczy. Ale znała też zabawne tańce, i dla

kobiet, i dla mężczyzn. Miała mocny i czysty głos, stara pani. Trudno mi o tym mówić. Niestrudzenie opiekowała się dziećmi i wnukami. Dbała o nie wszystkie, obdarowując je wieloma opowieściami.

Jesteśmy tu, by ją opłakiwać, przynieśliśmy jej nasze łzy. Ciężko pogodzić się ze stratą. Żegnamy dziś starą panią, najstarszą z nas wszystkich. Będziemy ją pamiętać. Więc teraz żegnaj nam, stara pani. Żegnaj.

Tradycyjne pieśni i płacz przeplatają się z odczytywaniem Biblii i śpiewaniem chrześcijańskich hymnów. To normalne podczas aborygeńskich pogrzebów, niezależnie od regionu. Czas płaczu, czas żałoby. Liczy się tylko to, czy potrafisz opłakiwać ludzi – *jarna-rarrinji ngililiji* – płakać prawdziwymi łzami. Amy Friday Bajamalanya głośno zaprasza do pierwszej ławki kobiety, które kiedyś mieszkały w Malandarri, po drugiej stronie rzeki, w czasach gdy stara pani była młoda. Tam, gdzie na brzegu rzeki urodził się John. Jakiś młody chłopak zaczyna grać na gitarze, gdy rozlega się rzewne *In the Sweet Bye and Bye*. Niektórzy podchodzą do mikrofonu, opowiadają o swojej siostrze, zapewniając, że już wkrótce spotkają się z nią w niebie. Wzywają zgromadzonych, by zwrócili się ku Bogu i zbawili swoje dusze. Już niedługo, mówią, Jezus zstąpi na ziemię, by nas do siebie zabrać. Przypominam sobie słowa Annie z tygodnia ceremonii: „Tak, my też możemy być chrześcijanami. Sen nas stwarza. I ceremonie. Bóg je daje. Niektórzy ludzie w czasach Adama i Ewy byli czarni. My wierzymy w naszą własną drogę. W Sen".

Jedziemy wolno w stronę miejskiego cmentarza. *Jungkayi* starej pani, mężczyźni, siedzą wokół trumny. Towarzyszą jej w ostatniej drodze. Gdyby mogła zobaczyć, jak szanują zwyczaj,

z pewnością by się uśmiechnęła. Byłaby z nich dumna, widząc, że wypełniają Prawo.

Nad grobem zebrało się jakieś dwieście osób. Słońce mocno przygrzewa, gdy pastor Vincent, człowiek z tych stron, czyta Biblię. Kobiety z Malandarri znowu zaczynają śpiewać. Wnuczka starej pani i jej córki szlochają, usiłując przepchnąć się bliżej trumny, kiedy na sznurach opuszczana jest do dołu. Roddy Harley Bayuma, wdowa po naszym Mussie, która przyjechała na pogrzeb z samego Darwin, nie wytrzymuje i strofuje je surowo:

– Dosyć już. Wystarczy. Taki los, trzeba się pogodzić.

I znów dźwięczą mi w uszach słowa Annie z dnia, w którym do obozu dotarła wieść o śmierci w szpitalu: „Mamy smutek w naszych sercach! Tak! Ale musimy go odrzucić, musimy, musimy go odrzucić!". W umieraniu umiała dostrzec również jasną stronę. Przyjmowała je z pogodą: „Starość nam nie przeszkadza. Wiemy, dokąd idziemy".

Razem z dziećmi, zżytymi aż za dobrze z ceremoniałem pogrzebowym, sypiemy czerwoną ziemię w otwartą czeluść grobu i wypowiadamy słowa pożegnania. Tylko czas zna odpowiedź na pytanie, czym dla nas wszystkich jest ta śmierć.

Dzień po pogrzebie wsiadamy do terenówki z Rachael McDinny i rodziną jej siostrzenicy. Jedziemy półtorej godziny – do obozu siostry Rachael, Nancy, która mieszka tam z mężem, malarzem

Stewartem Hoosanem. To piękne miejsce w kraju jej matki. Na terenie wykarczowanego fragmentu skrubu[40] stoją trzy domy zasilane energią słoneczną. Na wszelki wypadek jest też prądnica. Nancy i Stewart malują obrazy na stole pod rozpiętym nad ich głowami płóciennym dachem. Posyłają je do galerii w Australii i na całym świecie.

Aborygeni w tej okolicy jeszcze polują. Jedziemy pół godziny nieutwardzoną drogą i zatrzymujemy auto pod samotnym drzewem. Nancy ma nadzieję, że na spalonej suszą, popękanej ziemi odnajdzie ślady zimujących żółwi wężoszyich. Mówi jednak, że lepiej to robić w listopadzie, tuż przed porą deszczową. Choć nie dalej jak przed tygodniem przyniosła do domu żółwia i warana. Gdy zaczyna padać, rozlewa się tu rozległa życiodajna laguna, rojąca się od ptactwa, węży wodnych i drobnej zwierzyny. To miejsce, w którym Nancy w dzieciństwie polowała z ojcem, matką oraz siostrami – Lindą i Isą.

Chce, żebyśmy pojechali dalej, do Wardawadali, kraju matki Johna, na tereny, dla których mój mąż jest *jungkayi*. To ziemia Johna, a więc najlepsze miejsce na polowanie. Wysyła go przodem, by rozniecił ogień, wypalił trawy, jak przystało na strażnika obyczaju przodków. Ale nie tylko o rytuał tu chodzi, gdyż płomienie mają wypłoszyć z kryjówek małe drapieżniki. Powinnością *jungkayi* jest pobudzanie roślinności do wzrostu, podtrzymywanie odwiecznego następstwa pór roku. John bierze zatem zapałki, sprawdza kierunek wiatru i roznieca przed nami świetlisty łuk małych ogników. Płomienie natychmiast się zbiegają i zmieniają w złocistoczerwony krąg, niesiony podmuchami wiatru. Pnie drzew uginają się pod falą żaru. Gdy

płomień przygasa, przechodzimy przez wypalony korytarz ziemi, pokryty kruchymi węglami, przeskakując przez miejsca, które wciąż się palą. Nancy się śmieje i siada na ziemi. Trochę przypieka sobie stopy, bo nie wzięła butów. Reszta szuka żółwich śladów.

Dzisiaj zupełna klapa. Nic nie ma. I trzeba już wracać do Borrolooli, żeby zdążyć na wybory do władz samorządowych. Życie w buszu i życie w mieście. Dwa światy, które się rozmijają. Jemy chleb, wołowinę z puszki i pozbawione smaku gąbczaste jabłka. Produkty są już zwykle nieco nadpsute lub przeterminowane, kiedy trafiają nad zatokę.

Po powrocie do Sydney, w czwartek, dostajemy wiadomość o śmierci Thelmy. Umarła we śnie, nie cierpiała. Przed oczami staje mi jej obraz – z małym Jamesem na plecach, rozglądającej się za waranami. Przywołuję we wspomnieniu cichy obóz na brzegu rzeki – ją i Williama rozkładających śpiwór obok nas. Przez mgłę łez widzę jej gasnący, cierpliwy uśmiech sprzed tygodnia. Widzę, jak ufnie wyczekuje chwili, gdy jej życie łagodnie przejdzie na stronę Snu.

---

[40] Skrub – odmiana buszu typowa dla Australii.

EPILOG

Od ceremonii minęły trzy lata. Pisząc ostatnie słowa tej książki, czuję smutek. Żal mi mojego kraju, gdy myślę o nadciągającej ciszy, o czasie, w którym Pieśni Snu znikną na zawsze.

Codziennie wspominam kobiety z Borrolooli. Zwłaszcza Annie, jej miękkie siwe włosy falujące na tle dymu i płomieni obozowego ogniska tuż przed świtem. Piękny uśmiech Caroline, delikatny głos Dinah, roztropne słowa Jemimy i wyrozumiały śmiech Thelmy. Wsłuchuję się w rytm kobiecych stóp na piasku, czuję moc Prawa. Widzę pogodną twarz Rosie, która po Annie została szefową ceremonii. Rozmyślam o ich trudnym życiu, cichym proteście i bezgłośnej rozpaczy z czasów nieprawości. Słyszę wołanie o przyszłość dla wnuków. O prawo do udziału w naszym dobrobycie.

Czuję też niepokój o nowe pokolenia. Wkraczające w życie bez tradycji, obojętne na ceremoniał, wyzute z Prawa.

> Pomrą, marnie skończą bez Sprawy. Kiedy odejdziemy, co ich czeka, co im zostanie? Co będzie ich Snem?

A co z nami wszystkimi, Annie? Co będzie naszym Snem?

PODZIĘKOWANIA

Jestem wdzięczna moim bliskim z Borrolooli za otwartość, miłość i zrozumienie. A zwłaszcza kobietom znad zatoki – za zaproszenie mnie w 2006 roku do Kalkaringi, za wprowadzenie w świat swoich obrzędów i zachętę do napisania tej książki. Podziękowania niech przyjmą zatem: Dinah Norman Marrngawi, Rose Noble a-Makandurnamara, Jemima Miller Wuwarlu, siostry McDinny – Isa a-Yubuya, Nancy a-Yukuwalmara, Linda a-Wambadurna i Rachael a-Mulyurrkulmanya, a także Maureen Timothy, Edna Pluto a-Maliyawuna, Violet Hammer a-Ringalinya, Thelma Dixon Kuniburinya, Caroline Rory, Topsy Green, Elizabeth Landsen Yayab, Joanne Miller a-Yulamara. Osobne podziękowania należą się Annie Isaac Karrakayn i Thelmie Douglas Walwalmara, które zgodziły się na opowiedzenie ich historii. Nie czuję się godna wsparcia i zaufania, jakimi mnie obdarowały.

Wiele zawdzięczam doktorowi Johnowi Bradleyowi. Pozostanę jego dozgonną dłużniczką za lata nauk, których tak wspaniałomyślnie mi udzielał. A szczególnie jestem mu wdzięczna za to, że pozwolił mi zacytować swoją mowę pożegnalną dla Annie. Z kolei prace doktora Richarda Bakera, geografa, były dla mnie

cennym źródłem informacji o historii kontaktów ludu Yanyuwa z Europejczykami.

Dziękuję zespołowi studia Balarinji – Christie Cooper, Tani Occhiuto i Lian Chang – za wsparcie i inspirację, fotografowi Marcelowi Lee za moje zdjęcie do wydania oryginalnego oraz wszystkim przyjaciołom, którzy zaniedbując swoje sprawy, znajdowali czas, by nagłośnić ten projekt i czytać fragmenty książki: Margaret Lehmann, doktor Rosicie Henry, doktor Janet Penny, Alexandrze Sison, Jennifer Dunbar, doktor Jill Sullivan i Susan Cerato.

Wielki dług zaciągnęłam również u Clare Forster z agencji Curtis Brown, która nie zawahała się udzielić kredytu zaufania debiutantce. Bez jej wsparcia moja książka nigdy by się nie ukazała. Miałam szczęście, że Clare skontaktowała mnie z dociekliwą i niezastąpioną Annette Barlow z wydawnictwa Allen & Unwin, która razem z Alexandrą Nahlous, Catherine Milne i Ali Lavau, z wyczuciem i profesjonalizmem, opiekowała się moją książką. Dzięki nim wszystkim mój debiut był cudownym doświadczeniem.

Dziękuję wreszcie mojej rodzinie za to, że nie wątpiła w sens pisania tej książki, zwłaszcza Johnowi, który gonił mnie do pracy. Jego wiedza była nieocenioną pomocą. A także dzieciom – Timowi, który zachęcał mnie do zwierzeń, Jamesowi za jego przemyślane komentarze i wiarę w końcowy efekt oraz Julii, która była pierwszą czytelniczką i więcej niż życzliwą recenzentką tekstu. Jeszcze raz dzięki, kochani! Jesteście *li-malarnngu*, pieśnią mojego życia. To przede wszystkim z myślą o was pisałam tę książkę.

Wkładka

1. Matka Johna Kathleen Murrmayibinya i siostra Ruth Heathcock nad rzeką McArthur (około 1940).

2. Dwuletni John w Borrolooli (około 1940).

3. Tim i James w pościeli zaprojektowanej przez Balarinji. Część naszej kolekcji inspirowanej australijskim interiorem (1985).

4. Piętnastomiesięczny Tim otrzymuje swoje aborygeńskie imię. Ze Starym Timem w Borrolooli (1982).

5. Ros w Australii Środkowej podczas dobierania kolorów (1986).

6. Chrzest Julii w Adelajdzie. Od lewej: Julia, Ros, pięcioletni James, siedmioletni Tim i John (1989).

7. Nasze dzieci z zaprzyjaźnioną kolczatką na Tasmanii (1993).

8. Ros, John i Sen Wunali na lotnisku w Sydney (2004).

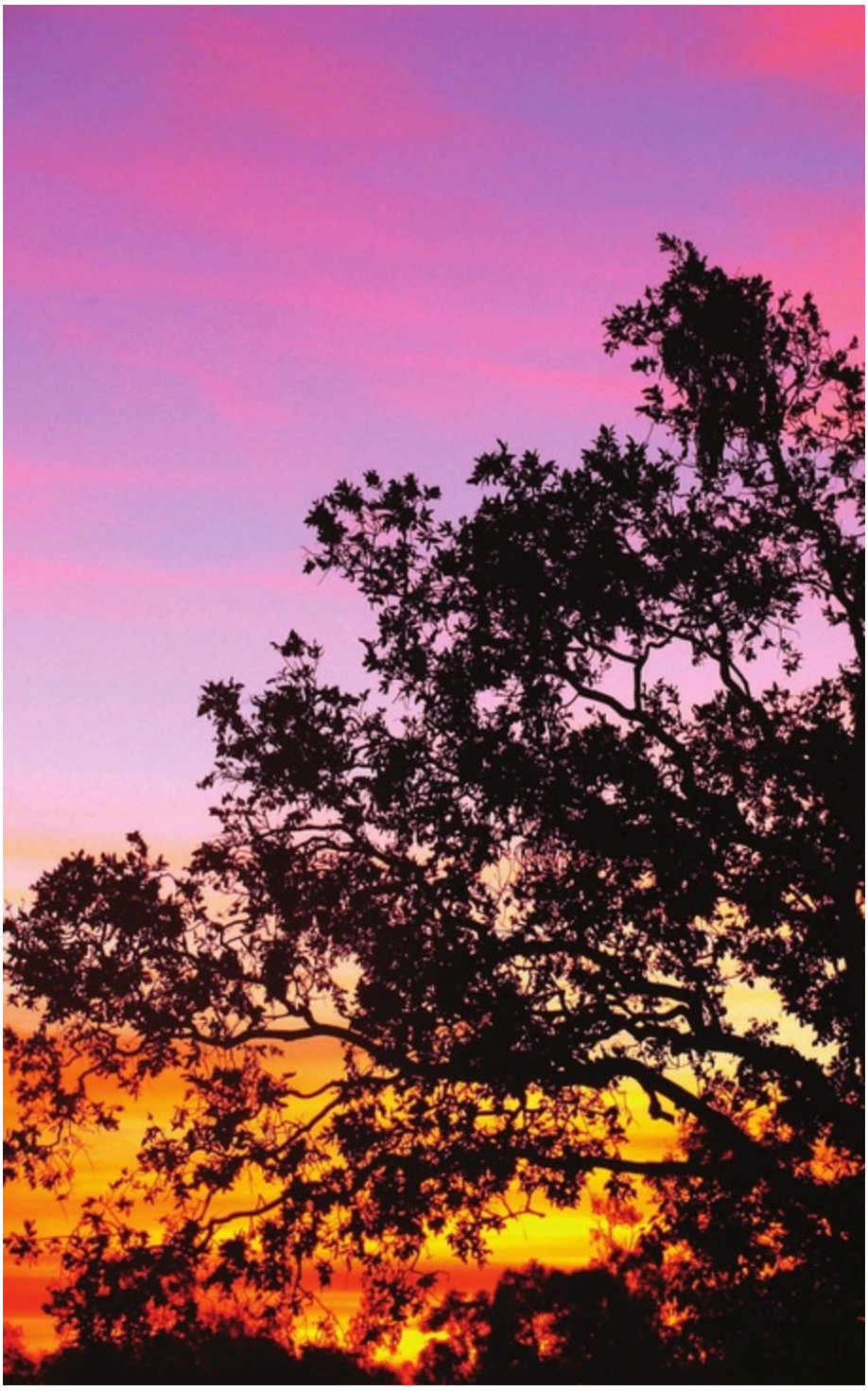

9. Zachód słońca w Borrolooli (2006).

10. John i Thelma Douglas Walwalmara w Borrolooli (2006).

11. Annie Isaac Karrakayn w Borrolooli (2006).

12. Pierwszy raz rozbijamy obóz w drodze na ceremonię. Nieopodal torów kolejowych i linii łączącej Darwin z Adelajdą (2006).

13. Isa McDinny a-Yubuya podczas postoju w drodze na ceremonię (2006).

14. Rosie Noble a-Makandurnamara po powrocie do Borrolooli (2006).

15. Nocleg w drodze na ceremonię. Od lewej: Thelma Dixon Kuniburinya, Isa McDinny a-Yubuya, Edna Pluto a-Maliyawuna, Linda McDinny a-Wambadurna, Rosie Noble a-Makandurnamara (2006).

16. Thelma Douglas Walwalmara (2006).

17. Linda McDinny a-Wambadurna i Edna Pluto a-Maliyawuna (2006)

18. Laticia Norman po naszym powrocie do Borrolooli (2006).

19. Caroline Rory w obozie podczas tygodnia ceremonii (2006).

20. W drodze powrotnej. Od lewej: Nancy McDinny a-Yukuwalmara, Ros Moriarty, Isa McDinny a-Yubuya (2006).

21. Isa McDinny a-Yubuya podczas uroczystości na Centre Island (2007)

22. Nad rzeką Glyde; przelot nad ziemią Yanyuwa, z której uprowadzono Johna (2006).

23. Annie Isaac Karrakayn podczas uroczystości na Centre Island (2007).

24. Jemima Miller Wuwarlu z córką Joanną Miller i wnuczką Rosellą Miller w obozie w Borrolooli (2007).

25. Drzewo w ogniu. Wardawadala, ziemia matki Johna (2008).

26. Nancy McDinny a-Yukuwalmara w Wardawadali (2008).

27. Rachael McDinny a-Mulyurrkulmanya w Wardawadali (2008).

Tytuł oryginału angielskiego *Listening to Country. A Journey to the Heart of What It Means to Belong*
Copyright © Ros Moriarty 2010
© Copyright for the Polish translation by Andrzej Wajs, 2012
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia", Warszawa 2012

Projekt okładki *Katarzyna Borkowska*
Zdjęcia okładkowe
© Penny Tweedie/Corbis
© iStockphoto.com/Gordan Poropat

Zdjęcia w książce
1–2 E.M. Griffin, John Moriarty Collection, National Museum of Australia
3 „Adelaide Advertiser"
4–5, 7, 21–23, 25 John Moriarty
8 Garry Saunders
9 Tim Moriarty
10–19, 24, 26–27 Ros Moriarty

Autorka pragnie poinformować czytelników pochodzenia aborygeńskiego, że w książce tej pojawiają się zdjęcia i nazwiska osób zmarłych.

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*
Korekta *Adam Pluszka, Malwina Łozińska, Roma Sachnowska*
Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12354-1

Plik wyprodukowany na podstawie *Pieśń aborygenki. Podróż w głąb duszy Australii,*
Warszawa 2012

www.wnk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl